GDYBY ROSJA NAS ZAATAKOWAŁA

Czy mamy się czym bronić?
– raport o realnym stanie polskich sił zbrojnych

„J...ć PiS" – tajna część historii wulgarnego hasła anty-PiS

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 11/620 10–16 MARCA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PAKT MIGRACYJNY TUSKA W PRAKTYCE – OTO JAK MIGRANCI ZALEJĄ NASZ KRAJ

Chrześcijanin ateista?
– w Kościele katolickim szerzy się nowa choroba

Polska zagubiona we mgle

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 2288 829
Nakład: 43 500 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

DEKADA CHAOSU I NADZIEI

Od transformacji do frustracji – Miliony Polaków w latach 90. walczyły o lepsze życie, „grając" na bardzo nierównym „boisku"

Polska w mackach mafii – Gangsterzy czuli się bardzo pewnie w pierwszych latach III RP. Słabe państwo kapitulowało przed mafiami

Sprawiedliwi z Nankinu – Japończycy zamordowali w tym mieście ok. 300 tys. Chińczyków. Bohaterscy obcokrajowcy uratowali tysiące osób

Jak Canuck z Jankesem – Wydawałoby się, że Kanadyjczycy i Amerykanie powinni żyć obok siebie jak świetnie dogadujący się kuzyni. Nic bardziej mylnego

Ostatni powstaniec – Stanisław Brzóska był księdzem dowódcą oddziału walczącego w powstaniu styczniowym, stawiając opór jeszcze długo po klęsce zrywu

Nazistowskie zaloty – Hitler przez kilka lat przymilał się do Polaków, starając się przeciągnąć Warszawę na swoją stronę

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl bf66c86d78

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sieroty po końcu świata, którego nie było

Nic nie pokazuje lepiej stanu wstrząsu, szoku i bezradności obecnych zachodnich elit politycznych w reakcji na posunięcia Donalda Trumpa niż coraz bardziej rozpaczliwe (a może groteskowe) wezwania i apele różnej maści i autoramentu jego przedstawicieli.

Z całej palety wybrałem dwa przykłady. Pierwszy to wypowiedź Chrystii Freeland, byłej wicepremier i minister finansów Kanady, kandydatki na premiera Kanady (nieprzypadkowo przywołuję jej funkcje, by pokazać, że nie jest to postać przypadkowa) po Justinie Trudeau. Otóż wezwała ona właśnie do utworzenia bliskiego sojuszu z Wielką Brytanią i Francją, czyli państwami NATO, które dysponują bronią jądrową, po to, by… odstraszyć Trumpa. Doprawdy, pomysł, by Wielka Brytania i Francja użyły broni atomowej przeciw USA w obronie Kanady? No jak to nazwać? Pomrocznością jasną? A może jednak dysonansem poznawczym, czyli całkowitą sprzecznością między uprzednio zdobytą wiedzą o świecie a rzeczywistością, która się z nią kłóci?

Polskich przykładów dysonansu poznawczego jest nie mniej niż na Zachodzie. Pominę nawet osobliwy pomysł kandydata na prezydenta Karola Nawrockiego, który w czasie, gdy Donald Trump wznowił bliskie negocjacje z Władimirem Putinem, ogłosił, że zerwałby relacje dyplomatyczne z Rosją (to najwyraźniej efekt zbyt częstego oglądania serialu „Reset"). Jeszcze lepiej stan nierzeczywistości polskich elit, zarówno tych z PiS, jak i tych z PO, obrazują słowa gen. Romana Polko – przypomnę, że przez ostatnich kilka lat powszechnie cenionego eksperta wojennego. Otóż komentując zapowiedzi Białego Domu dotyczące wstrzymania pomocy dla Ukrainy, generał szczerze przyznał, że jest w szoku, bo „to zaprzecza wszystkiemu, o czym w swoim życiu słyszał". Ano zaprzecza, co tylko pokazuje, jak niewiele generał i cała rzesza myślących podobnie jak on polskich znawców geopolityki słyszeli. „Kiedy jechaliśmy na misję do Iraku i Afganistanu, wspieraliśmy Stany Zjednoczone, słyszałem, że to wspólnota wartości. Że musimy się przeciwstawić złu, gdziekolwiek ono jest, bo jeżeli nie, to ono dotrze na nasze terytorium" – tłumaczył powody swego wstrząsu polski multimedialny ekspert.

Nikt nie ujął tego lepiej: trzeba się przeciwstawić złu i nie liczyć się z kosztami. Muszę powiedzieć, że gen. Polko, inaczej niż wielu innych, którzy albo milczą, albo udają, że zawsze mówili to, co mówią teraz, przynajmniej wyznaje prawdę.

Co się zatem stało? Odpowiedź jest prosta: otóż przez ostatnich trzydzieści kilka lat Zachód, w tym także Polska – mam tu na myśli ogół elit politycznych i intelektualnych – żyły w przekonaniu, że spełniły się słowa Francisa Fukuyamy i że wraz z rozpadem Sowietów nastąpiło ostateczne zwycięstwo globalnego liberalizmu i przyszedł kres historii. Miał on polegać na tym, że prędzej czy później wszystkie państwa dojrzeją do przyjęcia za swoje idei demoliberalnych. Nie mogło być przed tym żadnej ucieczki. Zwycięstwo liberalizmu miało nastąpić z prawdziwie heglowską (a według innych marksistowską) koniecznością.

Prędzej czy później wszyscy mieli przyjąć ideologię praw człowieka, oczywiście w najbardziej nowoczesnej postaci, czyli razem z tzw. prawami reprodukcyjnymi (a więc akceptacją zabijania nienarodzonych) oraz prawami mniejszości seksualnych (a więc odrzuceniem podziału na to, co naturalne i perwersyjne, wynaturzone). Powoli miały następować zanik narodów i uwiąd państw narodowych, które systematycznie miały się osłabiać, tworząc coraz to nowe, bardziej globalne organizmy i instytucje. Istniało przekonanie, że dawna forma uprawiania polityki – liczy się egoistyczny interes narodowy, a porządek świata zapewnia równowaga sił mocarstw – musi zniknąć, bo zastąpi ją coś całkiem nowego: wspólna polityka ludzkości stawiającej czoła zagrożeniom iście planetarnym, takim jak pandemie czy zmiana klimatu.

W tej liberalnej bajce, tak jak we wszystkich innych, istnieli dobrzy i źli bohaterowie. Ci pierwsi, z grubsza, to Zachód, który pod przywództwem Ameryki szerzył „wspólne wartości" demokracji i ich bronił, po drugiej stronie stały skazane na klęskę moce zła, umownie reprezentowane przez Rosję. Dlatego wojna na Ukrainie spotkała się z tak entuzjastycznym poparciem Unii Europejskiej i Ameryki Joe Bidena – wreszcie miało nastąpić spełnienie snu. Rozpad państwa Putina byłby kolejnym dowodem kresu historii.

Choć polska prawica retorycznie sarkała na ogólne liberalne marzenie, to jednak uznawała, że daremnie jest wierzgać przeciw ościeniowi, i faktycznie realizowała globalistyczny projekt. Rekompensatą za poddanie się mu miała być klęska Putina, konieczna i niewątpliwa. W ten sposób przynajmniej wynagrodzone zostałyby doznane przez Polskę wiekowe niesprawiedliwości. W tej sprawie – konieczności upadku Rosji Putina i zwycięstwa Ukrainy – PiS i PO mówiły (i mówią) podobnym głosem.

I gdy wszystko zmierzało do naturalnego happy endu, pojawił się Donald Trump i sen o końcu historii prysł. Nic dziwnego, że przebudzenie jest tak bolesne. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
CENA UZALEŻNIENIA
Polska zagubiona we mgle

17 WOJCIECH GOLONKA
CANOSSA PREZYDENTA UKRAINY

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
POD SZTANDAREM „ZDROWEGO ROZSĄDKU"
Nowe otwarcie kampanii Karola Nawrockiego

23 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM
STRACHY NA LACHY!

26 ARKADIUSZ SIWKO
CZY MAMY SIĘ CZYM BRONIĆ?

29 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZIELONE SZALEŃSTWO

32 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM GRZYWACZEM
NAUKA W LESIE

35 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
KTO STOI ZA OŚMIOMA GWIAZDKAMI

KULTURA

38 MONIKA MAŁKOWSKA
NASADZENI NA WIZUALNE STOŁKI
Kultura zawłaszczona przez lewicę

42 PIOTR GOCIEK
DZIEŃ HIPOKRYZJI

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – PAWEŁ PIEKARCZYK

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

50 ROZMOWA Z PROF. GRZEGORZEM KUCHARCZYKIEM
KŁOPOTY Z NIEMCAMI
„Wyższa kultura" zza Odry w praktyce

54 MARIUSZ DZIERŻAWSKI
RESET TRUMPA

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
CHRZEŚCIJANIN ATEISTA?

HISTORIA

58 PIOTR SEMKA
ZABÓJSTWO PIERACKIEGO – ZAPOMNIANA ZADRA POLSKO-UKRAIŃSKA
Kolejna historyczna mina

ŚWIAT

62 OLIVIER BAULT
CZY MIGRANCI ZALEJĄ POLSKĘ?
Polityka migracyjna UE

65 FILIP MEMCHES
RUMUŃSKI PRZEKRĘT

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
PRZEZ WOJNĘ NA WOLNOŚĆ

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
TARGI PRZYSZŁOŚCI
Przełomowe innowacje na MWC

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (53), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl bf66c86d78

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Mikhail Tereshchenko/Imago/East News, Tomasz Jastrzębowski/REPORTER, Wojtek Laski/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Zwłaszcza za bardzo duży odzew na artykuł „Ci okropni myśliwi". Nie jesteśmy w stanie opublikować wszystkich Państwa e-maili w tej sprawie, zdecydowaliśmy się na jeden z nich, który oddaje to, co przewijało się praktycznie we wszystkich wiadomościach odnoszących się do tego tekstu. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Ci okropni myśliwi", Dariusz J. Gwiazdowicz, „DRz" nr 9/2025

Szanowny Panie Redaktorze, chciałbym bardzo podziękować za artykuł „Ci okropni myśliwi". W czasie wszechobecnego hejtu na myśliwych, który wynika po prostu z niewiedzy społeczeństwa, częstokroć w postaci braku podstawowych bodaj wiadomości na temat naturalnych zjawisk zachodzących w przyrodzie, dodatkowo podsycanego przez celebrytów i polityków, taki artykuł to nie tylko przejaw łaski oddania głosu drugiej stronie sporu, lecz także akt odwagi!

Myśliwi mają to nieszczęście, że operują w bardzo delikatnej materii, na granicy życie – śmierć, a niezaprzeczalnym faktem jest, że jeśli komukolwiek, niezależnie, czy jest przeciwnikiem łowiectwa czy nim nie jest, zadamy proste pytanie: „Zabijać czy nie zabijać?", to odpowiedź będzie jedna: nie zabijać! Zadawanie śmierci jest bowiem w naszej świadomości, całkiem zresztą słusznie, czymś o zdecydowanie pejoratywnym charakterze i do czego ręki nie chcielibyśmy przykładać. Rzecz jednak w tym, że kiedy wyjaśnimy głębszy sens tego pytania, mianowicie, czy zabijać zwierzęta hodowlane w celach konsumpcyjnych czy właśnie zwierzynę celem redukcji pogłowia, ochrony upraw, bezpieczeństwa czy w celu zapobiegania chorobom, to odpowiedź nie będzie już tak prosta i oczywista, jak nam się na początku wydawało. Musimy tu bowiem ważyć również interes społeczny, gospodarczy czy nawet nasz własny, gdy spotka nas szkoda ze strony dzikiego zwierzęcia.

Dobrze się jednak dzieje, kiedy redakcje dopuszczają możliwość wyrażenia opinii odmiennej od tej, która jest wiodącą w przestrzeni publicznej, bo to nie tak, że wszyscy nie lubią myśliwych, ba – śmiem twierdzić, że ci są w zdecydowanej mniejszości! Rzecz w tym, że ci, którzy rozumieją rolę myśliwych w gospodarce i ochronie przyrody, nieczęsto są dopuszczani do głosu.

Serdecznie pozdrawiam
Dariusz Dudkiewicz

„Czas wielkiego wzmożenia", Paweł Lisicki, „DRz" nr 9/2025

Felieton świetny! Niestety, rusofobia nadal funkcjonuje u niektórych ludzi. Nie wiem, czy to wynik całkowitego zaślepienie wrogością do Rosji odbiera ludziom zdolność logicznego, racjonalnego myślenia czy to kompletny brak podstawowej wiedzy. Dają się zastraszyć trzeciorzędnemu kabareciarzowi, jego stałej narracji: „Wy będziecie następni" [...].

A poza wszystkim to nie jest wojna o Ukrainę. Ukraina jest pionkiem na szachownicy. To wojna NATO (Bidena) z Rosją. Kosztem ukraińskiej krwi. Dla NATO Ukraina może zamienić się w parę, byle rzucić Putina na kolana [...].

Pozdrawiam serdecznie
Cecylia z Poznania

eprasa.pl bf66c86d78

NA PIERWSZY OGIEŃ

Słabeusz wymachuje hantlami

PIOTR SEMKA

Wszyscy dziś mają coś do powiedzenia na temat budowy suwerennej europejskiej siły obronnej. Ursula von der Leyen ogłasza z patosem, że „Europa stoi w obliczu zagrożenia na skalę, jakiej nikt z nas nie widział". Padają obietnice bezprecedensowego podwyższenia unijnych kwot na obronę. Emmanuel Macron głosi, że chce wierzyć, iż „USA zostaną po naszej stronie", ale poucza Europejczyków, że „muszą być gotowi, jeśli będzie inaczej". I uspokaja ich, że zostaną objęci francuskim „parasolem nuklearnym". W tym chórze nie mogło zabraknąć i Donalda Tuska, który zapowiada: „Europa musi podjąć ten wyścig zbrojeń i go wygra". Ale gdy prezydent Francji sugeruje, że państwa europejskie powinny kupować broń wyłącznie u producentów z Europy, to nawet ludzie Tuska kręcą nosem.

Jeśliby oceniać to polityczne wzmożenie pod względem buńczuczności podniosłych mów i stanowczości deklaracji, można by wejść w błogie przekonanie, że Europa już stała się twierdzą, od której Rosja winna trzymać się z daleka. Tyle że przy uważniejszym spojrzeniu ten cały szum dyplomatyczny przypomina noworoczne deklaracje zerwania z papierosami i alkoholem na rzecz podjęcia żelaznego trybu ćwiczeń na siłowni. Takie deklaracje składają przy wtórze noworocznych fajerwerków miliony, ale dotrzymują tego tylko nieliczni.

Dziś, gdy wielu europejskich liderów czuje się osobiście upokorzonych zimnym egoizmem Donalda Trumpa, wszyscy się zaklinają, że zbudują na naszym kontynencie samodzielną potęgę militarną. Ale niby dlaczego ma się to teraz właśnie udać, skoro wcześniej to się tak długo nie udawało?

Determinację do utrzymywania silnych i sprawnych wykazują w UE jedynie Francja i Polska oraz kraje nordyckie – Finlandia, Szwecja i Norwegia. Ducha bojowego mają armie państw bałtyckich, ale ich wojska są niewielkie. Niemcy i jej Bundeswehra to jedna wielka graciarnia. Atutem tego państwa jest jedynie stosunkowo silny przemysł zbrojeniowy. A co z resztą?

Włochy, Hiszpania i Portugalia do żadnej wojny z Rosją się nie palą. Czesi mimo prezydenta generała także nie. A już Węgrzy, Słowacy i po cichu Austriacy ogłaszają, że z Rosją wojować nie będą. Jeszcze więcej o woli walki Europy mówi sondaż Gallupa z lutego 2024 r. Otóż zbadano, jaki procent ludności deklaruje gotowość walki o swój kraj. O ile na Ukrainie to 62 proc., a w Rosji 59 proc., o tyle w głównych państwach zachodnioeuropejskich wyniki badań są wyraziście niższe.

Upadek? Czy aby nie stało się to po końcu zimnej wojny, gdy uznano, że utrzymywać należy już tylko kontyngenty do misji pokojowych w krajach Trzeciego Świata? A może jeszcze wcześniej, gdy rewolta 1968 r. i jej hasło „Make love, not war" ośmieszyły prestiż armii? I tylko poczciwa stara Ameryka trzymała niestrudzenie parasol atomowy nad Starym Kontynentem.

Teraz ten bankiet za cudze pieniądze nagle się kończy. Czy jednak Unia będzie zdeterminowana, by przez kolejne debaty budować europejską armię? Naprawdę w to wierzycie? ©℗

NAGRODA IM. KS. BP. ROMANA ANDRZEJEWSKIEGO

6 marca wręczono nagrodę im. ks. bp. Romana Andrzejewskiego za rok 2024. Otrzymał ją ks. prof. dr hab. Stanisław Sojka, sekretarz Krajowego Duszpasterstwa Rolników przy KEP. „Kapituła, przez osobę Laureata, składa hołd wszystkim zaangażowanym w utrwalanie tradycji Ogólnopolskich Dożynek Jasnogórskich. Ksiądz Sojka został uhonorowany za wieloletnią pracę przy organizacji Dożynek Jasnogórskich" – poinformowano. ***(kg)*** ©℗

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

CENZURA PRZEGŁOSOWANA

Głosami posłów koalicji KO, Trzeciej Drogi, Nowej Lewicy i Razem Sejm uchwalił w ubiegłym tygodniu rządowy projekt „ustawy o mowie nienawiści". Za głosowało 238 posłów. Przeciwko głosowali posłowie PiS, Konfederacji oraz Republikanie. Nowe prawo poszerza katalog przesłanek przestępstw z nienawiści (art. 119 par. 1 k.k.) o niepełnosprawność, wiek, płeć i orientację seksualną. Zdaniem posłów opozycji nowe przepisy wprowadzają „knebel i cenzurę rodem z PRL-u" i uniemożliwią krytykę politycznych postulatów LGBT. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

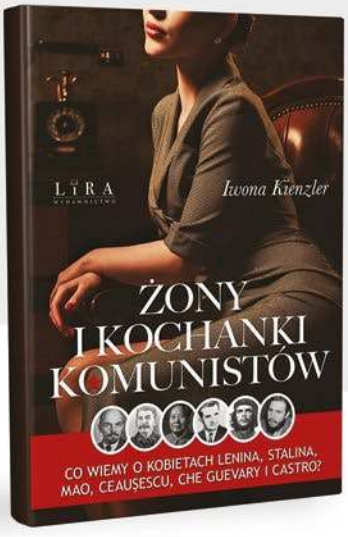

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER: „ŻONY I KOCHANKI KOMUNISTÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~771 ZŁ~~

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 478 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bf66c86d78

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Hańba temu, kto...

Nie rozumiem, jak ktoś może mieć problem z moim udziałem w konwencji wyborczej Karola Nawrockiego. Że „dziennikarz nie powinien"? Kto tak mówi? „Kodeks dziennikarski"? Ten domniemany kodeks sprzed ponad 100 lat, dziś, w dobie „brand journalism", jest równie aktualny, jak Kodeks Boziewicza. I bodaj nigdy nie był przestrzegany, bo przecież jednocześnie z wymogiem bezstronności nakładał na dziennikarza obowiązek walki o „sprawę".

Nie upieram się zresztą wcale, że jestem dziennikarzem. Kiedyś nazwałbym się raczej „pisarzem politycznym", dziś, wobec zmiany, która zaszła w komunikacji społecznej, mówię o sobie „polityczny influencer". Pisząc „Polactwo", „Michnikowszczyznę" czy „Myśli nowoczesnego endeka", nie udawałem jakiegoś Mahatmy czy Siakjamuniego, prawiącego uniwersalne mądrości z dystansu wieży z kości słoniowej. Głosiłem swój program dla Polski nie tylko w mediach i książkach, lecz także na „iwentach" politycznych – uczestnicząc i przemawiając na kongresach Ruchu Narodowego, Kongresu Nowej Prawicy, partii Porozumienie, współtworząc powiązane z ruchem Kukiz'15 Stowarzyszenie Endecja. Państwo, moi czytelnicy i widzowie, doskonale przecież o tym wiedzą. Wiedzą państwo, z jakich pozycji piszę i mówię to, co piszę i mówię, i takiego mnie państwo zaakceptowali, co mam przyjemność widzieć po nakładach i zasięgach.

Jeśli ktoś uważa, że powiedziałem na konwencji „kandydata obywatelskiego popieranego przez PiS" coś fałszywego, głupiego czy z innych powodów nagannego, to proszę o konkrety. Głuche milczenie tefałenów, ringier springerów i innych agor rządzącej sitwy przekonuje mnie, że, przeciwnie, do ani jednego mojego słowa wygłoszonego tam nie idzie się przyczepić. Gdyby było inaczej, rzuciłoby się na mnie całe peowskie stado, jazgocząc o „skandalicznych słowach na konwencji kandydata PiS". A pretensja, że to, co należało powiedzieć, powiedziałem tam, gdzie należało, żeby dotrzeć do właściwej publiczności? „Honi soit qui mal y pense" – jak głosi pewna orderowa dewiza: hańba temu, kto źle o tym myśli. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Co „byśmy powiedzieli"?

Minister Przemysław Czarnek uznał – ubierając to w parabolę na temat hipotetycznego zachowania prezydenta Dudy w podobnej sytuacji – że prezydent Zełenski zachował się w Białym Domu jak „głupek, byśmy powiedzieli". Śmiała ocena, choć zawsze w podobnych sytuacjach lubię powtarzać ewangeliczne pytanie: Cóż łatwiej powiedzieć? Co łatwiej oceniać: przywódcę państwa walczącego z najazdem i okupacją czy może własną politykę?

Mógłby bowiem minister ocenić strategię rządu, w którym sam zasiadał, i sugestie, które Ukrainie rząd ten przekazywał. Tym bardziej że chodzi nie tylko o refleksję historyczną. Solidarna odpowiedzialność ministrów za politykę gabinetu, w którym zasiadają, to nie abstrakcyjny postulat. To konstytucyjna zasada (vide: art. 157), konstytuująca powagę polityki w ogóle.

Tymczasem gabinet ten do samego końca zapewniał, że „Ukraina zwycięży, przetrwa i odsunie widmo wojny od naszych granic". My zaś do tego będziemy „dokładać wszelkich możliwych starań" i dlatego jak długo Rosja „nie wycofa swoich wojsk z międzynarodowo uznawanego ukraińskiego terytorium, to znaczy także z Półwyspu Krymskiego […], będziemy zwalczać przedwczesne propozycje odbudowywania mostów z Rosją". A do warunków przyszłego pokoju dokładał jeszcze ukaranie sprawców, co właściwie zakładało bezwarunkową kapitulację Rosji. Wszystko to nie były luźne uwagi rzucane w wywiadach czy na spotkaniach publicznych, ale oficjalne założenia polityki państwa przedstawione w Sejmie 14 (!) miesięcy po agresji rosyjskiej.

Okoliczności często wymuszają zmianę polityki. Najpierw jednak należałoby ją zmienić i poinformować o tym społeczeństwo, a dopiero potem oceniać tych, którzy za tą zmianą nie zdołali pod bombami nadążyć. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Yankee go home

I oto postulat zachodniej młodzieży, europejskich dzieci kwiatów, zaczyna się spełniać. Co prawda, z półwiekowym opóźnieniem. We Włoszech i pewnie w całej Europie gadające głowy serwują nam w telewizji dystopię pod tytułem: „Europa bez USA, Kozacy poją konie w Sekwanie". Jeremiada za jeremiadą. Tylko jeden sympatyczny lewicowy anglofil, Beppe Severgnini, zdobył się na odwagę: „A my, durnie, kiedyś wrzeszczeliśmy przed amerykańskimi bazami: »YANKEE GO HOME!«".

Cóż, głupota nie wybiera. Na własne oczy widziałem w Berlinie Zachodnim rozwydrzoną gówniarzerię protestującą przeciwko wizycie Ronalda Reagana („Panie Gorbaczow, zburz pan ten mur!"). Ale mniejsza o Germańców. Wśród rzucających kamieniami był... Polak. Potem w sądzie też tłumaczył się głupotą. Wiem, bo tłumaczyłem jego rozmowy z adwokatem.

Tak czy inaczej, chyba do wszystkich Włochów dotarło teraz, że żarty się skończyły, bo jak jankesi pójdą do domu, to przyjdzie ruski. Ta realna groźba to efekt bezrozumnych prób oswajania niedźwiedzia w imię rojeń o „dobrym ruskim" i karmieniem go forsą za gaz. Berlusconi nawet chciał Rosji w NATO. Byłem i słyszałem to na szczycie NATO – Rosja w 2002 r. w Pratica di Mare, z udziałem Busha i Putina. Berlusconi się chełpił, że oto zakończył zimną wojnę. Dwadzieścia lat później bredził, że Putin, atakując Ukrainę, miał moralną rację.

Były (?) entuzjasta Putina, wicepremier Matteo Salvini, któremu bardzo podobało się w stolicy Korei Północnej Pjongjangu („O wiele tu czyściej niż w Mediolanie"), jest teraz po uszy zakochany w Trumpie. Powiada, że Trump jest jedną wielką nadzieją Europy, a Zełenski to groźny dla pokoju kiep.

Natomiast równie wredni, co głupi włoscy postępowcy żądają, żeby premier Giorgia Meloni złożyła wyjaśnienia w parlamencie i jednoznaczną deklarację, po czyjej stronie stoi: Trumpa czy Zełenskiego, USA czy Unii Europejskiej. Oczywiście wiedzą, że kobieta próbująca doprowadzić do bardzo potrzebnego szczytu UE – USA nie może takich deklaracji składać. Meloni skomentowała, że wygrała mentalność kibola. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl bf66c86d78

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

CELEBRYCKI FRONT ANTYTRUMPOWY

Gdyby ktoś miał jakiekolwiek wątpliwości co do sympatii i antypatii politycznych polskich gwiazd, to nasza rubryka przychodzi z pomocą. W najnowszej odsłonie wielkiego sporu geopolitycznego, który ciąży na barkach i umysłach celebrytów zaangażowanych, stają oni zawsze po stronie przeciwnej wobec Donalda Trumpa.
Generalnie nie ma większego znaczenia, co z tego wszystkiego może wynikać dla Polski. Najważniejsze to być „anty-Trump". I tak reżyser Agnieszka

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Holland nie ukrywa, że aktualna sytuacja polityczna budzi w niej niepokój. Refleksję tę uczyniła w kontekście ubiegłotygodniowej gali oscarowej. – W tej chwili przeważa raczej eskapistyczne podejście, to znaczy ta rzeczywistość jest tak przerażająca dla wielu członków Akademii, zresztą dla wielu Amerykanów i dla wielu obywateli świata. My rozmawiamy dziś dzień po koszmarnej relacji z wizyty prezydenta Zełenskiego w Gabinecie Owalnym – powiedziała Holland. Jej zdaniem to poczucie chęci ucieczki od rzeczywistości może wpływać na wybory filmowe. Jednocześnie, podobnie chyba jak Wołodymyr Zełenski, artystka nie czuje klimatu powagi Gabinetu Owalnego. – Gabinet Owalny jest taki „zdesakrowany", ponieważ kilka razy kręciłam w dekoracji przedstawiającej ten gabinet, a to była dekoracja zbudowana 1:1, więc wiem, jak to wygląda. I nie mam takiego nabożnego szacunku – wyznała.
Kinga Rusin jest nieco bardziej dramatyczna. „Zaprosić kogoś »do domu«, poniżyć go i obrazić, nakrzyczeć i upokorzyć przed całym światem, a później wyprosić. To są te negocjacje wg J.D. Vance'a?" – pytała na Instagramie. „Tak, Zełenski jest w słabym położeniu. Tak, przyjechał do USA prosić o pomoc. Tak, być może powinien trzymać język za zębami i dać się swoim »gospodarzom« popisać przed własnymi mediami. Ale... ma swoją dumę – i tak, długo wytrzymał, łącznie z oskarżeniami o bycie dyktatorem i »atak na Rosję«. Nie miał nawet tłumacza – to tak, jakby stanął do walki na miecze bez oręża. Mówił po angielsku, chociaż tego języka nauczył się zaledwie kilka lat temu" – zwracała uwagę prezenterka. „»To był świetny spektakl telewizyjny« – powiedział na koniec prezydent Trump. Tak, jeśli ktoś lubi patologiczne reality shows..." – podsumowała Rusin.
Jednak zdecydowanie najzabawniejsze są reakcje celebrytów na trzeźwą ocenę sytuacji, którą przedstawił w TVN24 Piotr Kraśko. Dziennikarz, będąc ewidentnie w szoku, przyznał, że Zełenski przesadził i swoją buńczuczną postawą zaszkodził własnemu państwu. Tak, ten Kraśko. Tego już było za wiele dla Karoliny Korwin-Piotrowskiej. „Ja to oglądałam na żywo. Nie wierzę" – tak skomentowała występ kolegi ze stacji. Jest takie powiedzonko: nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę pokazuje właściwą godzinę.

RODZINNE DYWAGACJE

W celebryckim światku, tzn. na ramówce stacji TVN, objawił się niedawno tancerz Marcin Hakiel z ukochaną Dominiką i ich... trzymiesięcznym synkiem. Para wzbudziła duże zainteresowanie mediów, co gwiazd nie zaskoczyło. Chętnie odpowiadali na różne pytania, w tym te dotyczące chrztu dziecka. Okazało się, że Marcin i Dominika nie są w tej kwestii zgodni. – Już mam taki niecny plan, że wyślę Dominikę na weekend do spa i ochrzczę młodego. W sumie powinienem teraz zakrywać jej uszy, a nie młodego – stwierdził Hakiel. – No właśnie, chyba nie te uszy zakryłeś. Nie, nie, nie. Powiedziałam Marcinowi, że ewentualnie to jedna noga do wody, druga nie – nie widzę innego rozwiązania – oponowała jego partnerka. – Będzie wtedy Achilles – żartował tancerz. Dominika Serowska stwierdziła na koniec, że „już podjęła decyzję". – Jesteśmy w trakcie. Te negocjacje się nie kończą – żachnął się Hakiel. I to wszystko na wizji. Z trzymiesięcznym dzieckiem na rękach. Komentarz jest zbędny.

SKAZANA NA SUKCES

Można za to pokomentować, czy Janusz Józefowicz dopuścił się nepotyzmu czy zatrudnienie córki w swoim teatrze (jest kierownikiem artystycznym teatru Buffo) to nic zdrożnego. Szesnastoletnia Kalina Józefowicz, córka Józefowicza i Nataszy Urbańskiej, w kultowym musicalu „Metro" zadebiutowała już w 2022 r.
W wywiadzie dla Pomponika Urbańska stanowczo odparła oskarżenia dotyczące rzekomego nepotyzmu. Zaznacza, że dziewczyna nie otrzymała roli w musicalu „po znajomości", a po prostu przeszła pozytywnie przesłuchania. – Pracowała ciężko i zasłużyła sobie na to – wskazała. – Były castingi, była cała grupa młodzieży, która uczyła się wszystkich głosów całego spektaklu i ta grupa po paru miesiącach się tak przesiewała, przesiewała [...], a Kalina przechodziła przez każdy kolejny casting, była, myślę, jeszcze surowiej oceniana przez reżysera niż inni, ale też dzięki temu jeszcze bardziej nad sobą pracowała – zapewnia Natasza Urbańska. – Ja widzę, że jej bardzo zależy. Jest taka systematyczna, pokorna i kocha scenę, więc czy w Buffo, czy gdzie indziej ona sobie dawała radę, bo wyrosła obok sceny i na scenie – dodała tancerka. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, doszło u nas w korpo do zabawnego nieporozumienia xD. Otósh Nowy z Tarnowa zebrał nas w zeszłym tygodniu i powiedział, iż chciałby, abyśmy przygotowali się na kolejny tydzień, iż nadchodzi Wielki Post i musimy być gotowi.

Jako zespół kreatywny i ambitny pomyśleliśmy, iż chodzi o to, że kończy się Q1, a więc potrzebujemy zwiększyć sprzedaż pakietów Internet + telefon + odszkodowanie za kredyt we frankach + panele fotowoltaiczne + badania profilaktyczne w grupie 40+ za pomocą agresywnej promocji w social mediach.

Przygotowaliśmy więc naprawdę długie copy + kreację graficzną dotyczącą zalet łączenia powyższych produktów w pakiety (mając telefon, można wisieć na infolinii przychodni zdrowia, to jeden z przykładowych zalet połączeń, których nas uczą na wewnętrznych kursach sprzedażowych). Nawet ustawiliśmy promowanie i zadowoleni z siebie poszliśmy do Nowego, aby pokazać mu, jak wygląda nasz wielki post i że w zasadzie chcemy za niego premię. Of kors przygotowanie takiego postu mieści się w zakresie naszych obowiązków, ale poczuliśmy się z niego wyjątkowo dumni, poza tym jesteśmy zmęczeni i potrzebujemy hajsu, żeby wyjść na miasto i się zresetować.

Tymczasem Nowy zaskoczony powiedział, iż w zasadzie to on nie chciał żadnego postu w mediach społecznościowych, a kazał nam się przygotować na Wielki Post, a więc czas pokutny w Kościele katolickim, iż nasze korpo to ostatni bastion prawdziwej Polski i będziemy mieli rekolekcje, a nasz pan kanapka przez następne 40 dni będzie dostarczał tylko wczorajsze bułki z margaryną.

Jak się domyślacie, może nie dostaliśmy premii, ale za to od jutra przychodzimy o godzinę wcześniej, bo będą msza i nauki rekolekcyjne. Oczywiście nieobowiązkowe, ale Nowy zapowiedział, iż będzie się nam przyglądał…

Media społecznościowe w ogóle mogą być naprawdę przerażającym miejscem. Na przykład w grawitacyjnie uposażony czwartek i w kolejne dni nasz feed na fejsbuku został zawalony zdjęciami polityków Koalicji Obywatelskiej, którzy jedli pączki, szykowali się do jedzenia pączków bądź właśnie skończyli jeść pączki.

I wiecie co? To nam się podoba! Uśmiech, połączenie nowoczesności (fejsbuk) z etnograficzną ciekawostką (spożywanie pączków). Wszyscy zadowoleni z życia, dostatni, promieniejący taką pozytywną aurą. Tacy fajni ludzie.

I wszystko OK, fejsbuk wydaje się przyjaznym miejscem, takim naszym comfort space. Ale wiecie, co byłoby przerażające? Gdybyśmy zobaczyli te wszystkie prawackie gęby wykrzywione znad pączków, upaćkane lukrem, z plamami z konfitury (bo że nadzienia mogą być różnorodne, to przez myśl by im nie przeszło) na klapach marynarek. Brrr! Aż nas ciarki z zażenowania przeszły po kręgosłupie.

Dlatego, kochani, radzimy: uważajcie na content, który wam się pojawia, a wszystkie niepokojące treści, jak np. politycy prawicy jedzący pączka, koniecznie zgłaszajcie do moderacji. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Słodziak

Szymon, a ty wiesz w ogóle, co to jest ta chihua?
Chihuahua, Władek.

Jąkać się zacząłeś? To z nerwów?
Nie, to się tak nazywa. Tam są dwa „hua". Piesek taki.

No właśnie, malutki taki, śmieszny, koleżanka żony kiedyś miała. Może jednak daj sobie spokój z tą komisją etyki.
Ale czemu? Dojadę pasożyta!

Jak chcesz. Ale ty miałeś w ostatnim sondażu piątkę, a Sławek siedemnaście. Będą gadać, że to z bezsilności.
Nikt mnie do psa nie będzie porównywał!

Ale ty widziałeś tę chihuę? Przecież to słodziak jest. Komisja tego nie łyknie. O, tu ci filmik pokażę… ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To nie jest już nasz sojusznik".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na YouTube o Stanach Zjednoczonych po spotkaniu prezydentów USA i Ukrainy – Donalda Trumpa i Wołodymyra Zełenskiego*

eprasa.pl bf66c86d78

No i po konwencji. Było ładnie, choć trochę za długo. Chodzi oczywiście o konwencję kandydata Karola Tadeusza Nawrockiego. Ciekawa rzecz, nawet w PiS dla wielu głównym punktem programu okazało się wielkie pojednanie naszego redakcyjnego Rafała A. Ziemkiewicza z Jarosławem Kaczyńskim. Niemniej ogólnie partia jest zadowolona i nie będzie wymieniała kandydata. My też jesteśmy zadowoleni i nie będziemy wymieniali Ziemkiewicza.

Tymczasem z obozu kandydata Rafała Franciszka Trzaskowskiego płyną hiobowe wieści, bo podobno z paru sondaży wyszło, że w drugiej turze będą ciężary. Dziwnym trafem zbiega się to z doniesieniami naszych PiS-owskich wiewiórek o prognozowanych przepływach elektoratów. Podobno 80–90 proc. wyborców Brauna i Stanowskiego z pierwszej tury będzie wolało Nawrockiego od Trzaskowskiego. Szczerze, wolelibyśmy usłyszeć coś o wyborcach Mentzena.

Skoro już o koincydencjach. Jak może wiecie, Trzecia Droga to nie jest monolit. Ani nawet regalit. Raczej taka sklejanka: dwa różne patyki i taśma klejąca. Otóż wiewiórki z Peezelu opowiadają, że zbieranie podpisów pod kandydaturą Szymona Franciszka Hołowni idzie opornie. Zbiegło się to z info z okolic Polski 2050, że Szymon może się wycofać w zamian za pozostawienie go na stanowisku marszałka Sejmu (bo teoretycznie w połowie kadencji stanowisko ma przypaść Lewicy). Jak widzicie, Szymon to cwana gapa – chce zyskać coś w zamian za wyrzucenie do kosza podpisów, których nawet nie ma.

Przy okazji: kandydat Szymon Franciszek Hołownia obraził się strasznie na kandydata Sławomira Jerzego Mentzena, gdyż ten powiedział o nim „skamląca chihuahua". Szczerze mówiąc, nie widzimy powodu do obrazy. Łatwo sprawdzić w internetach, że chichuahua mają same zalety: lojalne, odważne, czujne. Więc Szymon powinien być dumny. Natomiast Mentzen – nie bardzo. Bo zdaniem wielu wymienione zalety raczej trafnie Szymona nie opisują.

Cały ten spór sprawił, że bardzo zainteresowaliśmy się pieskami chihuahua i postanowiliśmy się dokształcić w ich temacie. Wyczytaliśmy m.in., że ich przodkowie pochodzą z Meksyku, a według tamtejszych legend mieli magiczną moc pomagania duszom w podróży do krainy umarłych. No i tu się wszystko zgadza. Aktualnie Szymon pomaga w przechodzeniu do krainy umarłych duszy zdychającej Trzeciej Drogi.

Tymczasem Warszawę odwiedził George Simion, szef Sojuszu na rzecz Jedności Rumunów, sojuszników PiS w partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Półtorej godziny gadał z prezesem, a potem też trochę z Mateuszem, co wprawiło go w nastrój radosny. Gdyż wcześniej nie miał okazji z nim rozmawiać ani w Waszyngtonie, ani w Brukseli, choć jest wiceszefem EKR, której szefuje Mateusz. Cóż, nie tak łatwo porozmawiać z Mateuszem. Coś o tym wiemy.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl bf66c86d78

Zdaniem rumuńskich wiewiórek mordowanie demokracji w Bukareszcie skończy się tym, że Călin Georgescu, zwycięzca odwołanych przez eurolew prawem kaduka wyborów prezydenckich, nie będzie mógł wystartować w powtórce. Szykuje się więc wariant B – start pewnego rumuńskiego profesora o poglądach prawicowych. My też jesteśmy za tym, żeby frakcja profesorska znaczyła więcej – i w Rumunii, i w Polsce.

Z resortu sprawiedliwości: słyszeliśmy obrzydliwą plotkę, która na pewno nie może być prawdziwa. Otóż minister Adam Bodnar podobno nie jest zadowolony z faktu, że funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa noszą ostrą broń palną. I wolałby, żeby zamiast tego wyposażeni byli w gumowe pałki. W sumie racja. Czego innego spodziewać się po koalicji 13 grudnia? Każdy ma taką Amerykę, na jaką zasługuje: zamiast hasła „defund police" mamy „disarm SOP".

Z ministerstwa Bodnara wyciekła też informacja o urzędnikach, którzy pracują na tzw. zdalnym. Czyli dokładnie o tym, za co bodnarowcy ścigają Dariusza Mateckiego. Zamiast ukrócić praktykę, wzięto się za tropienie kreta czy też, jak to się dziś modnie nazywa, sygnalisty. Do zadania wyznaczono niejakiego Cypriana Maciejewskiego z Gdańska, uważanego za protegowanego samego Donalda. O skali paniki świadczy fakt, że jedna ze starych pracownic, która przeżyła wielu ministrów, zupełnie poważnie zaproponowała, żeby wszystkich, którzy mogli wynieść informację, posadzić na wariograf. Jak tak dalej pójdzie, to bodnarowcy przeproszą się z Pegasusem.

Apropos Pegasusa. Nasze policje tajne widne i dwupłciowe, odkąd przestał działać Pegasus, nie mają czym robić najgorszych bandziorów i szpiegów, które to typy robią się coraz bardziej namolne i zuchwałe. Wprawdzie trwają jakieś tam prace nad rodzimym rozwiązaniem zaczęte jeszcze za PiS, ale tak naprawdę robota się nie posuwa. W tej sytuacji kolejne wcielenia Rubcowa vel Gonzáleza nie muszą się obawiać. Toczy się co prawda kilkadziesiąt śledztw w sprawie szpiegów. Ale większość z nich wszczęto jeszcze za PiS, kiedy to Pegasus działał.

Apropos ruskiego szpiona Rubcowa. Pamiętają państwo Magdalenę Chodownik, jego kochankę? Otóż ciekawa wiadomość: jak mówią wiewiórki, znajdowała się na liście zaprzyjaźnionych z Ministerstwem Sprawiedliwości dziennikarzy także w czasach Adama Bodnara. Zaprzyjaźnionych w znaczeniu: otrzymujących komunikaty resortu, zaproszenia na konferencje i śniadania prasowe. Zastanawia nas fakt wpisania jej na listę, choć Bodnar jako prokurator generalny miał przecież dostęp do akt sprawy Rubcowa. No, ale może nic nie wiedział. To duża zaleta w kierowaniu Ministerstwem Sprawiedliwości: nie wiedzieć za dużo. Wszak Temida musi być ślepa.

Z życia Dużego Pałacu. Marcin Mastalerek Masta zwany też Brevikiem ma ostatnio święty spokój i nie musiał cierpieć z powodu kolejnego jet lagu. Po słynnych odwiedzinach u Trumpa osoba głowy państwa po prostu nie zabrała go w kolejną podróż. Powiemy szczerze – nawet specjalnie się nie dziwimy. Nie dość, że Masta ma kłopoty na odcinku języka lengłydż, to jeszcze nie odbył do końca pokuty za poprzednie niepowodzenia na linii transatlantyckiej.

Dyplomacja. Jak wiemy, esbecy masowo mają zwracane resortowe emerytury. Ale nie tylko. Otóż jako szefowa Instytutu Polskiego w New Delhi została wysłana niejaka Małgorzata Wejsis-Gołębiak. Nowa pani dyrektor to absolwentka osławionej kuźni kadr esbecji im Dzierżyńskiego w Legionowie. I kadrowa oficer bezpieki. Gratulujemy Radkowi z Chobielina. Strefa zdekomunizowana została skomunizowana.

Było o dyplomatach, to teraz o ich paszportach. W opinii wielu obecna władza posuwa się do dużych świństw. Nie będziemy polemizować. Ale dodamy od siebie, że nie gardzi również małymi. Nasze wiewiórki z okolic europarlamentu podają taki oto przykład: paszporty dyplomatyczne. Dokument jak dokument, wiadomo, że nie dostaje się go na wieczność. Zwykle jego ważność wygasa z końcem roku, w którym przestało się pełnić uprawniającą do jego posiadania funkcję. Otóż już nie, gdyż nowa władza postanowiła wygaszać dyplomatyczne paszporty od razu, europoseł czy inna persona – nieważne. Zawsze przypomina nam się w takich sytuacjach słynna mądrość z powieści „Dzieci Arbatu" Rybakowa. Jeden z bolszewików usłyszał w niej słowa: gdyby carat stosował wobec was takie metody, jak wy wobec swoich przeciwników, to żadnej rewolucji nigdy by nie było.

Prosto z Parlamentu Europejskiego. Instytucja ta bardzo dba o swoich podopiecznych. I finansuje szeroką opiekę zdrowotną. Co nas nie dziwi, my też nie chcielibyśmy, żeby światli przedstawiciele elity Europy mieli jakiekolwiek kłopoty ze zdrowiem. Dlatego ze zrozumieniem przyjęliśmy wiadomość o tym, że jedna z europosłanek zrefundowała sobie z funduszy europarlamentarnych korektę, hm… jakby tu powiedzieć… no, tej, no… pupy. W dodatku podobno jest to europosłanka z Polski, reprezentująca jedynie słuszną władzę obecną. Podajemy tę wiadomość z myślą o innych potrzebujących, którzy jeszcze nie wiedzą, że mogą. No to już wiecie.

Jeszcze o tych no… hm… jakby tu powiedzieć… pupach. Do tej pory myśleliśmy, że tzw. nudesy to moda głównie wśród nastolatków, które sobie w okresie burzy hormonalnej wysyłają gołe fotki. Tymczasem jedna z prokuratur badająca prywatny laptop pewnego prezesa odkryła, że jego podwładna na żądanie przełożonego wysyłała mu swoje rozbierane zdjęcia. I to w ilościach hurtowych. Szefa tej instytucji obecnie zaprzyjaźnionego z rządzącymi chroni immunitet, ale nawet i bez tego ciężko byłoby go usunąć. Wprawdzie w pierwotnej wersji ustawy dotyczącej tej instytucji był wymóg posiadania nieskazitelnego charakteru, ale w toku kolejnych nowelizacji zapis zniknął. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

Prezydent Andrzej Duda i prezydent Donald Trump podczas konferencji CPAC pod Waszyngtonem, 22 lutego 2025 r.

FOT. THE WHITE HOUSE/X.COM

Cena uzależnienia

Łukasz Warzecha

Prezydenci tacy jak Joe Biden czy Barack Obama zapewniali, że sojusz jest niezachwiany, ale może trzeba przypomnieć, iż to prezydent Obama podczas swojej pierwszej kadencji zasygnalizował, że zamierza znacząco zmniejszyć zainteresowanie USA Europą. Można zadać sobie pytanie: W czym gorsza jest polityka brutalnej szczerości obecnej administracji od polityki pięknych słów serwowanej przez wcześniejsze administracje, głównie demokratyczne?

Czy USA są nadal wiarygodnym partnerem w NATO i nadal możemy wierzyć, że przyjdą nam z pomocą w razie potrzeby? Prosta odpowiedź na to pytanie nie jest dzisiaj możliwa, ale nie dlatego, że powinniśmy wpadać w panikę z powodu tej czy innej wypowiedzi prezydenta Trumpa czy jego doradcy Elona Muska, tak jak to robi znaczna część polskiej elity, lecz dlatego, że ta odpowiedź nigdy nie była prosta. Tak jak art. 5 traktatu waszyngtońskiego nigdy nie przewidywał automatycznego wysłania wojsk na pomoc napadniętemu członkowi sojuszu. Mowa jest tam jedynie o podjęciu działań, które inne strony traktatu „uznają za konieczne, łącznie z użyciem siły zbrojnej".

Można zadać sobie pytanie: W czym gorsza jest polityka brutalnej szczerości obecnej administracji od polityki pięknych słów serwowanej przez wcześniejsze administracje, głównie demokratyczne? Obecna władza w Waszyngtonie wprost stwierdza, że swoje poczynania w ramach sojuszniczych zobowiązań będzie uzależniać od zaangażowania poszczególnych członków w tworzenie wspólnej siły sojuszu – a tutaj Polska, przynajmniej na poziomie finansowym, nie ma się obecnie czego wstydzić, skoro wydajemy na obronność blisko 5 proc. PKB, grubo powyżej NATO-wskiego limitu 2 proc. Mało tego, nasza Ustawa o obronie ojczyzny stawia limit minimum na poziomie 3 proc. Prezydenci tacy jak Joe Biden czy Barack Obama zapewniali, że sojusz jest niezachwiany, ale może trzeba przypomnieć, iż to prezydent Obama w swojej pierwszej kadencji zasygnalizował, że zamierza znacząco zmniejszyć zainteresowanie USA Europą i przenieść uwagę USA na Azję Wschodnią – a zatem zrobić to, co robi właśnie teraz Donald Trump. Strategiczny plan prezydenta Obamy ostatecznie nie został zrealizowany, ale nie dlatego, że Barack Obama nagle zapałał do Europy miłością, ale

eprasa.pl bf66c86d78

dlatego, iż w ogóle nie był w stanie zrealizować jakiejkolwiek spójnej strategicznej wizji. Była to po prostu bardzo słaba prezydentura, w zasadzie niezdolna do jakichkolwiek strategicznych działań.

To właśnie prezydent Barack Obama zdecydował o rezygnacji z budowy tarczy antyrakietowej w Polsce, która to decyzja – do dzisiaj nie wiadomo, czy przez ignorancję strony amerykańskiej czy celowo – została ogłoszona 17 września 2009 r. Nic dziwnego, że w naszym kraju zrobiło to fatalne wrażenie i zostało odczytane jako ukłon Waszyngtonu w kierunku Moskwy. Tak zresztą bez żadnej żenady komentował to ówczesny prezydent Francji Nicolas Sarkozy, wyrażając publicznie nadzieję, że Rosja doceni tę decyzję.

WSZYSTKO NA JEDNĄ KARTĘ

Już wtedy toczyła się w Polsce dyskusja, czy opieranie naszego bezpieczeństwa w zasadzie w całości na Stanach Zjednoczonych jest słuszne. A przecież ten kierunek jednoznacznie wybraliśmy znacznie wcześniej. Za przełomową można uznać decyzję rządu SLD z 2002 r. o wyborze samolotów F-16 na myśliwce dla polskiego lotnictwa. Konkurencja pochodziła wtedy z Francji (Mirage 2000-5) oraz ze Szwecji (JAS-39C/D Gripen). Jasne było, że ogłoszona przez ówczesnego ministra obrony Jerzego Szmajdzińskiego decyzja miała walor tyleż militarny, ile polityczny. Była deklaracją powiązania polskiego bezpieczeństwa z Ameryką za sprawą kontraktu na sumę 3,25 mld dol. (cena samego zakupu, która nie obejmuje późniejszych modernizacji; pamiętać też trzeba, że polski budżet był w owym czasie znacznie niższy, podobnie jak polskie PKB). Znamienne, że decyzję o powiązaniu obronności Polski głównie z USA podejmował właśnie rząd postkomunistów (i ludowców). Ten sam, który wysłał polskie wojsko na wojnę w Iraku w 2003 r., choć w świetle prawa międzynarodowego była to ewidentnie wojna napastnicza.

(Tu dygresja: rozgrzana prokuratura za czasów PiS ścigała obywateli z art. 117 Kodeksu karnego, który w paragrafie 3 powiada: „Kto publicznie nawołuje do wszczęcia wojny napastniczej lub publicznie pochwala wszczęcie lub prowadzenie takiej wojny, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5" – za rzekome pochwalanie rosyjskiej napaści na Ukrainę. Nigdy jednak nie ścigała nikogo za pochwalanie napastniczej drugiej wojny w Zatoce Perskiej).

Był to również ten sam rząd, który udostępnił polskie terytorium CIA, która korzystała z niego w celu prowadzenia przesłuchań islamistów metodami niezgodnymi z prawem międzynarodowym. Współpraca z Polską była dla CIA bardzo wygodna, bo umożliwiała ominięcie amerykańskiego prawa zakazującego agencji stosowania tego typu metod na terytorium USA.

W ramach politycznej demonstracji rząd PO-PSL w latach 2007–2015 próbował wykonać symboliczny zwrot w kierunku Europy, czego najbardziej znanym przykładem był kontrakt na francuskie śmigłowce H225 Caracal produkcji koncernu Airbus. Można tu pozostawić na boku eksperckie rozważania na temat ich cech technicznych i tego, czy faktycznie polska armia takich maszyn potrzebowała. Wiele wskazuje na to, że nie był to faktycznie wybór optymalny, aczkolwiek opinie były różne w zależności od tego, do których sił politycznych danemu ekspertowi było bliżej. Tamten kontrakt został jednak zawarty z powodów politycznych, podobnie jak kilka lat wcześniej kontrakt na F-16. I tak samo z powodów politycznych został zerwany prawie natychmiast po objęciu władzy w 2015 r. przez Prawo i Sprawiedliwość. Za wycofanie się z zakupu Polska zapłaciła 80 mln zł.

Rok 2015 oznaczał w ogóle ostentacyjny ponowny zwrot w kierunku Stanów Zjednoczonych, którego kulminacyjnym punktem była wizyta prezydenta Donalda Trumpa w Warszawie w lipcu 2017 r. Wystąpienie amerykańskiego przywódcy na placu Krasińskich, obok pomnika Powstania Warszawskiego, wywołało ekstazę stronników ówczesnej władzy i członków jej elity. Ze szczególną nadzieją słuchano o koncepcji Trójmorza (która ostatecznie okazała się mocno przereklamowana), ale służby Trumpa skonstruowały jego wystąpienie według najlepszych psychologicznych wzorców retorycznego dopieszczania Polaków. Było tam o naszej bohaterskiej historii, o Kościuszce i Pułaskim, o powstrzymaniu Sowietów w 1920 r. i o podwójnej okupacji: niemieckiej i sowieckiej. Nie zabrakło też słów o polskim papieżu. Ten obowiązkowy zestaw pochlebstw był jak przekopiowany z podręcznika „Jak wziąć Polaków pod włos", a zawsze bywa skuteczny, szczególnie gdy wygłasza go przywódca najpotężniejszego państwa na świecie.

Ówczesna opozycja sarkała, ale to sarkanie nie wynikało z analizy słów i realnych planów administracji USA, lecz z zapotrzebowania polityki wewnętrznej. Po prostu krytyka republikańskiego prezydenta była wpisana w pakiet opozycyjnych poglądów.

Natomiast te nieliczne głosy realistów, którzy wskazywali, że Polska dla Waszyngtonu – obojętnie pod czyim przywództwem – jest ważna tylko o tyle, o ile pozwala mu realizować jego plany, były zbywane jako malkontenctwo. Tymczasem w następnym roku do ambasady USA przy Alejach Ujazdowskich trafiła Georgette Mosbacher, która pozostała tam przez trzy lata, zachowując się jak gubernator zależnej prowincji. Poczynania ambasador, która bezceremonialnie – w Trumpowskim stylu – domagała się uwzględnienia amerykańskiego interesu tam, gdzie był on sprzeczny z polskim, jak choćby w przypadku opodatkowania wielkich firm cyfrowych, wywoływały ciche protesty nawet członków PiS. Od niektórych z nich można było poza protokołem usłyszeć, że pani ambasador zachowywała się podczas nieoficjalnych spotkań wręcz po chamsku. Ale cóż – taka była cena uzależnienia się Polski od Wielkiego Brata.

Zabawny zwrot sprawy przybrały po wygranej Joe Bidena w 2020 r. i objęciu przez niego władzy na początku 2021 r. Widać było wtedy, do jakiego stopnia nasza polityka zagraniczna jest podrzędna wobec pakietowo sprzedawanych poglądów w polityce wewnętrznej. Podczas gdy opozycja świętowała wygraną kandydata demokratów, tak jakby w wyborach prezydenckich w Polsce zwyciężył ich człowiek, obóz władzy niemalże zakwestionował rezultat, a pan prezydent Duda ostentacyjnie zwlekał z przesłaniem gratulacji. Radykalna zmiana stosunku obozu PiS do demokratycznego prezydenta nastąpiła w kolejnym roku, po napaści Rosji na Ukrainę. Nagle się okazało, że Joe Biden nie jest

eprasa.pl bf66c86d78

już zdemenciałym dziaduniem, ale wielkim światowym przywódcą i największym przyjacielem Polski.

W lutym 2023 r. ten „wielki przywódca" przyleciał do Warszawy i wystąpił przed Arkadami Kubickiego. Usłyszeliśmy okrągłe słowa o Polsce jako „wielkim sojuszniku Ameryki". Nagrany po wystąpieniu prezydenta Bidena Jarosław Kaczyński stwierdził, że ten „nic nie powiedział".

Historia najnowsza jest doskonale znana. Pod koniec ubiegłego roku wybory wygrał Donald Trump, co tym razem obecna opozycja przywitała żenującą ekstazą i „murzyńskimi" oklaskami w Sejmie, a obóz władzy wieszczeniem nieszczęść, które wkrótce spadną na świat. Przez czas pomiędzy wygraną Donalda Trumpa a objęciem przez niego urzędu i pierwszymi decyzjami, zwłaszcza tymi dotyczącymi sytuacji wokół Ukrainy, rządzący starali się zachowywać powściągliwie. Jednak wkrótce poczuli się z tego zwolnieni. O ile premier czy minister Sikorski wciąż wypowiadają się względnie dyplomatycznie, o tyle już drugi szereg polityków Koalicji Obywatelskiej albo przedstawiciele tonącej Polski 2050 folgują sobie otwarcie, robiąc z Trumpa przyjaciela Władimira Putina i grabarza rzekomej jedności Zachodu (której tak naprawdę nigdy nie było).

PASAŻEROWIE NA GAPĘ

To z konieczności schematyczne przypomnienie historii uzależnienia Polski od USA w kwestiach bezpieczeństwa i polityki międzynarodowej w ogóle jest konieczne, aby zobaczyć obecną sytuację we właściwym kontekście. Przede wszystkim aby uświadomić sobie, że jeśli mamy do czynienia z jakimś zwrotem, to głównie w warstwie komunikowania potrzeb i planów, a niekoniecznie w warstwie czynów. Kwestia jazdy Europy na gapę w ramach NATO była rosnącym problemem od dawna i prawdopodobnie podniósłby ją – może mniej brutalnie – każdy prezydent. Kamala Harris także.

W 2024 r. jedynie pięć państw sojuszu wydawało na zbrojenia więcej niż 3 proc. swojego PKB. Polska była tu na pierwszym miejscu, dalej Estonia, USA, Łotwa oraz Grecja. Aż osiem państw pozostawało poniżej minimum 2 proc.: Chorwacja, Portugalia, Włochy, Kanada, Belgia, Luksemburg, Słowenia i Hiszpania. Francja i Niemcy ledwo wyrabiały normę: 2,06 i 2,12 proc. Dysproporcja w wydatkach USA i reszty NATO na obronność w sumach bezwzględnych jest porażająca. W 2024 r. było to odpowiednio 755 mld dol. w przypadku USA i 430 mld dol. w przypadku całej reszty sojuszników. Jak długo Waszyngton pod czyimkolwiek przywództwem mógłby akceptować taką sytuację?

Ofensywa strategiczna administracji Donalda Trumpa uderza w polski interes – nie celowo, ale na zasadzie skutków ubocznych

Problemem jest również bezzasadne przekonanie – widoczne obecnie szczególnie po stronie polityków PiS – że interes Polski jest tożsamy z interesem USA, a przynajmniej na ogół bardzo do niego zbliżony. Truizmem jest stwierdzenie, że to nieprawda – choć w pewnych sprawach te interesy mogą się nakładać. Bardzo rzadko jednak dzieje się tak, aby interes hegemona, który prowadzi grę w pięciowymiarowe szachy na globalnym polu szachowym, sprzyjał bezwarunkowo państwom uznawanym w tej rozgrywce za drugorzędne. Do takich zaś z punktu widzenia Waszyngtonu należy Polska.

POLSKI INTERES

Dzisiaj ofensywa strategiczna administracji Donalda Trumpa uderza w polski interes – nie celowo, ale na zasadzie skutków ubocznych. Jednak nie dlatego, jak twierdzą wzmożeni polscy ukrainofile z obozu władzy (a także nieśmiało ci z obozu PiS), że prezydent USA zmierza do zakończenia wojny. To akurat polskiemu interesowi sprzyja. Problemem jest natomiast, że starając się osiągnąć jak największe korzyści dla swojego kraju, w jak największym stopniu spychając obciążenia na Europę, napędza procesy dla Polski niekorzystne. Przejawem tychże jest inicjatywa ReArm Europe, dopiero co przedstawiona przez Ursulę von der Leyen, w ramach której Unia Europejska miałaby zaciągnąć 150 mld euro wspólnego długu, który następnie byłby wydawany na wspólne zakupy uzbrojenia wyłącznie u europejskich dostawców. Łapę na tych pieniądzach trzymałaby von der Leyen – za którą ciągną się oskarżenia o korupcję z czasów, kiedy była ministrem obrony RFN. Wystarczy przy tym wspomnieć, że największe pieniądze na lobbing w instytucjach UE wydają trzy europejskie firmy zbrojeniowe: francusko-niemiecki Airbus, szwedzki Saab oraz francuski Thales. Pytaniem całkowicie retorycznym jest, kto na tym zarobi.

Strategia Waszyngtonu wspiera dążenie najsilniejszych europejskich krajów – w tej chwili z Francją na czele, ale za moment dołączą do niej Niemcy z nowym rządem – do centralizacji UE i pozbawienia krajów członkowskich prawa weta w sprawach zagranicznych i obrony. Jeśli sobie to uświadomimy, to absurdalnie będą wyglądać oskarżenia niektórych europejskich publicystów i ekspertów, że Donald Trump chce Europę osłabić. Prezydent Trump nie musi tego robić – Europa jest słaba sama z siebie, natomiast jego poczynania zachęcają jej najmocniejsze kraje do forsowania jedności politycznej. Polska obrywa przy tym całkiem mimochodem.

W scenariuszu pesymistycznym znaczna część Europy wróci po zamrożeniu konfliktu do jakiejś formy relacji z Rosją, czerpiąc ponownie z jej zasobów naturalnych, a jednocześnie pchając naprzód sprawę centralizacji UE, której Polska nie będzie w stanie lub nie będzie chciała zablokować, zarazem nie mając z odtworzenia stosunków z Rosją żadnych korzyści.

Czy można było to wszystko rozegrać inaczej? Zapewne tak. Wiem, że to już nudne, ale spójrzmy na Węgry, których premier chwali się nie bez powodu bliskimi relacjami z administracją Donalda Trumpa, a jednocześnie jest zapraszany na kolację przez prezydenta Emmanuela Macrona dzień przed specjalnym szczytem Rady Europejskiej, byle zmniejszyć węgierski opór wobec planów wielkich aktorów UE. Najpewniej Budapeszt znów jakoś na tym skorzysta. Nie możemy oczywiście skopiować węgierskiej polityki zagranicznej, bo jesteśmy w innym miejscu na mapie. Ale metody tejże polityki – już tak.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Canossa prezydenta Ukrainy

Wojciech Golonka

Donaldowi Trumpowi można być wdzięcznym za doprowadzenie przed kamerami do dyskredytacji polityki moralnego szantażu, która swym zakłamaniem przez ostatnie trzy lata wypierała w Polsce realizm i kalkulacje własnych interesów ze wszelkich znaczących dyskusji dotyczących wojny rosyjsko-ukraińskiej

Kaskada wydarzeń, począwszy od pamiętnego piątku w Gabinecie Owalnym prezydenta Stanów Zjednoczonych, okazała się niezwykle dynamiczna, a przede wszystkim znacząca, jeśli chodzi o rozpoznanie układu sił i ich sumę wypadkową zmierzającą we wzmożonym tempie w stronę pokoju na Ukrainie na warunkach amerykańsko-rosyjskich. Ma się rozumieć, wydarzeniom tym towarzyszą niezwykle wzburzone emocje – i te naturalnie wyzwalane, i te, zwłaszcza, podsycane przez wyjątkowo wzmożony szum polityczno-medialny, także w serwisach społecznościowych, które na przełomie lutego i marca 2025 r. doznały wprost nieustającej od tego czasu erupcji, przypominając nam, że ongiś, po przestoju zimowym, w miesiącu boga wojny otwierano na nowo w Rzymie jego świątynie.

W rzeczy samej, równolegle do trwającej od trzech lat na wschodzie Ukrainy wojny terytorialnej toczy się międzynarodowa wojna polityczna o pokój i jego warunki, a także o kolejny nowy porządek geopolityczny na świecie. Ta druga wojna nabrała właśnie niesamowitego przyspieszenia i być może zmierza jeśli nie ku końcowi, to przynajmniej ku decydującemu rozstrzygnięciu jednego z jej etapów, w którym pierwsze bezpardonowe „sprawdzam" Donalda Trumpa okazało się niezwykle skuteczne, przynajmniej na poziomie wygaszających spór deklaracji, w chwili gdy obok powojennych losów Ukrainy waży się także polityczne przetrwanie jej dotychczasowego prezydenta, Wołodymyra Zełenskiego.

EKSPRESOWY BIEG WYDARZEŃ

Odłóżmy zatem na bok, przynajmniej chwilowo, wartościowanie samych zdarzeń, a tym bardziej egzegezę scenariuszy „ustawek", które ludzie obdarzeni pewnym autorytetem podają z całym przekonaniem w zupełnej sprzeczności między sobą, by skupić się wstępnie na tychże wydarzeń spektakularnej chronologii. W piątek 28 lutego ma miejsce w Białym Domu rzecz historyczna: wobec ewidentnej niekompatybilności stanowisk, która przed kamerami całego świata przerodziła się wręcz w pyskówkę, zamiast podpisać porozumienie w kwestii eksploatacji ukraińskich metali rzadkich, mającej kompensować amerykański wkład w obronę suwerenności Ukrainy i, teoretycznie, zagwarantować powojenną stabilizację kraju przez inwestycyjną obecność Ameryki, Wołodymyr Zełenski ze swoją świtą zostaje wyproszony z siedziby prezydenta USA podczas przerwanych negocjacji. Donald Trump w oficjalnym komunikacie podaje bezzwłocznie powody rozłamu: „Stwierdziłem, że prezydent Zełenski nie jest gotowy na pokój, jeśli Ameryka jest zaangażowana, gdyż czuje, że nasze zaangażowanie daje mu przewagę w negocjacjach. Nie chcę [udzielać] przewagi, chcę POKOJU. Nie uszanował on Stanów Zjednoczonych Ameryki w ich ukochanym Gabinecie Owalnym. Może wrócić, kiedy będzie gotowy na pokój".

Dotychczasowa największa amerykańska prowojenna podpora Ukrainy, senator Lindsey Graham, nazywa spotkanie „zupełną, doszczętną porażką" i wzywa Zełenskiego do rezygnacji. Tego samego dnia premier Wielkiej Brytanii, Keir Starmer, zwołuje pilnie na niedzielę 2 marca szczyt w Londynie na rzecz dalszego militarnego wsparcia Ukrainy. Równocześnie ze strony eurokratów następuje skoordynowana akcja medialnego wsparcia dla prezydenta Zełenskiego, akcentująca potrzebę „sprawiedliwego pokoju" i potępiająca między wierszami prezydenta Stanów Zjednoczonych; szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas nawołuje nawet wprost do wymiany „lidera wolnego świata". W Polsce z obozu władzy wylewa się fala nieskrywanego i ochoczego hejtu na prezydenta Trumpa i jego prawą rękę – wiceprezydenta J.D. Vance'a, choć sensację wywołuje bardzo rozważny komentarz redaktora Piotra Kraśki w TVN24, punktujący nierozwagę postawy ukraińskiej delegacji.

Dotarłszy z Waszyngtonu do Londynu, prezydent Zełenski otrzymuje od władz Wielkiej Brytanii zapewnienia o dalszym wsparciu militarnym, jednak szczyt, po raz kolejny, potwierdza niemożność krajów zachodnich do efektywnego zastąpienia amerykańskiej pomocy wojskowej. W mediach wybrzmiewa rada premiera Starmera, aby przywódca Ukrainy dogadał się ze Stanami Zjednoczonymi – czytaj: ukorzył się – którą podchwytuje również premier Donald Tusk mimo ciągłych agresywnych ataków jego stronnictwa

eprasa.pl bf66c86d78

na włodarzy z Waszyngtonu. Trump pośrednio puentuje londyńskie spotkanie, wskazując na wewnętrzne bolączki USA i Europy: „Powinniśmy poświęcać mniej czasu na martwienie się Putinem, a więcej czasu na martwienie się gangami gwałcicieli, baronami narkotykowymi, mordercami oraz ludźmi z zakładów psychiatrycznych przybywającymi do naszego kraju – abyśmy nie skończyli jak Europa!".

W poniedziałek 3 marca prezydent Zełenski stwierdza, że porozumienie kończące wojnę między Ukrainą a Rosją jest „bardzo, bardzo odległe", i wierzy, że partnerstwo Ukrainy ze Stanami Zjednoczonymi jest na tyle silne, iż amerykańskie wsparcie będzie kontynuowane mimo ostatnich napięć. Prezydent Trump ostro reaguje w swoim medium społecznościowym Truth, stwierdzając: „To najgorsze oświadczenie, jakie Zełenski mógł zrobić, a Ameryka nie będzie tego dłużej znosiła. Tak jak mówiłem, ten gość nie chce pokoju dopóty, dopóki będzie miał wsparcie Ameryki, a Europa, w ich spotkaniu z Zełenskim, jasno oświadczyła, że nie jest w stanie załatwić sprawy bez USA". Tego samego dnia w ustnej wypowiedzi w Białym Domu Trump dodaje: „Porozumienie mogłoby być zawarte bardzo szybko; doprowadzenie do porozumienia nie powinno być aż tak trudne. Ale być może ktoś nie chce zawrzeć porozumienia, a jeśli ktoś nie chce zawrzeć porozumienia, to myślę, że ta osoba długo się nie utrzyma". W poniedziałek 3 marca Donald Trump odbywa także decydującą naradę ze swymi współpracownikami do spraw bezpieczeństwa narodowego oraz sekretarzem stanu Markiem Rubio i sekretarzem obrony Petem Hegsethem, dotyczącą zrewidowania polityki pomocy dla Ukrainy. Korespondent Fox News w Białym Domu przekazuje, że podjęto decyzję zaprzestania amerykańskich dostaw broni i sprzętu wojskowego Ukrainie; USA domagają się także przeprosin od prezydenta Zełenskiego. Na koniec dnia Elon Musk sugeruje, że Zełenski kontynuuje wojnę za wszelką cenę, aby uniknąć rozliczenia politycznego w postaci perspektywy przegranych wyborów, a następnie rozliczenia możliwej defraudacji zachodniej pomocy przez ukraińskie elity. Dlatego, celem zakończenia wojny, należy mu zapewnić nietykalność w neutralnym kraju w zamian za pokojowe oddanie władzy.

Spotkanie prezydentów Ukrainy i USA – Wołodymyra Zełenskiego i Donalda Trumpa – w Waszyngtonie 28 lutego 2025 r. FOT. SAUL LOEB/AFP/EAST NEWS

PAMIĘTNY WTOREK

We wtorek 4 marca ciśnienie polityczne i medialne wzrasta jeszcze bardziej. Europa budzi się z informacją o drastycznej decyzji Amerykanów z poprzedniego dnia, a premier Tusk potwierdza, że amerykański sprzęt dostarczany do Jasionki nie jest przekazywany dalej na Ukrainę. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen uroczyście ogłasza plan dozbrojenia Europy i wyłożenia na ten cel 800 mld euro – chodzi zarówno o krótkoterminowe finansowanie wysiłku wojennego Ukrainy w formie 150 mld euro pożyczek dla państw członkowskich na zakup dla niej broni, jak i długoterminowe zapewnienie bezpieczeństwa Europy. Media informują o propozycji Władimira Putina odnośnie do rosyjskiej mediacji między USA a Iranem, niekoniecznie podchwytując, że jest to ewidentna odpowiedź Federacji Rosyjskiej na wstrzymanie amerykańskich dostaw na Ukrainę. We wtorek po południu konto prezydenta Zełenskiego na portalu X (dawniej Twitter) publikuje obszerne oświadczenie, które nie sposób nazwać inaczej, jak dyplomatyczną Canossą: „Chciałbym powtórzyć zaangażowanie Ukrainy na rzecz pokoju. Nikt z nas nie chce niekończącej się wojny. Ukraina jest gotowa usiąść do stołu negocjacyjnego tak szybko, jak to możliwe, aby przybliżyć nadejście trwałego pokoju. Wraz z moim zespołem jestem gotów pracować pod silnym przywództwem prezydenta Trumpa, aby doprowadzić do trwałego pokoju. Jesteśmy gotowi, aby pracować szybko nad zakończeniem wojny […]. Naprawdę bardzo cenimy, jak wiele Ameryka uczyniła w pomocy dla Ukrainy, aby utrzymać jej suwerenność i niepodległość. I pamiętamy chwilę, która odmieniła bieg rzeczy, kiedy prezydent Trump zapewnił Ukrainie javeliny [broń przeciwpancerną]. Jesteśmy za to wdzięczni. Nasze piątkowe spotkanie w Białym Domu nie przebiegło, jak powinno, i jest rzeczą godną ubolewania, że tak się stało. Czas uczynić rzeczy, jak należy. Chcielibyśmy, aby przyszła współpraca i komunikacja były konstruktywne. Odnośnie do porozumienia w kwestii złóż minerałów i bezpieczeństwa Ukraina jest gotowa podpisać je w każdym momencie i w jakimkolwiek formacie. Widzimy w tym porozumieniu krok ku większemu bezpieczeństwu i solidnym gwarancjom bezpieczeństwa, i szczerze ufam, że okaże się ono skuteczne".

Wieczorem tego samego dnia w Waszyngtonie, w czasie prezydenckiego wystąpienia do połączonych izb Kongresu,

eprasa.pl bf66c86d78

Donald Trump oznajmił, że tego dnia otrzymał list od prezydenta Zełenskiego, oświadczającego gotowość władz Ukrainy do wzięcia udziału w negocjacjach pokojowych i podpisania umowy w sprawie minerałów, dodając, że docenił ten fakt. Jednocześnie Trump wskazał, że poprzednia administracja dała Ukrainie 100 mld dol., ale żadnych gwarancji, a ponieważ demokraci przerwali mu wystąpienie wydłużonymi oklaskami za wyświadczoną Ukrainie przez administrację Bidena pomoc, to zapytał ich: „Czego chcecie więcej – kolejnych pięciu lat wojny?". W tym samym wystąpieniu zarzucił także Europie, że znacznie więcej wydała na zakupy gazu i ropy od Rosjan, niż łożyła na obronę Ukrainy.

Co do meritum: tak zestawiona chronologia następujących po sobie od piątku wydarzeń, w tempie blitzkriegu, w zasadzie nie wymaga komentarza dla zrozumienia ewolucji sytuacji. Donald Trump oświadczył w Białym Domu Wołodymyrowi Zełenskiemu, że ten nie ma kart, tj. nie może dyktować Amerykanom warunków z pozycji siły, a wobec oporu ukraińskiego stanowiska powiedział następnie twardo: „Sprawdzam". Najróżniejsze deklaracje eurokratów co do trwania przy Ukrainie bez względu na koszty okazały się bez pokrycia – jeśli Europa miała przejąć rolę Amerykanów, to straciła trzy lata, a nawet to, czego dokonała, i tak bardzo poważnie nadwyrężyło jej finanse – budżety krajowe się nie spinają, deficyt wszędzie rośnie, kluczowe rządy tracą większości parlamentarne lub topnieje ich poparcie, a ongiś mocarstwowe potęgi pokroju Francji czy Wielkiej Brytanii, pragnące zagwarantować bezpieczeństwo Ukrainy swymi wojskami rozjemczymi, nie są nawet w stanie upilnować własnych granic przed zwykłymi pontonami… Nawet dotychczasowe zapewnienia medialne o zapasach Ukrainy umożliwiających jej zbrojną autonomię przez najbliższe sześć miesięcy okazały się kruche – radykalna zmiana kursu Kijowa nastąpiła w niecałe 24 godziny po decyzji Waszyngtonu i jeśli nie zrobiono by tego z czystego rachunku zysków i strat, to niewątpliwie ukraińskie siły zbrojne, pozbawione swego głównego zaopatrzenia, dałyby się prędzej czy później tamtejszym politykom we znaki, ponosząc na polu walki jeszcze bardziej wyniszczające konsekwencje ich decyzji.

Ma się rozumieć, posunięcia Amerykanów odbywają się w znacznie szerszym kontekście geopolitycznym, a przede wszystkim w ramach ich coraz bardziej zaawansowanych rozmów z Rosjanami. Marco Rubio powiedział, że USA nie mają na wyrost zaufania do Rosji i chcą dla jej deklaracji potwierdzenia w postaci czynów, ale ta dyplomacja transakcyjna jest przecież obustronna – Rosjanie oczekiwali, jako wstępnego warunku rokowań, zaprzestania dostaw amerykańskiej broni na Ukrainę, co właśnie miało miejsce. A czego Amerykanie oczekiwali w zamian? Najwyraźniej przeciągnięcia Rosjan na swoją stronę w kwestii uniemożliwienia Iranowi pozyskania broni jądrowej – i w tym właśnie kierunku należałoby odczytać deklarację Władimira Putina. Dodajmy, że oczywistym elementem brakującym w tym wstępnym rozrachunku jest kluczowe dla amerykańskiej polityki zagranicznej bezpieczeństwo Izraela.

POLSKA BEZ INICJATYW

Na koniec, jakkolwiek by oceniać ruchy Donalda Trumpa, działa on według wypróbowanej przezeń taktyki prowokacji słownej i podbijania stawki w górę celem doprowadzenia do porozumienia, choć w tym wypadku stawką dla Ukrainy było po prostu jej być albo nie być. Mimo drastyczności jego posunięcia można mu być wdzięcznym w szczególności za dwie rzeczy: po pierwsze, doprowadził przed kamerami do dyskredytacji polityki moralnego szantażu (rzekomo moralnego), która swym zakłamaniem przez ostatnie trzy lata wypierała w Polsce realizm i kalkulacje własnych interesów ze wszelkich znaczących dyskusji dotyczących wojny rosyjsko-ukraińskiej. Po drugie, nie mniej ważne, publicznie skarcił prezydenta Zełenskiego za igranie z trzecią wojną światową poprzez próby wciągnięcia USA (i krajów NATO) do wojny z Rosją, co dla Polski byłoby oczywistą katastrofą.

Pytaniem otwartym pozostaje, jak daleko, dokonując zwrotu w swej dotychczasowej orientacji, Wołodymyr Zełenski postawi gospodarczo na Amerykanów w miejsce zabiegających o swoją porcję tortu europejskich graczy, choć jego deklaracja wskazywałaby na daleko idący pragmatyzm w oparciu o twarde, bezlitosne realia chwili. Jeśli lewarem Unii pozostają m.in. zamrożone rosyjskie aktywa w wysokości 200 mld euro (co tłumaczyłoby deklarację Władimira Putina, aby kraje Europy także docelowo uczestniczyły w rokowaniach), to ewidentnie działania eurokratów są skierowane przede wszystkim na siebie, tj. na wykorzystanie tej kolejnej kryzysowej okazji na stworzenie wyczekiwanej przez nich ziemi obiecanej, Europy państwa, z czym się nie kryją, tym razem w oparciu o wspólną politykę obrony, choć – ale to drobny szczegół – w żadnym razie nie należy ona do prerogatyw Komisji Europejskiej.

W tej sytuacji martwi nie tylko brak wszelkich inicjatyw polskiej prezydencji Unii Europejskiej, lecz także, generalnie, automatyczna orientacja na Brukselę i Berlin. Na chwilę obecną trudno nie odnieść wrażenia, że znacznie prędzej niż później Ukraińcy pogodzą się z goryczą chwili, próbując przekuć w sukces ich „nowe" partnerstwo z USA, podczas gdy Warszawa pozostanie z falą hejtu, którą obóz władzy instynktownie i jakby wręcz z wewnętrznego przymusu wylał na amerykańskich włodarzy, pokładając swe nadzieje na bezpieczeństwo w nieistniejącym europejskim państwie. Skupmy się na polskich wyborach, bo stawką Pałacu Prezydenckiego okazuje się coś znacznie większego niż tylko kwestia domknięcia polityki wewnętrznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Pod sztandarem „zdrowego rozsądku”

Piotr Semka

Karol Nawrocki wyrwał swoją kampanię ze stanu ciągłego objazdu Polski powiatowej i może już lansować stosunkowo zwarty katalog swoich postulatów. Ale czeka go jeszcze ciężka walka nie tylko z kandydatem PO, lecz także Konfederacji, który goni szefa IPN

Konferencja programowa w Szeligach pod Warszawą miała być sygnałem, że kampania kandydata obywatelskiego wchodzi w nową fazę. Karol Nawrocki wystąpił z dobrze przygotowanym programem 21 postulatów. Nie powtórzyła się sytuacja z grudnia, gdy wyraźnie musiał posiłkować się kartką

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl bf66c86d78

Takiego wydarzenia brakowało w kampanii Karola Nawrockiego już od wielu tygodni. Konferencja programowa w Szeligach pod Warszawą 2 marca miała być sygnałem, że kampania kandydata obywatelskiego wchodzi w nową fazę. Najwyraźniej sztabowcom zaczęła ciążyć złośliwa opinia, że ich kandydat nie ma zdania prawie w żadnej sprawie. Teraz Karol Nawrocki wystąpił z dobrze przygotowanym programem 21 postulatów. Nie powtórzyła się sytuacja z grudnia, gdy wyraźnie musiał posiłkować się kartką. Widoczny był efekt długiej pracy ze specjalistami z różnych dziedzin. Jaki jest ten nowy Nawrocki i czym ma się wyróżniać wśród swoich rywali w wyścigu prezydenckim?

POD ZNAKIEM WDZIĘKU EMILII WIERZBICKI

Realizatorzy konferencji w Szeligach zadbali, by urodę rzeczniczki kandydata obywatelskiego eksponować jak najczęściej. Razem z równie urodziwą eksprezenterką Agnieszką Oszczyk demonstrowały urodę prawej strony polskiej opinii publicznej. Nie zapomniano też o symbolice patriotycznych barw. Agnieszkę Oszczyk ubrano całą na biało, a Emilia Wierzbicki wybrała jaskrawo czerwony kostium.

Show zaczął się od wystąpienia prof. Andrzeja Nowaka, który traktuje swoje zaangażowanie w kampanię Nawrockiego bardzo serio. Profesor z Krakowa przypomniał, że wiosna tego roku będzie nagromadzeniem wielu istotnych dat: od 1000. rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego, przez 500. rocznicę hołdu pruskiego, do symbolicznej daty drugiej tury wyborów prezydenckich – 1 czerwca. Moment kojarzący się wielu Polakom z początkiem historycznej wizyty Jana Pawła II w ojczyźnie w 1979 r., która rozpoczęła się 2 czerwca. Andrzej Nowak przy okazji przypomniał papieskie hasło: „Nie lękajcie się", które zacytował sam wiceprezydent USA J.D. Vance na niedawnej konferencji w Monachium.

I w ten sposób konwencja nawiązała do trumpistowskiej rewolucji politycznej w USA. A w roli kogoś, kto pomógł przenieść tamtejszy rozmach i zapał w polskie realia, był zaproszony na konferencję mój redakcyjny kolega Rafał A. Ziemkiewicz. I w rozmowie z Emilią Wierzbicki, która była kopią podobnego formatu, w którym Rafał występuje w TV Republika, pojawiły się nadzieje, że Rewolucja Zdrowego Rozsądku, która odmieniła Amerykę, odmieni już niedługo i Polskę.

O ile występ Rafała A. Ziemkiewicza na konferencji był niespodzianką – i jak się zdaje ukłonem dla wyborców Sławomira Mentzena – o tyle kolejni goście już zaskakiwali znacznie mniej. Marta Kaczyńska była na konferencji żywym symbolem wciąż bardzo istotnej dla PiS pamięci o Lechu Kaczyńskim, a lider NSZZ „Solidarność", Piotr Duda, miał być dowodem troski Nawrockiego o wyborców nastawionych na kwestie socjalne. Ale wszyscy wiedzieli, że głównym daniem wieczoru ma być prezentacja programu samego Nawrockiego. Jego wejście na salę i ściskanie dłoni, zarówno zwykłym wyborcom, jak i PiS-owskim tuzom, przeciągano niemal w nieskończoność. Wszystko przy bojowej muzyce skopiowanej, jak się zdaje, z amerykańskich wieców Trumpa.

JAK NAJBLIŻEJ LUDZI

„Ludzie chcą żyć w Polsce normalnie. Ja dziś stoję przed wami, żeby to zrobić [...]. Skuteczność to moje drugie imię". Ten początek przemowy Nawrockiego dobrze wpasowywał się we wcześniejsze deklaracje rewolucji zdrowego rozsądku. Nawrocki odwoływał się do wrażliwości zwykłego Polaka, który nie ufa Zielonym Ładom i z niepokojem patrzy na eksperymenty minister Barbary Nowackiej w szkołach mające wpływ na dzieci. Wśród 21 postulatów, które przedstawił Nawrocki, wyróżnić można było cztery grupy. Pierwsza to obietnice ekonomiczne. Od zapowiedzi obniżki VAT do 22 proc., przez PIT 0 dla rodzin, które mają dwoje lub więcej dzieci, do konstytucyjnego zapisu ochrony przed podatkiem katastralnym i wprowadzenia zasady dziedziczenia bez potrzeby uiszczenia podatku. Nawiązaniem do zasług rządów PiS z lat 2015–2023 była deklaracja wykreowania „budżetowego pancerza", który ma zapobiec działalności mafii VAT-owskich.

Kolejny istotny element to wyraźna zapowiedź odrzucenia Zielonego Ładu, co było ukłonem dla NSZZ „Solidarność". Osobna grupa postulatów dotyczy bezpieczeństwa państwa i temu służyła zapowiedź Nawrockiego odrzucenia zarządzeń paktu migracyjnego. Postulat zbudowania skutecznej obrony cywilnej to z kolei echo postulatów środowiska Strategy and Future Jacka Bartosiaka i Marka Budzisza.

I wreszcie Nawrocki zapowiedział swoją determinację we wprowadzaniu czterech kół zamachowych innowacji Polski. Chodzi o budowę CPK, próbowanie rozbudowy energii atomowej i wsparcie dla Funduszu Rozwoju Technologii Przełomowych. I znów wabikiem dla zwolenników Konfederacji miały być wyraźne „nie" dla projektu wprowadzenia euro w Polsce i gwarancje dla możliwości obracania gotówką.

Wszystkie te postulaty Nawrocki omawiał z głowy, bez pomyłek. Najtrafniej ten wysiłek skomentował prof. Arkadiusz Jabłoński: „Widać człowieka, który odrobił pracę domową, gdy idzie o prezentowanie się przed mediami, i w gestykulacji, i w mimice, i nawet w samym jego wyjściu na scenę, i w sposobie mówienia. To wszystko zostało dopracowane i Karol Nawrocki brzmiał przekonująco. Jak to często bywa w polityce, najprostsze przekazy bywają najskuteczniejsze. I tak prezentowała się jego powtarzana polityczna mantra: „Kto głosuje na Rafała Trzaskowskiego, głosuje na Tuska. Kto głosuje na Karola Nawrockiego, głosuje przeciwko Tuskowi".

Ta strategia wywołała czujną reakcję komentatorki „Rzeczpospolitej" Estery Flieger: „Choć obietnice Karola Nawrockiego są sprzeczne i nie do spełnienia, w niedzielę zdradził się ze strategią, która może być dla Rafała Trzaskowskiego groźna. 18 maja ustawia jako dzień referendum przeciwko rządowi Donalda Tuska. Co charakterystyczne, Nawrocki wymienia z nazwiska jedynie kandydata Koalicji Obywatelskiej. I niekiedy trafiał bardzo celnie w swego rywala, gdy np. mówił: »Aż pięćdziesiąt lat Trzaskowski potrzebował, żeby zorientować się, że są tylko dwie płcie. Albo nie miał refleksu, albo dziś kłamie«".

Puentą spotkania w Szeligach było krótkie, ale wyraziste wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego. Jego przekaz był bardzo treściwy – nie ma mowy o żadnej wymianie kandydata. Karol Nawrocki to kandydat PiS i koniec dyskusji. Ta mocna deklaracja lidera PiS wyglądała jak przekaz do własnych szeregów z wyraźnym wskazaniem, by wreszcie struktury lokalne partii zaczęły się na 100 proc. angażować w kampanię. Jak można podejrzewać, temu ma też służyć

eprasa.pl bf66c86d78

zaplanowane na 6 marca specjalne spotkanie Nawrockiego z klubem PiS.

Wspomniane już wystąpienie prof. Nowaka ujawniło obawy w obozie PiS, że ekipa Tuska może próbować jakiejś formy „wariantu rumuńskiego". W trakcie swego przemówienia na konferencji w Szeligach prof. Andrzej Nowak wyraził nadzieję, że „nie dojdzie do kryterium ulicznego, aby wywalczyć wynik wyborów". Wśród polityków PiS słowa te wywołały dyskusje, czy był sens wspominania o możliwości nadużyć, gdyż może to demobilizować akcję wyborczą. Jednakże pomijanie tych obaw to także zamykanie oczu na potencjalne niebezpieczeństwo. Tak źle i tak niedobrze. Te rozterki PiS pokazują, jak ciężko stosować normalne pojęcia z zakresu polityki do państwa rządzonego przez wyznawców demokracji walczącej.

ECHA ZZA ATLANTYKU

W czasie konferencji widać było, że Nawrocki nie ma specjalnie ochoty komentować awantury w Gabinecie Owalnym Białego Domu między Donaldem Trumpem a Wołodymyrem Zełenskim. Cała ta sprawa była dość delikatna dla Prawa i Sprawiedliwości. Wyraźne rozgrzeszanie przez Trumpa Rosji z zarzutu rozpętania wojny na Ukrainie było ignorowane przez polityków PiS, którzy woleli podkreślać raczej niestosowność zachowania prezydenta Ukrainy w czasie gościny u Trumpa. Ta wstrzemięźliwość wywołała irytację u części publicystów zaangażowanych w ideę wspierania przez Polskę wojny za naszą wschodnią granicą. Od takiego stanowiska Trumpa wyraźnie dystansowały się takie osoby publiczne szeroko rozumianego obozu prawicy, jak były ambasador RP w USA Marek Magierowski, była szefowa Biełsatu Agnieszka Romaszewska czy Piotr Skwieciński. Najostrzej tę konsternację wyraził inny publicysta, Piotr Zaremba, który pisał, że PiS-owska prawica nie ma odwagi ocenić kursu Trumpa wobec Rosji. „PiS w pozycji strusia z głową w piasku" – tak ironizował Zaremba na portalu Interia. Karol Nawrocki w tej sprawie prezentował stanowisko zgodne z PiS. Pytany przez jednego z dziennikarzy o sprawę awantury w Białym Domu usprawiedliwiał Trumpa, mówiąc, że „ten ma swoją poetykę w dyplomacji i awantura w Białym Domu to kolejna odsłona tej poetyki". Prezydentowi Zełenskiemu poradził, by „przemyślał swoje postępowanie i wobec swoich sąsiadów, tj. Polski, i mocarstwa, którym są USA". „Nie uważam [...], że prezydent Trump stoi tam, gdzie stoi Władimir Putin, natomiast jest to rodzaj twardej negocjacji".

Nie jest tajemnicą, że sztabowi Karola Nawrockiego bardzo zależy na tym, by doszło do spotkania Nawrockiego z Trumpem

Ta wypowiedź ściągnęła na Nawrockiego ostre krytyki mediów sprzyjających polityce Donalda Tuska. Praktyczność takiej linii sprawdziła się jednak stosunkowo szybko. Oto bowiem sam Zełenski złożył coś w rodzaju samokrytyki i wystąpił o ponowne spotkanie z Trumpem w celu podpisania umowy o minerałach ziem rzadkich. Tworzyło to sytuację, w której obrońcy Trumpa stanęli wobec stosunkowo szybkiej kapitulacji ukraińskiego prezydenta.

Ten dość korzystny dla polityków PiS rozwój wydarzeń nie unieważnia jednak pytania, jak politycy ci zareagują, jeżeli Trump pójdzie na jakieś ustępstwa wobec Moskwy. Tyle że Nawrocki też nie ma dużego marginesu ruchu w komentowaniu polityki USA. Nie jest tajemnicą, że sztabowi kandydata obywatelskiego bardzo zależy na tym, by doszło do spotkania Nawrockiego z Trumpem, jeśli ziści się projekt wizyty gospodarza Białego Domu w Polsce na Szczycie Trójmorza w Warszawie w końcu kwietnia. A nawet parominutowe spotkanie i zdjęcie Trumpa „przybijającego piątkę" Nawrockiemu może oddziaływać na wyobraźnię wyborców silniej niż tysiące wyborczych klipów.

JAK RYWALIZOWAĆ Z „KONFĄ"?

Konferencja w Szeligach nie odpowiedziała na coraz bardziej istotne pytanie: Jaką politykę Nawrocki powinien przyjąć w kampanii wobec Sławomira Mentzena? Jeśli porównać dwa sondaże Opinii24 i RMF FM, to w grudniu Mentzen miał w sondażach 11 proc. przy 23 proc. Nawrockiego, a w lutym lider Konfederacji uzyskiwał już 17 proc. przy 22 proc. na Nawrockiego. Dotychczasowa doktryna Nawrockiego głosiła i głosi, że lidera „Konfy" nie należy atakować, aby nie zrazić jego wyborców bardzo potrzebnych w drugiej durze. Oznaczało to atakowanie jedynie Trzaskowskiego przy ignorowaniu Mentzena. Co jednak się stanie, jeżeli Mentzen przekroczy próg 17 proc.? Wtedy Nawrocki będzie musiał walczyć o samo dostanie się do drugiej tury, co wcześniej uważano za coś oczywistego. Oczywiście dalszy wzrost Menzena nie jest – na razie – czymś oczywistym. Zresztą trudno było nie zauważyć, że dla mediów liberalnych wspieranie Mentzena kosztem Nawrockiego było bardzo kuszącą wizją. Jedna z agencji ogłosiła nawet mijankę sondażową Mentzena z Nawrockim, tyle że taki wynik uzyskano, biorąc pod uwagę tylko sondaż internetowy, który siłą rzeczy preferuje młodych wyborców i dyskryminuje starszy elektorat.

Trudno też nie zauważyć, że Mentzen przyjął bardziej luźny styl na wiecach niż Nawrocki traktujący widownię swych wieców bardzo serio. Konfederaci złośliwie głoszą, że „Nawrocki jest 40-latkiem, który wygląda jak 50-latek, a mówi jak 60-latek". Sztab Nawrockiego ripostuje, że większa powaga ich kandydata buduje większe zaufanie. Ludzie widzą, że kandydat PiS wytrzyma w razie najgorszych scenariuszy nawet poważne przeciążenia polityczne.

Najbliższe tygodnie pokażą, czy wysunięcie 21 postulatów pomoże Nawrockiemu. Tak samo uważnie śledzić należy pozycję w rankingach Sławomira Mentzena. Jedno jest jednak pewne: Nawrocki wyrwał swoją kampanię z pewnego stanu dryfu i może już lansować stosunkowo zwarty katalog swoich postulatów.

Na pewno jednak przed Nawrockim dalsza ciężka praca w celu uzyskania wrażenia swobody w rozmowie z wyborcami. Wciąż za mało jest w jego występach miejsca na odrobine luzu czy uśmiech.

Jeśli założyć, że przedostanie się do drugiej tury, to wtedy kluczowe będą ostatnie dwa tygodnie wyborczego wyścigu. I z opinii, które dochodzą ze sztabu, właśnie na ten okres, czyli po pierwszej turze, sztab szykuje najwięcej fajerwerków. Tyle że do tej drugiej tury wcześniej trzeba się dopchać. A Sławomir Mentzen też miewa twarde łokcie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Z prof. Antonim Dudkiem, historykiem i politologiem z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Strachy na Lachy!

RYSZARD GROMADZKI: Sprawa ukraińska zdominuje nadchodzące wybory prezydenckie w Polsce? Wygląda na to, że wycofanie się USA z finansowania wojny na Ukrainie po awanturze z prezydentem Zełenskim w Białym Domu będzie miało daleko idące konsekwencje dla sytuacji w Europie, łącznie ze scenariuszem, być może mało prawdopodobnym, w którym Polska zostanie wciągnięta do tej wojny.

PROF. ANTONI DUDEK: Nie wydaje mi się, żeby groził nam aż tak dramatyczny scenariusz. Nie przeceniałbym też wpływu ostatnich wydarzeń w Białym Domu. Gdyby te wybory miały odbyć się w najbliższą niedzielę, to zgoda. Ale pamiętajmy, że będziemy wybierać prezydenta 18 maja. W ciągu ponad dwóch miesięcy z pewnością jeszcze wiele rzeczy się wydarzy i to, co miało miejsce 28 lutego w Białym Domu, raczej nie będzie znacząco rzutowało na sytuację. A poza tym czy to się przełożyło wprost na poparcie jednego kandydata przeciw innym? Nie byłbym taki pewien.

Nie znaczy to, że wojna na Ukrainie i geopolityczna rozgrywka wokół niej nie będą miały wpływu na wybory prezydenckie w Polsce, jednak nie zakładam, że Putin tej wiosny zaatakuje państwa NATO tylko dlatego, że w Białym Domu doszło do kłótni między Trumpem a Zełenskim. Całkowite wstrzymanie amerykańskiej pomocy prawdopodobnie sprawi, że Ukraina nie będzie się w stanie bronić, ale nie w najbliższych dniach czy tygodniach. To raczej kwestia kilku miesięcy. Były już szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Jacek Siewiera, mówił, że na przełomie lat 2024 i 2025 Amerykanie przesłali na Ukrainę największy pakiet pomocy wojskowej od początku tego konfliktu. Z całą pewnością Ukraińcy mają więc pewien zapas materiałów wojennych, który wystarczy im na więcej niż kilka tygodni walki. Dlatego nie spodziewam się dramatycznego przełomu na froncie w perspektywie trzech najbliższych miesięcy. Oczywiście mogę się mylić. Jednak w Polsce coraz łatwiej popadamy w histerię i jakąś katastroficzną atmosferę za sprawą telewizyjnego show, bo – jak powiedział Trump – „robimy wielką telewizję". I rzeczywiście zrobił „wielką telewizję", bo takiego show w Białym Domu jeszcze nikt przed nim nie urządził. Jednak za mało czasu upłynęło od awantury w Gabinecie Owalnym, żeby przesądzać, jak rozwinie się sytuacja. Jestem sobie w stanie wyobrazić, że Amerykanie już definitywnie zakręcą kurek z pomocą wojskową dla Ukrainy, ale równie dobrze po przejściowym kryzysie z Zełenskim z jego udziałem – albo już bez niego – jakaś umowa zostanie podpisana. Sprawa przyszłości Ukrainy wciąż jest otwarta. Odwrotu nie będzie do czasu, aż w Kijowie na fotelu prezydenta zasiądzie jakiś Janukowycz bis.

Skupmy się na wyborach w Polsce. Czy scenariusz, w którym Karol Nawrocki nie wejdzie do drugiej tury wyborów, a w decydującej rozgrywce zmierzą się Rafał Trzaskowski i Sławomir Mentzen, jest realny? Jeden z ostatnich sondaży sugeruje, że to możliwe.

Uważam, że ten scenariusz należy brać pod uwagę. Natomiast czy trend, który dał o sobie znać w sondażu, na który się pan powołał, się potwierdzi, pokażą sondaże z marca i pierwszej połowy kwietnia. Ten pojedynczy sondaż nie jest dla mnie absolutnie miarodajny. Za to na podstawie zdecydowanej większości sondaży od połowy stycznia do końca lutego widać gołym okiem, że poparcie dla Mentzena rośnie, a dla Nawrockiego stoi w miejscu. Przy czym Nawrocki miał wciąż znaczącą przewagę nad Mentzenem, na poziomie od 5 do 10 punktów procentowych, w zależności od sondażu. Jednak niewątpliwie widać tendencję rosnącą dla Mentzena i stagnację notowań Nawrockiego. Tyle tylko, że zdobycie każdego kolejnego procenta poparcia będzie dla Mentzena coraz trudniejsze, bo ten wzrost dokonał się przede wszystkim kosztem Hołowni, a w mniejszym stopniu prawicowych kandydatów.

Odebranie głosów Braunowi, który zapewne liczył na większe poparcie, Jakubiakowi, a także może Stanowskiemu będzie już trudniejsze. Przepływy elektoratu nie będą tu tak łatwe do pokazania jak w przypadku Hołowni, bo dotyczą kandydatów z niskim procentem poparcia. Przyjmując, że Mentzen ma w tej chwili plus minus 17 proc., żeby dogonić Nawrockiego, musi przekroczyć magiczną barierę 20 proc., bo trzeba tu uwzględnić margines błędu, który nawet przy najbardziej wiarygodnych sondażach wynosi jakieś 3–4 proc. Więc jak długo badania sondażowe nie będą pokazywały, że różnica między Nawrockiem a Mentzenem jest mniejsza niż 4 punkty procentowe, tak długo będę uważał, że Nawrocki ma znacznie większe szanse wejścia do drugiej tury wyborów. Jednak jeżeli na przestrzeni półtora miesiąca ich wyniki się zbliżą, wtedy 18 maja wszystko może się wydarzyć. Doświadczenie poprzednich wyborów uczy, że ważny jest nie ostatni sondaż publikowany nawet trzy dni przed głosowaniem, ale

eprasa.pl bf66c86d78

trend, który zarysował się kilka tygodni przed nim.

Bo taki trend uprawdopodabnia efekt kuli śnieżnej?

Dokładnie tak. Na razie nie wygląda jeszcze na to, że Mentzen uruchomił efekt kuli śnieżnej, ale ku temu to zmierza. Zobaczymy, co się będzie dalej działo podczas spotkań kandydatów z wyborcami w marcu. Bo teraz rzuca się w oczy to, że główni kandydaci – Trzaskowski i Nawrocki – robią spotkania w zamkniętych salach, a Mentzen urządza je na otwartych placach, w małych miasteczkach, i tam widać naprawdę duże tłumy. To jest bardzo znamienne. Zobaczymy, czy kiedy zrobi się cieplej, główni pretendenci będą nadal spotykać się ludźmi w zamkniętych salach czy wyjdą do nich na powietrze. Wtedy będzie można się przekonać, kto przyciąga większe tłumy na swoje spotkania. Bardzo jestem ciekawy, jak ta rywalizacja będzie przebiegała wiosną.

Z czego wynika impas kampanii Nawrockiego? Dlaczego wciąż nie może on przebić pułapu poparcia, który osiąga w sondażach PiS?

Rzecz w tym, że agenda polityczna Nawrockiego plasuje się wyraźnie na prawo od PiS. Gdyby ją przełożyć na partie polityczne, to jej miejsce będzie gdzieś między nieistniejącą już Suwerenną Polską a Konfederacją – mam na myśli oczywiście ruch narodowy w Konfederacji, a nie wolnościowców Mentzena. Dlatego np. dla najbardziej umiarkowanego skrzydła PiS, sympatyzującego z byłym premierem Morawieckim, Nawrocki jest zbyt radykalny i z tego powodu odstręcza umiarkowanych PiS-owców. Moim zdaniem tu leży przyczyna, która nie pozwala mu przebić się w sondażach do poziomu, który osiąga sam PiS. W nielicznych przypadkach w trakcie kampanii, podczas której Nawrocki przedstawiał własne poglądy, a nie powtarzał formułki uzgodnione ze sztabem, wyłaniał się mniej więcej taki jego profil polityczny. To fatalna okoliczność z punktu widzenia walki o centrowy elektorat, bo tworzy dystans, moim zdaniem, bardzo trudny do odrobienia w drugiej turze. Jednak ta faza wyborów ma to do siebie, że frekwencja w niej jest wyższa niż w pierwszej turze za sprawą dużej grupy wyborców mało zainteresowanych polityką, którzy nie głosują w pierwszej turze wyborów, ale pod

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl bf66c86d78

wpływem różnych impulsów, namówieni przez znajomych, włączają się w decydującą rozgrywkę. PiS to zrozumiał, stąd najważniejszą konkluzją niedawnej konferencji wyborczej w Szeligach było rzucenie przez Nawrockiego hasła „referendum na temat rządu Tuska", którym miałyby stać się wybory prezydenckie. Oceniam to jako akt pewnej desperacji, bo jest to przyznanie się, że nie ma właściwie znaczenia, kto jest kandydatem PiS; nieważne, czy będzie to Nawrocki, Błaszczak czy Morawiecki, ważne, że głosujesz przeciw rządowi Tuska albo za tym drugim, którym zapewne będzie Trzaskowski.

Przyjęcie strategii antytuskowego referendum w wyborach prezydenckich oznacza, że formuła „kandydata obywatelskiego" okazała się niewypałem?

Oczywiście, że tak. Jak pan zauważył, jego notowania są konsekwentnie niższe niż partii, która teraz popiera go już oficjalnie. Od niedzieli 2 marca możemy mówić, że Karol Nawrocki nie jest już „kandydatem obywatelskim", lecz kandydatem PiS, bo partia po dwóch miesiącach zastanawiania się i przyglądania mu w końcu ustami prezesa Kaczyńskiego orzekła, że jest on „naszym" kandydatem. A skoro tak, to powinno to natychmiast przełożyć się na wzrost poparcia dla Nawrockiego do pułapu 30 proc., bo teraz już wszyscy w PiS muszą wiedzieć, że to ich kandydat. Nie sądzę, żeby tak się stało. Moim zdaniem notowania Nawrockiego zatrzymają się na poziomie ponad 20 proc. Bardzo bym się zdziwił, gdyby wskoczył na wyższy pułap, bo zalicza wpadkę za wpadką, gdy tylko zostanie zaskoczony pytaniem, którego pojawienia się nie przewidzieli sztabowcy.

Na awaryjną wymianę kandydata chyba jest już za późno?

Taki ruch nie miałby sensu, bo Nawrocki cały czas zachowuje pokaźne szanse na drugą turę. To nie jest casus Kidawy-Błońskiej i Platformy z 2020 r., kiedy było jasne, że jest ona daleko i za Kosiniakiem-Kamyszem, i za Hołownią, że trzeba ją natychmiast wymienić, bo jej kampania się kompletnie rozleciała. Gdyby Nawrocki miał wynik jednocyfrowy, byłoby oczywiste, że trzeba go wymienić, ale on ma mocne dwadzieścia kilka procent i Mentzen będzie musiał się jeszcze bardzo napracować, a do tego będzie musiał mu bardzo sprzyjać cały ciąg wydarzeń, żeby dojść do tych ponad 20 proc., które pozwoliłyby mu wyprzedzić Nawrockiego i przejść do drugiej tury. Oczywiście Kaczyński może być rozczarowany Nawrockim, a wielu ludzi w PiS niezadowolonych z decyzji prezesa, ale do 18 maja będą robić dobre miny do tej gry, bo zdają sobie sprawę ze stawki tych wyborów, a jest nią powrót do władzy Prawa i Sprawiedliwości.

Pan po pojawieniu się kandydatury Karola Nawrockiego ostro go krytykował. Wyraził się pan nawet, że jest on jednym z bardziej niebezpiecznych ludzi, którzy pojawili się w polskim życiu publicznym. W związku z tą krytyką zarzucano panu, że ma alergię na Nawrockiego.

Nie zamierzam wchodzić w rolę etatowego oskarżyciela Nawrockiego. Ja już swoje zarzuty przedstawiłem i podtrzymuję to, co mówiłem, natomiast nie będę ich powtarzał za każdym razem, gdy tylko wypowiadam się publicznie. Tym bardziej że wciąż liczę na to, iż Karol Nawrocki skorzysta z mojego zaproszenia. Przeprowadzam w programie „Dudek o polityce" na kanale „Super Expressu" rozmowy z kandydatami w wyborach prezydenckich. Rozmawiałem już z Mentzenem, Trzaskowskim i Hołownią, a planuję także z innymi kandydatami. Liczę, że Karol Nawrocki skorzysta z mojego zaproszenia w najbliższych tygodniach i zechce ze mną porozmawiać przed kamerami. W końcu jeśli chce jako prezydent Rzeczypospolitej rozmawiać z możnymi tego świata, to nie powinien się obawiać starego profesora.

> **Kaczyński może być rozczarowany Nawrockim, a wielu ludzi w PiS niezadowolonych z decyzji prezesa, ale do 18 maja będą robić dobre miny do tej gry, bo zdają sobie sprawę ze stawki tych wyborów**

Polska demokracja jest żywa czy stanowi fikcję? Czy grozi nam wariant rumuński?

Nie wiem. O tym przesądzą także nadchodzące wybory prezydenckie. Uważam, że w Polsce na razie, mimo pojawiających się tu i ówdzie oskarżeń, że wybory były sfałszowane, nikt nie potrafił tego udowodnić. Uważam, że wszystkie wybory, które mieliśmy – i te w 2023 r., i te wcześniejsze – były wyborami rzetelnymi, czyli głosy liczono poprawnie.

Odrębną sprawą jest to, jakiego typu manipulacjom socjotechnicznym podlegają wyborcy. Za mało wiem o sprawie rumuńskiej, dlatego nie chcę w niej rozstrzygać. Za to wiem, że dzisiaj mamy do czynienia z coraz bardziej rozwiniętymi mechanizmami oddziaływania na ludzi za pomocą mediów społecznościowych i innych mediów. Część ludzi po prostu jest manipulowana. Te manipulacje są wielokierunkowe i niekiedy się znoszą. Kiedyś tego nie było, ale to nie znaczy, że nie było demagogii czy fałszywych oskarżeń. Uważam, że demokracja w Polsce ciągle funkcjonuje. Dla mnie ma ona dwa wymiary. Jednym jest ten formalno-wyborczy, w którym ludzie wybierają sobie co rusz jakiegoś przedstawiciela, prezydenta, parlament czy samorząd w demokratycznych wyborach, czyli takich, których wynik nie jest fałszowany.

Drugim wymiarem demokracji jest pewna przestrzeń wolności. Mam poczucie, że ta przestrzeń wolności dzisiaj w Polsce nadal istnieje. Na przykład jestem pełen entuzjazmu dla rozwoju Telewizji Republika. Nie należę do fanów Prawa i Sprawiedliwości, ale szalenie podoba mi się to, jak ta telewizja wspaniale się rozwinęła, i ogromnie się cieszę, że jej władze nie będą się zmieniały w rytm kolejnych wyborów. Przy okazji dyskretnie zwrócę uwagę tym wszystkim w PiS, którzy krzyczą: „Mainstream to, mainstream tamto", że mają dzisiaj po swojej stronie najbardziej prężne medium telewizyjne. Niech więc nie przesadzają, że druga strona jest tak wszechwładna w mediach, a oni są tacy biedni i nikt ich nie lansuje. Gdyby mi pan powiedział, że Telewizja Republika może zostać zamknięta, to owszem, byłby to dla mnie sygnał końca demokracji. Regularnie oglądam „Fakty" TVN i „Dzisiaj" Republiki – to są bardzo ciekawe zestawienia. Ja zaś mogę w każdy piątek wieczorem mówić to, co uważam za stosowne, w moim programie i na razie nikt mnie z tego powodu nie represjonował. Czuję się w Polsce wolny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Czy mamy się czym bronić?

Arkadiusz Siwko

Oglądamy w prasie i telewizji ładne zdjęcia samolotów, śmigłowców, czołgów, rakiet i myślimy: No pięknie, Polska jest już bezpieczna. Tymczasem na razie są to tylko zamówienia

Polska dokonuje obecnie w imponującym tempie zamówień dużej ilości sprzętu wojskowego, głównie z USA. W ciągu ostatnich lat zamówiliśmy sprzęt wojskowy, głównie z USA, o dużym znaczeniu.

Jak to wygląda z jego dostępnością w rzeczywistości? Na co możemy liczyć, jeżeli chodzi o nowoczesne uzbrojenie? Gdzie w tym wszystkim jest rodzimy przemysł obronny? Z czym mamy nadal problem?

OBRONA POWIETRZNA

System Patriot

Ministerstwo Obrony Narodowej planowało najpierw zamówić osiem baterii systemów rakietowych obrony powietrznej średniego zasięgu Patriot amerykańskiej firmy Raytheon. To najbardziej skomplikowany i jednocześnie najbardziej zaawansowany technologicznie system obrony powietrznej na świecie. Chroni nie tylko Stany Zjednoczone, lecz także kraje europejskie, na czele z Niemcami. Jednak pierwotnie planowane zamówienie podzielono na dwa etapy i w pierwszym etapie zamówiono tylko dwie baterie. Umowa została podpisana wczesną wiosną 2018 r., a dostawy zrealizowane w drugiej połowie 2022 r.

W maju 2022 r. MON wystosowało oficjalne zapytanie do amerykańskiego rządu o ofertę na drugi etap tego programu. Resort obrony zamawia teraz nie tylko wyrzutnie i pociski, lecz także nowe, dookólne radary. Oczywiście nie ma ich jeszcze w Polsce. Dobrze się stało, że Polska zamawia te osiem baterii najnowocześniejszej technologii antyrakietowej, nie wiadomo jednak, kiedy ostatecznie drugi etap tego zamówienia dotrze do Polski. Na razie mamy tylko w realizacji pierwszą część zamówienia – czyli dwie sztuki. Bardzo dobrze, że zamówiono najnowszą generację tego systemu z IBCS. Chodzi o najnowsze, najbardziej dokładne zarządzanie namierzaniem celów. Pytanie tylko, czy zamówiona liczba baterii jest wystarczająca. Można odnieść wrażenie,

eprasa.pl bf66c86d78

Trening systemowy realizowany przez 37. dywizjon rakietowy Obrony Powietrznej. Zakończenie procesu osiągania wstępnej gotowości operacyjnej przez system Patriot, Sochaczew, 18 grudnia 2024 r.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

że jest minimalna. Jeżeli zakładamy, że współczesny konflikt wojenny odbywa się głównie w powietrzu, to wydaje się, iż warto jednak pomyśleć o zwiększeniu liczby tych wyrzutni.

Dlaczego? Ukraina, która prowadzi teraz realną wojnę z Rosją, potrzebuje, według prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, 25 zestawów baterii Patriot! To pokazuje skalę zadań, które czekają obronę powietrzną w Polsce. Owszem, Ukraina jest terytorialnie większa od Polski, jednak skala jej oczekiwań sprzętowych uznawanych za niezbędne wobec polskich zamówień wydaje się nieco szokująca. Może po prostu zamówienia polskie są za małe. Polska powinna jeszcze raz przemyśleć liczbę zamawianych w USA baterii.

Program Narew

Na system tarczy antyrakietowej krótkiego zasięgu z brytyjskim systemem rakiet CAMM – program Narew – mają się składać zestawy rakietowe krótkiego zasięgu w postaci wyrzutni i pocisków brytyjskiego koncernu MBDA. Kluczowym elementem tego systemu mają być rakiety CAMM o zasięgu co najmniej 25 km. Mają one służyć do zwalczania ataków lotniczych i rakietowych.

Docelowo MON, co wynika z zapowiedzi resortu, chce pozyskać 23 baterie systemu Narew. Ich istotnym elementem ma być nowy radar Sajna. Prace nad nim wciąż jednak się toczą. Na razie po prostu nie mamy tego systemu krótkiego zasięgu, tylko rozwiązania szkieletowe.

System Narew to najbardziej zapóźniony element modernizacji Wojska Polskiego. Niestety, również jeden z tych po prostu najbardziej niezbędnych.

Dlatego Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało się zamówić tzw. Małą Narew, czyli system nie w docelowej konfiguracji, lecz przejściowej. Chodzi o jedną baterię przeciwlotniczą, w skład której wchodzą dwie jednostki ogniowe.

Wygląda jednak na to, że baterie głównego systemu Narew zamawiane od Brytyjczyków się opóźniają, co wprowadza spore zamieszanie. Oznacza to, że w chwili obecnej nie mamy zabezpieczonej obrony przeciwlotniczej krótkiego zasięgu w oczekiwanym, pełnym wymiarze. Czekać na opóźnione dostawy czy szukać szybkich alternatyw? MON musi szybko odpowiedzieć na to pytanie.

Samoloty z Korei Południowej

Polska dysponuje obecnie 48 myśliwcami wielozadaniowymi F-16, które stacjonują w bazach wojskowych w Łasku pod Łodzią oraz w Krzesinach na obrzeżach Poznania.

Polska podpisała kontrakt na zakup 32 myśliwców V generacji F-35 Lightning II w styczniu 2020 r. F-35 mają pojawić się w bazie lotniczej w Łasku w styczniu 2026 r., a rok później w bazie lotniczej w Świdwinie. Ostatecznie dostawy F-35 dla Polski mają się zakończyć w 2030 r.

Ponadto MON zamówiło w Korei Południowej 12 samolotów FA-50 Golden Eagle. Kolejne zamówienia przewidują dostawę dalszych 36 maszyn w spolonizowanej wersji FA-50PL. Pytanie tylko: Po co?

W przestrzeni publicznej pojawiają się wątpliwości co do istoty zakupu akurat tych samolotów. Głosy te wskazują, że zamiast południowokoreańskich, nieużywanych wcześniej w Wojsku Polskim maszyn zdecydowanie lepiej zaopatrzyć się w kolejne samoloty bojowe F-16 w wersji używanej. Chodzi o wstawienie do zdolności bojowej samolotów znanych już w polskich siłach powietrznych, dobrze się spisujących, a w wersji używanej znacznie tańszych. Do tego za F-16 przemawia także znane i skuteczne uzbrojenie, które można eksploatować również w maszynach używanych.

Apache Ah-64E

Te amerykańskie maszyny to obecnie najlepsze na świecie śmigłowce atakujące. Doskonale sprawdzały się w walkach na Bliskim Wschodzie. Są jednocześnie najdroższe pośród atakujących śmigłowców. W tym przypadku wybrano w Polsce drogę zamówienia sprzętu najwyższej jakości bez względu na cenę. Zamówiono 96 egzemplarzy tych śmigłowców. Po ich otrzymaniu Polska będzie jednym z największych spoza USA posiadaczy owych superśmigłowców. Jeszcze jednak ich u nas nie ma, polscy piloci dopiero się uczą obsługi tych maszyn. W tym przypadku gramy z czasem.

WOJSKA LĄDOWE

Polska siła pancerna – stan docelowy

Docelowo głównym filarem polskich sił pancernych mają być amerykańskie czołgi Abrams. Około 100 czołgów w wariancie podstawowym M1A1 FEP już znajduje się w Polsce. Czołgi te zostaną później zmodernizowane do wyższego standardu M1A2. Do końca 2026 r. mamy otrzymać także 250 nowych abramsów M1A2 SEPv3 – czyli najnowszej wersji tego czołgu. Przed końcem 2025 r. planowane jest także przekazanie Polsce 180 zamówionych w Korei Południowej czołgów K2 (w wariancie bazowym południowokoreańskim). W 2026 r. ma u nas ruszyć natomiast produkcja południowokoreańskich czołgów w spolonizowanym wariancie K2 PL, jednak założenia co do jej tempa są na razie w fazie negocjacji.

Można zatem założyć, że do końca 2026 r. polska armia pancerna będzie dysponowała 366 czołgami Abrams, 233 czołgami Leopard 2, na których dotychczas opierała się nasza siła

eprasa.pl bf66c86d78

pancerna, i ok. 180 czołgami K2. Do tego trzeba jeszcze dodać ostatnie pozostawione w kraju PT-91.

Wynika z tego, że łącznie Polska będzie posiadać więcej czołgów, niż obecnie mają razem Niemcy, Francja i Wielka Brytania. Po zakończeniu planowanych dostaw, czyli pod koniec 2026 r., Polska powinna mieć łącznie 779 egzemplarzy nowoczesnych czołgów. Na tle innych europejskich państw NATO Polska stanie się prawdziwą potęgą pancerną, biorąc pod uwagę nie tylko liczbę czołgów, lecz także ich potencjał. Ale jeszcze nie teraz, nie w tym roku.

Polska armatohaubica Krab i południowokoreańska K9

Polski Krab jest jednym z naszych najlepszych produktów przemysłu obronnego. Armatohaubica Krab to samobieżna gąsienicowa haubica 155 mm zaprojektowana w Polsce przez Hutę Stalowa Wola, poprzez spolonizowanie południowokoreańskiego podwozia K9 Thunder i brytyjskiej wieży AS-90M Braveheart kalibru 155 mm z lufą o długości 52 kalibrów oraz dodanie polskiego systemu kierowania ogniem artyleryjskim WB Electronics Topaz.

Mimo produkcji przez Polskę armatohaubicy Krab 26 sierpnia 2022 r. zawarto kontrakt na dostawę 212 południowokoreańskich armatohaubic K9A1. Pierwsze 24 sztuki trafiły do Polski już w grudniu 2023 r. Ministerstwo Obrony Narodowej zaplanowało ponadto dostawę kolejnych 460 K9PL, które miałyby powstać we współpracy pomiędzy polskim a południowokoreańskim przemysłem zbrojeniowym. Według zapowiedzi obecne kierownictwo resortu obrony na razie nie planuje korekty tego kierunku.

Armatohaubica K9 jest koreańskim odpowiednikiem polskiej armatohaubicy Krab. Powstaje zatem zasadne pytanie, dlaczego nie rozwijać zdolności produkcyjnych polskiego Kraba, który dobrze spisuje się na wojnie na Ukrainie, co podkreślają wszyscy obserwatorzy ukraińskiego teatru wojny. Nie mamy do czynienia z taką sytuacją, że koreańskie armatohaubice K9 są w magazynach i już czekają na wysyłkę do Polski, tylko trzeba je wyprodukować. Tak samo jak polskie kraby. Dlaczego zatem usiłujemy sprowadzić wyrób koreańskiego przemysłu zbrojeniowego, a nie rozbudowujemy polskiego potencjału produkcyjnego Kraba? Nie przekonują deklaracje, że K9 będzie lepszy i będzie produkowany w Polsce. Tak czy owak, oznacza to zaprzestanie w przyszłości rozwijania produkcji naszego rodzimego wyrobu przemysłu zbrojeniowego, którego skuteczność bojowa jest pozytywnie zweryfikowana na teatrze wojennym na Ukrainie. Przeczy to także publicznie ogłaszanemu przez polityków wsparciu polskiego przemysłu zbrojeniowego.

486 amerykańskich wyrzutni HIMARS?

Ministerstwo Obrony Narodowej zatwierdziło w 2023 r. umowę w sprawie pozyskania 486 amerykańskich wyrzutni HIMARS dla Wojska Polskiego. Razem z zamówionymi w 2019 r. wyrzutniami Wojsko Polskie miało dysponować 500 wyrzutniami HIMARS. To istotny komponent naszej artylerii rakietowej. Jednak w przestrzeni publicznej pojawiły się pod koniec 2024 r. informacje, że resort obrony zamierza zmniejszyć to zamówienie. Nie wiadomo zatem, jaka ostatecznie liczba tych wyrzutni trafi do Polski.

Kupujemy sprzęt, który nigdy wcześniej nie był używany przez Wojsko Polskie. To realny problem

CZEKANIE NA ZAMÓWIONY SPRZĘT. NIEBEZPIECZNY OKRES

Zamawiany sprzęt wojskowy nie oznacza, że już zapełnia nasze hangary i koszary wojskowe. Trzeba na niego czekać. I na tym polega poważny problem.

Oglądamy w prasie i telewizji piękne zdjęcia samolotów, śmigłowców, czołgów, rakiet i myślimy – no pięknie, Polska jest już bezpieczna. Tymczasem na razie są to tylko zamówienia.

Czekanie na zamówiony w Polsce i za granicą sprzęt to niejedyny kłopot.

Realnym problemem będzie wkomponowanie tego sprzętu do rodzajów sił zbrojnych i szkolenie żołnierzy liniowych oraz dowódców do jego użytkowania.

Chodzi o sprzęt, który nie był nigdy wcześniej używany przez Wojsko Polskie. Tak będzie np. w przypadku czołgów. Abramsy nie były dotąd częścią polskich sił zbrojnych, tak samo jak południowokoreańskie czołgi. To są zupełnie różne rodzaje sprzętu obronnego. Żołnierz szkolony przez lata do działania w czołgu Leopard, na którym oparta była nasza myśl pancerna po 1989 r., nie przesiądzie się po prostu do Abramsa. Oznacza to konieczność rozpoczęcia zupełnie nowego procesu szkolenia, co oczywiście potrwa. Mało tego, trzeba będzie utrzymać inny system szkoleń dla leopardów, które przecież pozostaną na stanie naszej armii. Tak będzie z każdym nowym rodzajem sprzętu dostarczanego do Polski.

ZDOLNOŚCI PRODUKCYJNE AMUNICJI

Wojna na Ukrainie pokazała dobitnie, że tym, co kończy się niezwykle szybko, jest amunicja. A jest ona niezbędna do kontynuacji walki. To doświadczenie pokazuje, że sprawą najwyższej wagi jest zapewnienie zdolności produkcyjnych amunicji różnego kalibru i zastosowania

W marcu 2023 r. rząd Mateusza Morawieckiego przyjął uchwałę o programie Narodowej Rezerwy Amunicyjnej. W grudniu tego samego roku, już po wyborach parlamentarnych, w wyniku których PiS stracił władzę, rząd ten podpisał umowę z PGZ na prawie 11 mld zł, za które miał kupić prawie 300 tys. sztuk amunicji artyleryjskiej 155 mm. Ale nie kupił, podobnie zresztą jak rząd obecnie rządzącej koalicji. Wciąż trwają negocjacje z różnymi producentami i dostawcami.

Jeżeli nie będziemy produkowali w Polsce amunicji w wystarczającej ilości, to grozi nam, że będziemy walczyć, mając puste ręce, bo w razie wybuchu wojny nie będzie możliwości stałego dowozu amunicji z zewnątrz. Musimy posiadać i produkować ją w Polsce w dużej ilości. Oczywiście potrzebujemy jak najszybciej zapełnić nasze magazyny amunicji, a więc musimy ją kupić skądkolwiek. W tym czasie powinniśmy zbudować potencjał przemysłowy do własnej produkcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Zielone szaleństwo

FOT. ADOBE STOCK

Rafał A. Ziemkiewicz

Wbrew naiwnemu stereotypowi przymiotnik „zielony" w takich określeniach jak „zielona energia" czy „Zielony Ład" nie pochodzi od zieleni liści czy trawy, w ogóle od przyrody – ale od zieleni dolarów. Rozpędzone programy „redukowania emisji" to miliardy napędzane do kieszeni konkretnych lobby, przede wszystkim do świata korporacyjnego. A ten świat od dziesięcioleci kieruje się wyłącznie jednym imperatywem: maksymalizowaniem zysku w krótkim czasie, bez oglądania się na koszty późniejsze

Ktokolwiek miał nadzieję, że Komisja Europejska przyjmie do wiadomości fakty oraz płynące z nich zdroworozsądkowe wnioski i zacznie się wycofywać z duszenia własnej gospodarki i obywateli haraczami Zielonego Ładu, niech się z tą nadzieją pożegna. Ogłoszone właśnie przez Ursulę von der Leyen założenia kolejnego dokumentu programowego Komisji Europejskiej, Czystego Ładu, nie zapowiadają bynajmniej, jak po cichu liczono, odejścia od co bardziej szkodliwych pomysłów klimatycznych pod pozorem ich „poprawienia". Przeciwnie. Dążenie do „zeroemisyjności" pozostaje nadrzędnym, ideologicznym celem istnienia Unii Europejskiej, imperatywem moralnym i europejską bronią w walce nie tylko o „ratowanie planety", lecz także o odzyskanie przez postulowane „państwo europejskie" pozycji równorzędnej z pierwszymi gospodarkami świata, amerykańską i chińską.

Technicznie biorąc, program Czysty Ład jest rozwinięciem dwóch poprzednich dokumentów programowych – powiedzmy to od razu, kompromitujących dla UE i wskazujących, że stan

eprasa.pl bf66c86d78

umysłów eurokracji oraz jej kontakt z rzeczywistością jest bliski temu, co działo się w sowieckim politbiurze za czasów Jurija Andropowa i Konstantina Czernienki. Najpierw był „raport Draghiego". Dokument ten stanowił dziwne połączenie dwóch perspektyw. W pierwszej części omówiono rzetelnie problemy europejskiej gospodarki i czynniki, które niszczą jej konkurencyjność, na czele z rosnącymi cenami energii, przeregulowaniem i powstaniem w teoretycznej strefie wolnego handlu różnego rodzaju barier, motywowanych przeważnie względami humanitarnymi i troską o naturalne środowisko, za pomocą których kraje członkowskie i promowane przez nie branże obeszły traktatową swobodę „trzech przepływów" (towarów i usług, pracowników i kapitału), teoretycznie wciąż stanowiącą podstawę europejskiego wolnego rynku. Część drugą natomiast wypełniono czystym „ideolo" i płynącymi z niego wskazaniami reformy nijak mającymi się do zawartości części pierwszej tudzież do elementarnej logiki. W wielkim skrócie sens tej części raportu sprowadzał się do zaklęcia: „Na wszystkie problemy – więcej integracji, Europa musi silniej niż kiedykolwiek zjednoczyć się w realizacji wytyczonych celów, na czele z klimatycznymi".

Ktoś, kto w którymkolwiek z unijnych gmachów pozwoliłby sobie zauważyć, że to logika „czym się strułeś, tym się lecz" – bo przecież to właśnie owe błędnie wytyczone cele, do których usilniejszej realizacji wzywa raport w konkluzjach, stanowią przyczynę wszystkich problemów opisanych w części pierwszej – zapewne zostałby natychmiast zlinczowany. O ile mi jednak wiadomo, w żadnym poważnym europejskim gremium, a także w żadnym z „wiodących" europejskich mediów nikt takiego spostrzeżenia nie uczynił.

ZAKLINANIE RZECZYWISTOŚCI

Następstwem przyjęcia przez KE „raportu Draghiego" było opracowanie dokumentu o nazwie „Europejski Kompas dla Konkurencyjności". Omawiałem go swego czasu bardziej szczegółowo na stronie DoRzeczy.pl, ograniczę się więc do zwięzłego podsumowania: sposobem odzyskania przez Unię Europejską konkurencyjności wobec gospodarek amerykańskiej i chińskiej będzie oparcie się na „taniej, zielonej energii". Oczywiście do tego dochodzą także „poprawa współdziałania między obszarami", „lepsza koordynacja", „stworzenie struktur ułatwiających współdziałanie", „nasilenie prac studyjnych", „inspirowanie inicjatyw mających na celu" i „stopniowa likwidacja istniejących barier". Ale przede wszystkim: „tania zielona energia".

Nad „raportem Draghiego" wielu życzliwych unijnemu projektowi komentatorów wyrażało po cichu opinię, że tak naprawdę tylko pierwsza część tego raportu jest na serio, a część druga to zwykłe maskowanie, propagandowy pic osłaniający realne reformy ideologicznym bełkotem – tak aby rządzący Unią mogli je przeprowadzić, nie tracąc twarzy i nie przyznając się do wcześniej popełnionych błędów.

W istocie logika „raportu Draghiego" przypominała rozmaite memoranda, które produkowano w schyłkowym PRL: socjalizm jest bezdyskusyjnie ustrojem najlepszym, kapitalizm zaś dekadenckim i targanym „sprzecznościami" i nie wolno dopuścić do tego, by przejściowe trudności w rozwoju używane były do podważania pryncypiów i dywersji ideologicznej; niemniej celem rozwiązania pewnych bolączek (jak np. dla zapewnienia masom pracującym „chrupiących bułeczek", które stały się dla mojego pokolenia groteskowym symbolem tych reform), należy dopuścić w gospodarce socjalistycznej pewne ograniczone mechanizmy systemu kapitalistycznego w niestrategicznych gałęziach. Jeden z ekonomistów skomentował ówczesne wysiłki premiera Rakowskiego obrazowo jako próbę połączenia ruchu prawostronnego dla samochodów osobowych z lewostronnym dla ciężarówek.

W pewnym sensie „kompas" przyjmuje podobną logikę, ale idzie dalej niż reformatorzy próbujący rozwiązać ideologiczną kwadraturę koła w PRL po stanie wojennym: ograniczając propozycje realnych zmian do minimum i do spraw drugorzędnych, brnie w oczywiste dla każdego zdroworozsądkowo myślącego człowieka zaklinanie rzeczywistości.

Zlikwidowanie europejskiej emisji miałoby na globalne procesy klimatyczne podobny wpływ jak kichnięcie na huragan

„Zieloną energią" nazywana jest w żargonie UE energia otrzymywana z tzw. źródeł odnawialnych. Sama w sobie nazwa ta jest nonsensem – energii raz zużytej nie można „odnowić", inaczej dałoby się zbudować wymarzone przez średniowiecznych alchemików perpetuum mobile i rozwiązać definitywnie wszelkie ograniczenia. „Odnawialność", będąca w istocie kryptonimem „niewyczerpalności", a polegająca na tym, że w miejsce wiatru wykorzystanego do obracania wiatraka zawieje następny wiatr, a słońce jutro wzejdzie znowu, by grzać panele fotowoltaiczne, nie różni się od odnawialności palenia węglem – na miejsce spalonego można naszuflować kolejną porcję. Mniejsza tu jednak o zupełnie ignorowane głosy naukowców wskazujących, że wykorzystywanie wiatru, który pełni w przyrodzie określone i niezbędne dla równowagi klimatycznej funkcje, czy też grzanie coraz większych połaci ziemi panelami (które w najlepszym wypadku są w stanie przetworzyć na prąd 20–30 proc. pobieranej energii, resztę wypromieniowując w formie ciepła) nie jest dla środowiska ani obojętne, ani dobre. Istota sprawy tkwi w tym, że owe „zielone" źródła energii są niestabilne, a co za tym idzie, im więcej ich w „miksie energetycznym", tym cena energii większa. Zatem energia może być albo tania, albo „zielona" i nie ma zmiłuj.

TWARDY KRĘGOSŁUP IDEOLOGICZNY

Dopóki logika „ratowania planety" ujmowana była w formule: owszem, „zielona" energia jest droższa, ale w imię planetarnego zagrożenia musimy zdobyć

eprasa.pl bf66c86d78

się na pewne wyrzeczenia i pogodzić się z obniżeniem poziomu życia oraz spowolnieniem gospodarczym, dopóty miało to jeszcze sens, aczkolwiek nie było postawą niemądrą. Stworzenie pojęcia „tania zielona energia", a zwłaszcza oparcie na owej wyimaginowanej zarówno taniej, jak i zielonej, było już przekroczeniem bariery absurdu i przeniesieniem się Komisji Europejskiej w – by użyć frazy Adama Mickiewicza – „rajską dziedzinę ułudy".

Jak wspominałem powyżej, nie brakło optymistów, którzy owo ideologiczne zaklęcie przyjęli spokojnie jako przejaw swoistej klimatycznej obłudy. To znaczy jako zapowiedź, że Unia w ten czy inny sposób wróci do energii z surowców kopalnych – jak to np. robią, wykorzystując swą szczególną pozycję w UE, otwierający kolejne odkrywki węgla brunatnego – i tylko znajdzie odpowiedni „myk", by podnieść ją oficjalnie do rangi energii „zielonej", w podobny sposób, w jaki swego czasu zaliczyła do „czystych" źródeł energii np. spalanie benzyn syntetycznych, choć pod względem emisji CO_2 niczym się one nie różnią od naturalnych, albo spalanie gazu wytwarzające przecież dokładnie tyle samo CO_2 jak spalanie ropy czy węgla. W tym drugim wypadku jako paliwa czystego „przejściowo", do czasu oparcia energetyki europejskiej na spalaniu wodoru, który istotnie w chwili spalania CO_2 nie wytwarza, za to przy uzyskiwaniu go z gazu lub innych naturalnych węglowodorów emituje się więcej CO_2, niż by się je spaliło bezpośrednio (uzyskując zresztą mniej energii) – ale ten proces miał toczyć się poza granicami UE, w Rosji, która w europejskich wytycznych ochrony globalnego klimatu umieszczona została najwyraźniej na jakimś innym globie.

Nie można więc wspomnianego optymizmu nazwać bezpodstawnym. Jeden unijny absurd więcej? Co za problem?

A jednak. Komisja pod kierownictwem pani von der Leyen wykazała się twardym kręgosłupem ideologicznym i mając do wyboru nazywać tanią energię „zieloną" albo „zieloną" energię tanią, zdecydowała się na to drugie. Maksimum kompromisu okazała się kolejna retoryczna sztuczka, czyli zastąpienie obu nazw kolejną – w najnowszym raporcie, już w samym tytule, mówi się o energii „czystej" i tym samym o nowej, „czystej" gospodarce. Która, można zgadnąć nawet bez czytania, bo tak jest we wszystkich unijnych „strategiach", „kompasach" i „mapach drogowych" od czasów „strategii lizbońskiej", pozwoli przodującej europejskiej gospodarce odzyskać miejsce wśród przodujących gospodarek.

Nie ma natomiast w zaprezentowanych założeniach Czystego Ładu zapowiedzi odejścia od któregokolwiek z elementów Zielonego Ładu – kolejnych ETS-ów, zaostrzanych norm budowlanych, restrykcji nakładanych na rolnictwo i przemysł oraz wprowadzania kolejnych obowiązkowych „certyfikatów" na kolejne grupy produktów. Znikła tylko troska o „zeroemisyjność" postulowanej wspólnej europejskiej armii, ale być może dlatego, że ten palący problem wyłączono do osobnych prac studyjnych w ramach rodzącego się właśnie w odpowiedzi na działania prezydenta USA programu „ReArm Europe".

PO NICH CHOĆBY POTOP

Po wycofaniu się rządu USA, a tym samym wszystkich wielkich amerykańskich banków i korporacji, z „porozumień paryskich" i „polityki klimatycznej", w sytuacji, gdy Indie nigdy do tych porozumień nie przystąpiły, a Chiny nigdy się z nich nie wywiązywały, gospodarki wytwarzające łącznie trzy czwarte światowej emisji CO_2 wolne są od jakiejkolwiek „troski o klimat" oraz jakichkolwiek wynikających z nich kosztów. W tej sytuacji cały ciężar „ograniczania emisji" wzięła na siebie UE, wytwarzająca zaledwie kilka procent (od 6 do 9 proc. według różnych szacunków) emisji globalnej – całkowicie ignorując oczywisty fakt, że nawet zupełne zlikwidowanie europejskiej emisji, gdy stale rosną emisje innych krajów, miałoby na globalne procesy klimatyczne podobny wpływ jak kichnięcie na huragan. W imię tego celu Komisja Europejska nadal zdeterminowana jest ignorować narastające protesty europejskich społeczeństw, doprowadzić do ucieczki z Europy większości przemysłu, zniszczyć całkowicie europejskie rolnictwo i spowodować znaczne obniżenie poziomu życia, a w konsekwencji sprowadzić na państwa europejskie paroksyzmy polityczne i społeczne, które ze znacznym prawdopodobieństwem skończą się utratą na Starym Kontynencie stabilności.

Czy to szaleństwo można jakoś zrozumieć? Klasyczna dziś praca Barbary Tuchman, „Szaleństwo władzy", omawiała różne porównywalne przykłady ideologicznego zaślepienia i oderwania od rzeczywistości wyalienowanych elit rządzących zaczerpnięte z historii, także tej niedawnej. Możliwe, że na naszych oczach eurokraci dopisują kolejny rozdział do tej niezwykle ciekawej książki. Podobieństwo do obłędu świata sowieckiego w latach poprzedzających jego spektakularną katastrofę, już tu przywoływane, naprawdę jest ogromne.

Ale pamiętajmy, że wbrew naiwnemu stereotypowi przymiotnik „zielony" w takich określeniach jako „zielona energia" czy „Zielony Ład" nie pochodzi od zieleni liści czy trawy, w ogóle od przyrody – ale od zieleni dolarów. Rozpędzone programy „redukowania emisji" to miliardy napędzane do kieszeni konkretnych lobby, przede wszystkim do świata korporacyjnego. A ten świat od dziesięcioleci kieruje się wyłącznie jednym imperatywem: maksymalizowaniem zysku w krótkim czasie, bez oglądania się na koszty późniejsze. Z punktu widzenia menedżerów (podobnie zresztą jak polityków, równie ograniczonych w swych planach perspektywą końca kadencji) po nich przyjść może choćby potop. Byle zdążyli przed tym potopem skasować swoją „opcję menedżerską" od zwiększonej dzięki udziałowi w klimatycznych projektach UE wartości akcji.

Program Czysty Ład świadczy o tym, że stan umysłów eurokracji oraz jej kontakt z rzeczywistością jest bliski temu, co działo się w sowieckim politbiurze za czasów Jurija Andropowa i Konstantina Czernienki

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. dr. hab. Andrzejem Grzywaczem, profesorem nauk leśnych, specjalistą ochrony lasu
rozmawia Radosław Wojtas

Nauka w lesie

RADOSŁAW WOJTAS: Ponad 130 osób – doktorów, profesorów, specjalistów od gospodarki leśnej – podpisało się pod listem otwartym środowiska naukowego, w którym wyrażają niepokój w związku z decyzjami, które zapadają w Ministerstwie Klimatu i Środowiska. Skąd takie niecodzienne poruszenie w środowisku?

PROF. DR HAB. ANDRZEJ GRZYWACZ: Od pewnego czasu środowisko leśników jest bardzo zaniepokojone tym, co się w dzieje w Ministerstwie Klimatu i Środowiska w stosunku do lasów. Ten list nie jest pierwszą naszą reakcją, bo już wcześniej wyraźne stanowiska, w których formułowano dużo różnych zastrzeżeń, zajmowało nie tylko Polskie Towarzystwo Leśne, lecz także inne organizacje, np. Ruch Obrony Lasów Polskich czy Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa.

W najnowszym liście Polskiego Towarzystwa Leśnego padają poważne zarzuty. Piszą państwo np., że decyzje podejmowane w ministerstwie „ignorują wiedzę z zakresu nauk leśnych, odrzucają naukowe argumenty i w myśl idei lansowanych przez aktywistów rozpoczynają zmiany polskiego modelu leśnictwa i sprawdzonych metod ochrony przyrody".

Środowisko leśne jest szczególnie wrażliwe na brak racjonalności, a w decyzjach ministerstwa jej brakuje, są one oderwane od wiedzy naukowej. Las to nie tylko ekosystem przyrodniczy, las pełni także inne ważne funkcje – gospodarcze i społeczne. Trzeba na niego patrzeć holistycznie, nie powinno się podejmować decyzji w perspektywie kadencji rządu, Sejmu, ministra czy głównego konserwatora przyrody. Kiedy dziś siejemy żołędzie, to musimy myśleć o tym, jak to miejsce będzie funkcjonowało za 140–160 lat, gdy będzie dojrzały drzewostan dębowy.

A teraz się tak nie myśli?

Niestety nie, stąd ten list środowisk naukowych pozbawiony akcentów politycznych. Teraz jest tak, że przychodzi człowiek nominowany przez Polskę 2050, niemający żadnego kontaktu z leśnictwem, żadnego doświadczenia, wykształcenia, kompetencji czy sukcesów na tym polu, i decyduje o majątku narodowym. Postanawia wyłączyć 20 proc. powierzchni lasów z gospodarki. Bez żadnych konsultacji ze środowiskiem naukowym. W pierwszych dniach urzędowania wyłączył prawie 100 tys. ha, co było niezgodne z prawem. Leśniczy pracują na 10-letnich operatach urządzania lasu, opartych na wiedzy naukowej i wyliczeniach, a tu podejmuje się taką decyzję ot tak, bez głębszego namysłu.

Ma pan na myśli Mikołaja Dorożałę, wiceministra i głównego konserwatora przyrody. Politologa...

... i aktywistę, który wypełnia umowę koalicyjną i podejmuje decyzje wbrew środowisku. Pani minister także ma kom-

eprasa.pl bf66c86d78

petencje raczej w innych dziedzinach. Podobno w departamentach ministerstwa nie ma ani jednej osoby z wykształceniem przyrodniczym czy leśnym. To ewenement. Ja sam byłem kiedyś głównym konserwatorem przyrody, potrafię wymienić tych, którzy pełnili tę funkcję przede mną i po mnie, i zawsze – podkreślam: zawsze! – byli to przyrodnicy lub leśnicy, często profesorowie. Nominat Polski 2050 jest pierwszą osobą na tym stanowisku niezwiązaną z branżą. Nie twierdzę, że w najwyższym kierownictwie muszą być tylko specjaliści, rozumiem politykę. Ale jacyś ludzie, którzy mają odpowiednie kompetencje, powinni tam pracować. Mam wrażenie, że takich ludzi tam nie ma.

Ekolodzy narzekają, że rząd działa zbyt wolno. Słyszałem niedawno wypowiedź jakiegoś pana z Greenpeace Polska, który mówił, że ograniczanie pozyskiwania drewna to tylko mydlenie oczu, bo koalicja szła do wyborów z obietnicą, że jedna piąta polskich lasów będzie „wolna od pił". A „rabunkowa wycinka" trwa.

Kiedyś przeczytałem takie zdanie, które mi się podoba i pasuje do sytuacji: „Kłamstwo komuś użyteczne nie ma granic". W pierwszych zdaniach listu otwartego podkreślamy, że trwałość lasów jest ideą, którą Polska znała już w 1713 r. To naprawdę nie wygląda tak, że jak nadleśnictwo chce sobie kupić nowy samochód, to robi dodatkowy zrąb. To jest dokładnie wyliczone. Pozyskiwanie drewna jest regulowane prawnie, są oficjalne państwowe dane, z których wynika, że, owszem, pozyskuje się więcej, ale z większej powierzchni, większych zasobów. Od bardzo wielu lat, niezależnie od zmiany rządów, pozyskuje się niewiele ponad 2 proc. zapasu drewna na pniu w rosnących drzewostanach i poniżej 70 proc. corocznego przyrostu masy drewna. Czyli od wielu lat nie wykorzystuje się wszystkiego tego, co przyrośnie. To się odkłada i rośnie zapas.

Zdjęcia ściętych drzew ułożonych przy leśnej dróżce, połaci pni, martwej wiewiórki na ściętej sośnie – to wszystko działa na wyobraźnię.

To jest błąd perspektywy, który dotyczy każdego człowieka. Ktoś po latach wrócił w miejsce, gdzie był na obozie harcerskim, i zastał zrąb. Gwałt na przyrodzie! Znowu coś wycinają! Żaden gwałt, po prostu przyszła pora, żeby w tym miejscu odnowić drzewostan, bo np. składał się ze 120-letnich sosen, które zaczęły chorować, zamierać i wkrótce same by się przewróciły. Ale na ich miejscu rosną już nowe drzewa. Pani minister Paulina Hennig-Kloska powiedziała kiedyś: „No, niestety, w lasach drzewa będą nadal wycinane". Może powinniśmy pójść dalej i powiedzieć: „No, niestety, kartofle na polach będą nadal wykopywane" albo: „No, niestety, jabłka i gruszki nadal będą zbierane w sadach". Potrzebujemy drewna, bo jeśli go nie będzie, to będzie więcej betonu, szkła, tworzyw sztucznych. Czy rezygnacja z ekologicznego surowca, który pochłania dwutlenek węgla, rośnie wspierany energią słoneczną, naprawdę przysłuży się klimatowi?

Mówi pan profesor, że decydując o lasach, nie rozmawia się ze środowiskiem naukowym. A wcześniej się rozmawiało? Jeden z profesorów z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu powiedział mi ostatnio, że tak źle, jak jest obecnie, nie było od początku działalności Lasów Państwowych, czyli od 100 lat. Zgodzi się pan?

Nie czarujmy się, bywało różnie, ale obecnie sytuacja rzeczywiście jest bardzo poważna. Kilka lat po utworzeniu Lasów Państwowych powołano do życia placówkę naukową, która dziś nosi nazwę Instytut Badawczy Leśnictwa. Przed wojną i po wojnie Instytut wspierał działalność Lasów, współpracował z wydziałami leśnymi. Odkąd pamiętam – a jestem już człowiekiem wiekowym, emerytem – ta współpraca zawsze funkcjonowała. Sprawy lasów były dyskutowane, organizowano konferencje naukowe itd. Nie wiem, jak było w czasach, których nie pamiętam, być może w latach 50., w okresie stalinowskim, tej współpracy nie było, a decyzje zapadały na Komitecie Centralnym. Ale w III RP, niezależnie od tego, czy rządziła lewica czy prawica, leśnictwo zawsze miało osłonę naukową. I musi ją mieć, bo przecież od czasu do czasu zdarzają się rzeczy nieprzewidywalne, np. gradacja strzygoni choinówki, brudnicy mniszki, jakieś choroby, jakieś spustoszenia dokonane przez nawałnice, wiatrowały. Las choruje, pada ofiarą szkodników i aby się nim właściwie opiekować, potrzebni są eksperci, którzy zajmują się nie tylko drzewami, lecz także owadami, grzybami etc. A dziś ekspertów się nie słucha, tylko wypełnia się zapisy koalicyjne. Ale kiedy się zapyta tych ludzi, skąd brać drewno, to nie potrafią odpowiedzieć. Jeśli Europa wypełni zalecenia Zielonego Ładu, to będzie musiała importować drewno z innych rejonów świata.

Skąd?

A to jest dobre pytanie. Wiadomo, że nie z Rosji czy z Białorusi – choć pewnie chętnie by sprzedawali – bo są polityczne uzgodnienia, że z tymi krajami się nie handluje. No to trzeba szukać dalej. W Brazylii ciężko, ponieważ nowy prezydent obiecał narodowi, że będzie chronił Amazonię. No to wszystkie oczy skierowane są na Indonezję, ale jeśli wyłączymy z pozyskania 20 proc. powierzchni lasów, to Polsce będzie brakowało rocznie ok. 7 mln m sześc. drewna. Mamy je sprowadzać z Indonezji? Jak? Jakim kosztem? Ale nie tylko o pieniądze tu chodzi. To ma również głębszy sens moralny. Jeśli u nas będziemy oszczędzać, to na większą skalę zaczną pozyskiwać drewno kraje o niższym poziomie zorganizowania leśnictwa. Przecież to jaskrawy przykład wykorzystania krajów biednych przez bogatą Europę i to ma swoje nazwy: ekoimperializm, ekohipokryzja. U siebie chronimy, ale co się dzieje gdzieś indziej, to już nas mało obchodzi.

Jednak nawet te 20 proc. powierzchni lasów wyłączonych z pozyskiwania to dla nich za mało. Bo pojawiają się coraz to nowe obciążenia. A to wyznaczmy lasy społeczne, gdzie będą bardzo duże ograniczenia. A to lasy puszczańskie, cenne przyrodniczo. A to chrońmy – i, uwaga, wymyślili sobie słowo, które wcześniej nigdzie nie funkcjonowało – starolas. I świeżutki pomysł: skoro pozyskiwanie drewna jest takie naganne, to obciążymy je karami finansowymi. Pojawia się zatem projekt progresywnych opłat za sam fakt pozyskania drewna w wysokości od 6 zł do 30 zł za każdy 1 m sześc. Przecież to będą grube miliony i to się natychmiast odbije na cenie drewna. Staniemy się niekonkurencyjni jako producenci papieru, mebli, tarcicy itp. w stosunku do innych krajów.

Pani minister jest absolwentką politologii, podobnie jak wspominany już tutaj jej zastępca, wiceminister Urszula Zielińska skończyła

eprasa.pl bf66c86d78

marketing i zarządzanie, wiceminister Krzysztof Bolesta to wieloletni urzędnik i ekonomista, Anita Sowińska, podsekretarz stanu, także jest absolwentką marketingu i zarządzania... W ścisłym kierownictwie jest przewaga ludzi z wykształceniem niekoniecznie związanym z leśnictwem, a skoro tak, to – jak sądzę – czyimiś poradami chyba muszą się wspierać. Jeśli nie słuchają środowiska naukowego, to kogo?

Ekologów, którzy mają zawężoną perspektywę. Dostrzegają bowiem jedną funkcję lasu – ekologiczną, ale nie widzą pozostałych – społecznej i gospodarczej. A nawet jeśli ostatnio zdarzają się w ministerstwie jakieś konsultacje, to zaprasza się na nie dziewięciu przedstawicieli organizacji ekologicznych i jednego leśnika, np. z Polskiego Towarzystwa Leśnego. No i mają wtedy dziewięć opinii, że należy wstrzymywać pozyskiwanie drewna, i tylko jeden głos przeciwny. Wtórują temu niektóre media. Pewien dziennikarz „Gazety Wyborczej" napisał, że bez drewna możemy się całkowicie obyć. Wiem, w jakim domu mieszka ten dziennikarz, i nie będę tu złośliwie wypominał, że jest to dom drewniany, zamiast tego powiem tylko, że na świecie używa się 30 tys. produktów, które powstają na bazie drewna...

... w tym papier, na którym wydrukowano wspomniany artykuł.

No właśnie! Znam pisarza, który mieszka na Mazurach i jest jednym z liderów tamtejszych protestów. Sprzeciwia się temu, żeby leśnicy wycięli kawałek lasu, żeby turyści wypoczywali w pobliżu jego domu. Czyli działa w swoim interesie. Polska zużywa statystycznie 1 m sześc. drewna na jednego mieszkańca. Czyli dorodną, 120-letnią sosnę rocznie. Gdybyśmy policzyli, ile książek i w jakich nakładach wydał ów pisarz, to odkrylibyśmy, że zużył całe hektary lasu. Ale protestuje. Znam weganina, który mówi, że jak zerwie jabłko, to jest w porządku, ale marchewki czy pietruszki nie tyka, bo wyrywając ją z ziemi, zadaje jej śmierć. Jednak soję spożywa, a żeby ją spożyć, trzeba ją ściąć. I tak jest z drewnem – wszyscy używają, ale ci, którzy je pozyskują, to okropne dranie. Pamiętam czasy, kiedy w badaniach opinii społecznej leśnicy cieszyli się ogromnym szacunkiem, byli bardzo wysoko, zaraz po strażakach. Dziś się mówi, że to bandyci, którzy zabijają lasy. I do końca nie wiem, dlaczego ekolodzy tak szargają dobre imię leśników. Czy chodzi tylko o brak wiedzy czy kryje się za tym coś jeszcze, jakiś inny interes poza politycznym i ideologicznym.

Nie znam innego takiego przypadku, by jakaś instytucja pozarządowa mogła sobie zaskarżyć np. produkcję energii elektrycznej, stali, płaszczy albo mleka. To dlaczego ludzie bez przygotowania mają zaskarżać gospodarkę leśną?

Jak to wszystko wpływa na samopoczucie leśników?

Wśród leśników panuje wyjątkowo duży niepokój. W ostatnim numerze „Lasu Polskiego" opublikowano wyniki ankiety przeprowadzonej na próbie 3 tys. leśników. Przytoczę kilka pytań i wyników. „Czy jesteś zadowolony z polityki leśnej ministerstwa?" – 3 proc. na tak. „Czy popierasz zmiany w ustawie o lasach?" – 1 proc. na tak. „Czy ograniczenie podaży surowca drzewnego będzie miało wpływ na gospodarkę leśną?" – 96 proc. uważa, że będzie to wpływ niekorzystny. Nastroje wśród załóg – nie dyrektorów, ale nadleśniczych, leśniczych – są bardzo niekorzystne. Ale oni boją się o tym mówić, bo jeśli ktoś się sprzeciwi, to mu się podziękuje za pracę. A to specyficzny zawód. Jeśli straci pracę w Lasach, to czeka go przebranżowienie.

Podoba się panu hasło „Sto rezerwatów na stulecie Lasów Państwowych"?

To tylko leśne efektowne hasło. Sieć rezerwatów nie jest w Polsce dokończona, potrzeba nowych, ale trzeba je tworzyć z głową, a nie byle gdzie, byle jak najwięcej. Ekolodzy stworzyli listę 25 nowych parków narodowych, niektóre na terenach, które się kompletnie do tego nie nadają. Weźmy np. pomysł stworzenia Sobiborskiego Parku Narodowego (dziś mamy Sobiborski Park Krajobrazowy) – tam jest dużo zalesień porolnych po akcji „Wisła", sporo zalesień dokonanych przez Niemców w miejscu zlikwidowanego obozu zagłady. Rosną tam słabiutkie sosny na kiepskich glebach. To drzewostany niestałe, bardzo wrażliwe na choroby i szkodniki. I takich miejsc wymyślono 25. W Polsce funkcjonują dziś 23 parki narodowe, a pięć lub sześć z nich według Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody ma tylko status parków krajobrazowych – mimo że on u nas się nazywa park narodowy – bo nie mają walorów przyrodniczych. Władysław Szafer już dawno temu zauważył, że mniej więcej 1,2 proc. powierzchni Polski to tereny nadające się na parki narodowe. Obecnie funkcjonujące parki obejmują 1 proc. powierzchni. Możemy któryś park powiększyć, możemy utworzyć nowy – leśnicy nie są temu przeciwni – ale róbmy to z głową!

I na koniec zmiany w prawie, o których już tu wspominaliśmy. Które pomysły budzą obawy leśników?

Jednym z kluczowych elementów nowelizacji ustawy o lasach jest założenie, że można zaskarżyć operat zarządzania lasu. Widzimy to źle, bo jest bardzo prawdopodobne, że różne instytucje ekologiczne będą masowo, dla zasady, zaskarżać wieloletnie operaty, sprawy będą się ciągnęły w sądach, a to będzie dla polskich lasów oznaczało paraliż. Nie znam innego takiego przypadku, by jakaś instytucja pozarządowa mogła sobie zaskarżyć np. produkcję energii elektrycznej, stali, płaszczy albo mleka. To dlaczego ludzie bez przygotowania mają zaskarżać gospodarkę leśną? W imię czego ministerstwo wprowadza taki absurd? Żeby udowodnić ekologom, jacy to oni są ekologiczni? W tym nie ma żadnej racjonalności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Andrzej Grzywacz – leśnik, specjalista z zakresu fitopatologii, mykologii, ochrony lasu oraz ochrony przyrody. Emerytowany profesor Wydziału Leśnego SGGW, autor lub współautor ponad 600 publikacji naukowych i popularnonaukowych, w tym 18 opracowań książkowych. Posiada wyróżnienia resortowe i towarzystw naukowych oraz odznaczenia państwowe, w tym Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie i Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

eprasa.pl bf66c86d78

Kto stoi za ośmioma gwiazdkami

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Wulgarne hasło wymierzone w PiS było malowane na murach w ramach testowania szpiegów pozyskiwanych przez Rosję na Telegramie – to sensacyjne ustalenia mediów. Przypomnijmy historię tego niechlubnego zawołania

W TVN24 wyemitowano niedawno reportaż zatytułowany „Rabota w Polsze". Zaprezentowano w nim materiały ze śledztwa lubelskiej prokuratury w sprawie osób rekrutowanych przez rosyjskie służby za pośrednictwem popularnego na wschód od Bugu komunikatora Telegram. Aby przetestować kandydata na szpiega, zlecano mu akcje – takie jak instalowanie kamer na trasach transportu sprzętu wojskowego w kierunku Ukrainy, rozklejanie antyukraińskich wlepek czy malowanie napisów na murach. Chodziło o hasła atakujące zarówno NATO, jak i ówczesny obóz władzy – rząd PiS i prezydenta Andrzeja Dudę.

Z reportażu stacji z Wiertniczej dowiadujemy się, że wśród napisów, o których mowa, pojawiło się hasło „jbc PiS". Z kolei w jednym z przywołanych w materiale TVN24 dialogów przetłumaczonych przez śledczych osoba przedstawiająca się na Telegramie jako Andrzej zlecała wypisanie następującego zdania: „STOP DUDA!, DUDA idź do dupy!, Wypier…..PiS". Co istotne, w reportażu nie pada wprost stwierdzenie, że hasło „***** ***" zostało zainspirowane przez rosyjskie służby. Osiem gwiazdek właściwie nie pojawia się w materiale (pojawia się jednak „jbc PiS", co de facto oznacza to samo, choć graficznie wygląda inaczej).

Prawo i Sprawiedliwość szybko podłapało jednak temat, przekonując opinię publiczną, że wulgarne zawołanie zaczęło krążyć w przestrzeni publicznej z inspiracji Rosjan, a co za tym idzie wcześniejsza opozycja, która dziś rządzi, powielając je, sama zaczęła być nośnikiem „ruskiej propagandy". – W materiałach ABW pokazały się dokumenty, które w jasny i oczywisty sposób świadczą o tym, że to ruska, putinowska propaganda stała za ośmioma gwiazdkami – stwierdził były premier Mateusz Morawiecki. „Rosyjskie służby mogły finansować wulgarne hasło „j…. PiS". To nie teoria spiskowa, to wynik śledztwa TVN24. Czy działania te były częścią operacji mającej osłabić Prawo i Sprawiedliwość? Czy rosyjskie służby zlecały malowanie i powielanie hasła ośmiu gwiazdek symbolizujących wulgarne hasło j…. PiS?" – słyszymy z kolei w spocie PiS. „Jaki był cel rosyjskiej agentury? Skłócić Polaków, osłabić Prawo i Sprawiedliwość i wywołać chaos polityczny w trakcie kampanii wyborczej. Czy politycy i osoby z obozu koalicji 13 grudnia używający tego hasła jako przewodniego w swoich działaniach wiedzieli o jego pochodzeniu? Czy byli narzędziem w rękach Putina? Prawo i Sprawiedliwość padło ofiarą brutalnych ataków wspieranych przez Rosję. Kto na tym skorzystał?" – pyta lektor.

POTRZEBA PROSTEGO SYMBOLU

Istotne jest, że reportaż TVN24 dotyczy działań służb w latach 2022–2023. Nie można wykluczyć więc, że hasło „jbc PiS" zostało wrzucone do polskiej debaty publicznej, aby faktycznie wpłynąć na wynik wyborów parlamentarnych z października 2023 r. (tak przekonuje PiS). Jednocześnie warto przypomnieć, że osiem gwiazdek ma swoje korzenie we wcześniejszych wydarzeniach. Zostały one rzucone w kampanii prezydenckiej z roku 2020. To wtedy w przestrzeni publicznej po raz pierwszy zobaczyliśmy wulgarne hasło, które było promowane przez aktywny w mediach społecznościowych Ruch Ośmiu Gwiazd. Celem było podkopanie kampanii prezydenta Andrzeja Dudy i – co stanowiło tego naturalną konsekwencję – wsparcie Rafała Trzaskowskiego.

– Nie posiadamy formalnej struktury i nie mamy takich planów. Chcemy, żeby był to ruch całkowicie oddolny i wolny od stref wpływów. Członkiem Ruchu Ośmiu Gwiazd jest każdy, kto się za takiego uważa. Idea jest tak prosta, że łatwo odpowiedzieć sobie na pytanie, czy się z nią identyfikuje czy nie – mówił w wywiadzie z lipca 2020 r. anonimowy członek ruchu. Przyznał, że inspiracją dla działań była „wielka improwizacja Zbigniewa Stonogi", czyli nagranie kontrowersyjnego biznesmena z 2015 r., które poprzez swoją popularność stało się kanwą dla licznych memów. Stonoga, tuż po zwycięskich dla PiS wyborach parlamentarnych, grzmiał w kierunku Polaków: „To was powinno się j…ć k….a, tak się powinno was j…ć, jak tylko was może j…ć PiS. Platforma was tak nie wyr…ała, jak wyr…a was PiS, k…a". – „Improwizacja" weszła do kanonu polskiej kultury

eprasa.pl bf66c86d78

internetowej, na jej podstawie stworzono tysiące memów, a osiem gwiazd to po prostu kolejna jej „odnoga" – opowiadał portalowi NaTemat.pl inicjator i administrator fanpage'a Ruchu Ośmiu Gwiazd. – Ruch […] powstał na fundamencie złości. Złości na wydarzenia, które w ostatnich latach zdominowały polskie realia społeczno-polityczne. Potrzebne było w Internecie miejsce, które przyciągnie ludzi młodych, niekoniecznie polityką zainteresowanych, a wręcz niechcących mieć z nią nic wspólnego. Ponadto potrzebowaliśmy prostego symbolu, z którym można się utożsamiać i który można niskim kosztem umieścić na bannerach czy plakatach – przekonywał.

Choć ośmiogwiazdkowcy zapewniali o swojej apolityczności, to atakowali Andrzeja Dudę. Po debacie w Końskich jeden z „aktywistów" opublikował triumfalny wpis: „Ogarnijcie tę inbę [akcję – przyp. red.] podczas wczorajszej debaty w Końskich. Kumpel wydrukował kartki z napisem »***** ***«, które pewnie już gdzieś widzieliście. Gdy PAD po skończonej debacie przyjechał na spotkanie z mieszkańcami, to jeden od nas poprosił go o podpis, a Andrzej, jak to ma w zwyczaju, machnął »z pozdrowieniami«". – Akcja nie była planowana przez Ruch Ośmiu Gwiazd. Nic o niej nie wiedzieliśmy. Od kilku miesięcy symbol ośmiu gwiazd pojawił się na wielu protestach, nie wydajemy żadnych „pozwoleń" na wykorzystywanie symbolu, nie mamy wpływu na to, gdzie się pojawia – powiedział admin fanpage'a Ruchu. Osiem gwiazdek było niesione na transparentach m.in. podczas „Strajku Wkurzonych" późną wiosną 2020 r. Dziś strajk już nie działa, ale wtedy krytykował rządzących za „nieefektywne reformy, stopniowe porzucanie pomocy socjalnej, szerzoną wokół nienawiść". „Strajk był organizowany przez młodzież, która widzi efekty prowadzenia polityki antyspołecznej, degradującej usługi publiczne, ignorującej prawa pracownicze" – opisywał portal koszalininfo.pl.

Agresję werbalną wśród młodych promowali członkowie rządu Donalda Tuska. Premier się tym nie przejął

FOT. MAREK LASYK/REPORTER

OWSIAK, „PIASEK" I INNI

10 lipca 2020 r., kilka godzin przed ciszą wyborczą i dwa dni przed drugą turą wyborów prezydenckich, popularny raper Taco Hemingway (prywatnie partner Igi Lis, córki Tomasza Lisa) opublikował nowy singiel „Polskie tango". „Tańczę polskie tango / Nogi w błocie mam, bo Wisła to grząskie bagno / Narodowe barwy mamy jak Santa Claus / I to ma sens, bo przestałem wierzyć w Polskę dawno" – rapuje Taco. Dalej raper zaprezentował cyniczną interpretację „Katechizmu polskiego dziecka": „Kto ty jesteś? Polak mały / Jaki znak twój? Torba z białym / Gdzie ty mieszkasz? Na strzeżonym / W jakim kraju? Tym popier..lonym / Czym ta ziemia? To mój zamek z piachu / Czym zdobyta? Propagandą strachu / Czy ją kochasz? Bardzo, mówię szczerze / A w co wierzysz? / W nic nie wierzę". Na końcu klipu pojawia się plansza z wymownymi ośmioma gwiazdkami.

Wspomniany już Tomasz Lis opublikował planszę w serwisie Twitter z krótkim komentarzem „Witajcie". Śledząc „karierę" wulgarnego hasła, można stwierdzić, że to właśnie raper najmocniej przyczynił się do jego rozpowszechnienia, szczególnie wśród osób młodych. Bo „jbc PiS" było skandowane na koncertach, proaborcyjnych manifestacjach, stanowiło element politycznej deklaracji składanej w formie zdjęcia profilowego w mediach społecznościowych. Popularna stała się piosenka Cypisa pod taką samą nazwą. W 2021 r. rapowy duet Łona i Webber wystąpił na scenie festiwalu Pol'and'Rock. Ze sceny zachęcał publiczność do okrzyków „je..ć PiS". I to pomimo faktu, że Jerzy Owsiak tamtą edycję Pol'and'Rock ogłosił wydarzeniem „wolnym od polityki". – Nie pytam was o politykę, pytam o miłość, przyjaźń i muzykę. To są ważne elementy naszego bycia ze sobą. Niech to będzie razem z wami przez te kilka dni – mówił, otwierając festiwal. W pewnym momen-

eprasa.pl bf66c86d78

cie z ośmiu gwiazdek zrobiło się… 21. Do „jbc PiS" dodano „i Konfederację".

Wulgarne hasło weszło na salony. Skandowali je m.in. goście imprezy z okazji 50. urodzin Andrzeja Piasecznego „Piaska". Wznoszono toast: „Je..ć biedę i bezrobocie, PiS i Konfederację". Bistro znajdujące się vis-à-vis sejmowego biura przepustek, w którym stołują się parlamentarzyści różnych opcji, miało ten slogan wypisany na drzwiach. Politycy ówczesnej opozycji niezwykle chętnie podchwycili temat, tłumacząc cały czas, że nie chodzi o prawdziwe „je..anie" kogokolwiek, ale wyrażenie sprzeciwu wobec polityki PiS.

SYMBOL POPKULTURY?

Poseł KO Witold Zembaczyński miał naklejone wulgarne gwiazdki na aucie. – Oczywiście, osiem gwiazdek w sercu, w samochodzie, osiem gwiazdek jako leitmotiv mojej działalności politycznej i to się nie zmieni, dopóki PiS będzie PiS-em. To ten symbol popkultury i buntu przeciwko tłamszeniu praw kobiet, buntu przeciwko niszczeniu praworządności, złodziejstwu – chwalił się we wrześniu 2024 r. – I te osiem gwiazdek każdy, kto ma na tatuażu, samochodzie, będzie je nosił, dopóki PiS będzie PiS-em, i proszę mi nie wmawiać, że ten bluzg, który powstał w wyniku protestu, jest wielkim grzechem. Nie jest. To jest naturalna emocja, do której wszyscy ludzie mają prawo. Ja się tego nie wstydzę – dodał Zembaczyński w Polsat News.

Z kolei obecna wicemarszałek Sejmu Dorota Niedziela z KO, w 2020 r., przed świętami Bożego Narodzenia, zamieściła w mediach społecznościowych zdjęcie „pierniczków bojowniczków" z motywem ośmiu gwiazdek.

Uczestnicy ostatniej edycji Campusu Polska Przyszłości, organizowanego przez Rafała Trzaskowskiego, podczas dyskoteki w ramach wydarzenia, skandowali hasło „j…ć PiS". Nagranie opublikował w sieci młody działacz KO Mikołaj Wasiewicz. I choć szybko je usunął, to fala oburzenia ruszyła. Na nagraniu było bowiem widać ministra sportu Sławomira Nitrasa oraz ministra do spraw europejskich Adama Szłapkę, którzy wcielili się w role DJ-ów. – Żałuję, że tak się stało, ale rozumiem emocje. To jest festiwal, są młodzi ludzie. Dyskoteka była o godz. 23. Nie wiem, co było puszczane na słuchawkach, bo ich wtedy nie miałem. Ale jak usłyszeliśmy, co było śpiewane, poprosiliśmy, żeby tego nie robić – przekonywał później Nitras. Całą sprawę zbagatelizowała rzecznik klubu KO Dorota Łoboda, która określiła ją mianem „błahego incydentu". – Wiele wspaniałych rzeczy dzieje się na Campusie, dużo bardziej wartych rozmowy niż ta wpadka – stwierdziła. Promowaniem agresji werbalnej wśród młodych przez członków swojego rządu nie przejął się premier. W ramach komentarza Donald Tusk zamieścił w sieci słowa piosenki „Śpiewać każdy może". „Śpiewać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej… Czasami człowiek musi, inaczej się udusi" – napisał Donald Tusk.

Po stronie KO i generalnie szeroko pojętej opozycji (dziś koalicji) pojawiały się głosy, że osiem gwiazdek nie może być całym programem politycznym partii. Niektórzy apelowali wprost, aby odejść od wulgaryzmu, który tylko psuje debatę publiczną i zniechęca wyborców oczekujących konkretnych postulatów.

„To chamskie J…Ć PIS, a zwłaszcza argumentacja, że nie chodzi o elektorat, a o partię, jako żywo przypomina mi PRECZ Z LGBT, a po małej gwiazdce wyjaśnienie, że nie chodzi o ludzi, ale o ideologię. PiS to wyborcy PiS, a przynajmniej oni tak o sobie myślą. Ilekroć ktoś pisze J…Ć [w oryginale bez wykropkowań] PIS, wyborca PiS czuje, że ktoś dybie właśnie na niego. I można argumentować, że nie ma racji, ale rację ma – to jego subiektywne odczucie i ono zawsze jest prawdziwe. I można się zżymać na to, że ten wyborca nas nie rozumie, więc na pewno kretyn. Albo, jak uczą na każdym szkoleniu ze sprzedaży, uszanować obiekcję klienta, wyrazić zrozumienie i spróbować przekonać, że chcemy jego dobra. A najlepiej po prostu nie pisać J…Ć PIS. Czy tak trudno się powstrzymać?" – apelował po przegranych dla Trzaskowskiego wyborach prezydenckich na łamach magazynu „Liberté!" przedsiębiorca i działacz polityczny, w przeszłości związany z Polską 2050 Aleksander Twardowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Nasadzeni na wizualne stołki

Monika Małkowska

Odbijamy! Komentariat cały w zachwytach: w kilka miesięcy wykurzono pisowskie złogi i zainstalowano swoich, liberalnych. Ci byli światopoglądowo przygotowani do przejęcia sterów. Żadnego przypadku

Spieszyli się z wymianą jak z pożarem. Słusznie, bo za trzy lata klimat w Polsce może się zmienić i znów nastanie konserwatywna ciemnota. Trzeba więc biegusiem nominować na siedmio-, a przynajmniej pięcioletnie kontrakty nowych, poprawnie myślących szefów instytucji kultury. Potem choćby potop – zrywanie takich umów to gruba i kosztowna afera.

Toteż ministra Hanna Wróblewska dwoi się i troi, żeby nadążyć z wymiataniem i nasadzaniem.

Pamiątkowe fotki z tych nadań ukazują szefową resortu kultury zawsze z takim samym grymasem: jedni widzą w tym zawodowy uśmiech, inni dostrzegają skurcz męki. Tyle podpisów, tyle uścisków dłoni. Kto by to wytrzymał?!

Warto bliżej przyjrzeć się nowo mianowanym włodarzom instytucji „dedykowanych" sztukom wizualnym. Czym zasłużyli na prestiżowe stanowiska? No, wiadomo, są z aktualnego klucza. Ale skąd przyszli? Kto akceleruje ich kariery? Jaką retorykę uprawiają?

KREATORZY WIDZIALNOŚCI

Wielu uważa, że dominującą europejską ideologią stał się neomarksizm – a jeśli, to czy wciąż „kino jest najważniejszą ze sztuk"? Tak zawyrokował Włodzimierz Lenin w roku 1921, mając na myśli propagandową przydatność nowego (wtedy) medium. Dziś większe zasięgi mają dyscypliny, których ojciec socrewolucji nie był w stanie przewidzieć, jako że są efektem innej rewolucji – cyfrowej. Owszem, mieści się w tym film, lecz są tu także wszelkiej maści sztuki wizualne, tworzone i rozpowszechniane za pomocą nowych technologii, od memów do miejskich billboardów.

eprasa.pl bf66c86d78

Zanim Hanna Wróblewska została szefową MKiDN, sprawowała za rządów PiS ważne funkcje w instytucjach kultury. Teraz czyści te instytucje ze „złogów pisowskich" FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Czy zwrócili państwo uwagę na świetlne tablice na stacjach metra i w komunikacji miejskiej, opatrzone hasłem „We create visibility"? To kwintesencja świadomościowego przewrotu.

Nie tak dawno temu Daniel A. Barber, profesor architektury z Sydney, stwierdził, że żyjemy w komfortocenie, krótkiej epoce człowieczej szczęśliwości. Tenże komfort dotyczy również wygody poznawczej.

No właśnie. Współczesna kultura „wizualności" zmniejsza żmudę zdobywania wiedzy o świecie umysłem i doświadczeniem na rzecz rozpoznawania rzeczywistości za pośrednictwem obrazków. Zapotrzebowanie na nie sprawiło, że zastępy artystów od wizusztuk rozrosły się na skalę nieznaną w dziejach ludzkości. Już nie trzeba studiów, wystarczy chęć szczera i stosowne oprogramowanie. Nie koniec na tym – w zakresie wizukreacji ma sporo do „powiedzenia" sztuczna inteligencja, której talent zastępują algorytmy.

W tej sytuacji osoby zarządzające zasobami obrazkowych dóbr nie tylko kształtują nasze estetyczne potrzeby, lecz także odgrywają rolę krzewicieli ideologii. A z wyrokami merytokracji – w tym przypadku szefów instytucji sztuki oraz kuratorów wystaw – nikt nie podejmuje publicznej „merytorycznej" dyskusji. Odkąd zlikwidowano krytykę sztuki, media służą jedynie nagłaśnianiu i rozpowszechnianiu wskazań artystycznych guru. Jako rzecze elita, to święte, choć laickie.

Odkąd zlikwidowano krytykę sztuki, media służą jedynie nagłaśnianiu i rozpowszechnianiu wskazań artystycznych guru. Jako rzecze elita, to święte, choć laickie

ODBICIE SZTUKI

Przetasowanie na najwyższych stołkach w przybytkach sztuki obeszło znikomą część społeczeństwa. Tymczasem to ważna część ideoplanu. Siewcy kultury wizualnej rozpylają propagandę miękką, osadzającą się otuliną w umysłach i jaźni „postępowego" społeczeństwa. I tu pretensja: żaden polski rząd od czasów przełomu 1989 r. nie poświęcał „osobom twórczym" dostatecznej uwagi, w czym błądził. Za to obecna władza szybko połapała się i najpierw „wyczyściła" media, a w ślad za tym przybytki kultury. Zresztą obie siły stanowią zwarty socjotechniczny front.

W lutym 2024 r. MKIDN informowało: „Ujawniamy nadużycia w zhakowanych instytucjach kultury i chcemy wypracować plan naprawczy [...]. Działania opieramy na wolności artystycznej – jednym z fundamentów państwa demokratycznego. W takich instytucjach, jak teatry, muzea, filharmonie czy opery potrzebna jest transparentność i autonomia".

I bla, bla, bla... Na użytek wyborców koalicji można bajdurzyć o demokracji, pluralizmie, tolerancji we wszystkich twórczych dziedzinach – w istocie chodzi o to, żeby przekaz był zgodny z liberokierunkiem.

Efekt? Repertuar w „odbitych" muzeach, centrach kultury i galeriach publicznych jest zastanawiająco spójny. Na okrągło powtarzane są te same tematy: feministyczne wzmożenie, wojna na Ukrainie, otwarcie na migrantów, gender, queer, kryzys klimatyczny, ekologia miejska, nowe religie, szamańskie praktyki, podboje galaktyki (kolejność bez znaczenia).

Odbiorców urabia się w teorii i praktyce – każda budżetowa instytucja kulturalna prowadzi wykłady i warsztaty dla dzieciaków, młodych, nawet seniorów. Regułą stały się oprowadzania kuratorskie lub/i autorskie, naprowadzające na właściwy odbiór eksponowanego materiału. Coraz częściej wernisaże uatrakcyjniane są czymś na kształt spektaklu czy koncertu.

Tu przypomnę osadzony w politycznym kontekście performance „Czyszczenie Zachęty", przedsięwzięty w Narodowej Galerii 28 marca ub.r.: dziwaczny „rytuał" połączony z aktem zemsty. Po odwołaniu mianowanego przez PiS Janusza Janowskiego odbyło się symboliczne oczyszczanie z miazmatów jego dyrektorowania. Pomysłodawczyni wydarzenia, Katarzyna Krakowiak-Bałka, zaprosiła śpiewaków i aktorów do wydawania „paszczą" odgłosów sprzątania, szorowania, odkurzania, froterowania. Wykonawcy audioperformance'u przemieszczali się po galerii pomiędzy zgromadzonym tłumkiem. „Żywiołem głosów oczyścimy architekturę Zachęty, wpuścimy do niej świeże powietrze i obudzimy energię, by przygotować ją na nowe czasy" – deklarowała autorka, której wtórowała kuratorka Anda Rottenberg. Powinna dodać: nowe liberalne czasy.

POTOMKOWIE ANIMATORA

Podobne wydarzenia kosztują (opisane powyżej wydarzenie „tylko" 100 tys. zł). Oczywiście finansowane są z naszego budżetu lub zasilane przez zagranicznych propagandystów. Prywatnych mecenasów w Polsce interesują dzieła tradycyjne, na które popyt wśród szerokiej publiczności jest nieporównywalnie większy.

eprasa.pl bf66c86d78

Czy pamiętają państwo sponsora, mecenasa i animatora kultury, w którego wcielił się Janusz Gajos ponad 30 lat temu, u progu naszej transformacji? Wygłaszał złote myśli: „[…] kultura to jest cóś takie ważne dla narodu i w ogóle. To jest cóś takie, że to się w pale nie mieści". Ten słynny skecz trochę się zdezaktualizował – nie ideowo, lecz lingwistycznie. Tamto poprzełomowe buractwo ma już dorosłe dzieci, nawet wnuki. Kolejne pokolenia naszej klasy średniej nabyły nieco ogłady. Przede wszystkim przeprowadziły się do dużych miast, wykształciły i… zaczęły się zastanawiać, jak i z czego żyć. Wiadomo, są kierunki praktyczne, gwarantujące zatrudnienie, i studia romantycznie nieprzydatne. Do tych drugich zaliczają się specjalności typu kulturoznawstwo, zarządzanie kulturą, historia sztuki, studia kuratorskie, sztuki piękne i inne pięknoduchowskie. Z takim dyplomem można szukać szczęścia tylko w przybytkach kultury, których wprawdzie powstaje coraz więcej, ale konkurencja niemała. Nieraz można spotkać się z mobbingiem, intrygami, poniżaniem czy ze zwykłym chamstwem. Przede wszystkim trzeba poddać się indoktrynacji. I nie mieć wątpliwości, kogo popierać, a kto do scancelowania. Jak wiadomo, trendy dyktują najbardziej prestiżowe instytucje.

Toteż wraz z nastaniem obecnej władzy w trybie natychmiastowym odwołano Janusza Janowskiego z Zachęty, zmieniono reprezentanta Polski na Biennale w Wenecji w 2024 r., wtryniając za Ignacego Czwartosa audiowizualną instalację ukraińskiego kolektywu Open Group. Potem bana dostali Piotr Bernatowicz z Centrum Sztuki Współczesnej – Zamek Ujazdowski i Andrzej Biernacki z Muzeum Sztuki w Łodzi. Teraz powołania mają być transparentne, członkowie komisji powszechnie znani, terminy podane do publicznej wiadomości. I nie zapominajmy o zdjęciu z ministrą kultury!

Co znamienne – nikt nie tyka kompradorów lewicy, od lat usadowionych na wysokich kulturalnych stołkach, choćby nigdy nie przeszli konkursowego sita, co teoretycznie jest wymogiem. Nie ma potrzeby: to sami swoi.

DŁUGODYSTANSOWCY

Czy pamiętają państwo popłoch, w jaki wpadli ludzie z branży kultury, kiedy Piotr Gliński był ministrem? „Gazeta Wyborcza" piórem Karola Sienkiewicza (2016) lamentowała: „To ten dorobek jest dziś zagrożony, podobnie jak zagrożona jest niezależność instytucji […]. Jeśli dziś coś grozi, to zaprzepaszczenie wysiłku instytucji, artystów i kuratorów ostatnich 25 lat i skazanie nas na ponowną prowincjalizację". Bez strachu, nikt nie znalazł się na bruku. Jeśli za rządów PiS komuś z poprzednio mianowanych kończył się kontrakt, to media wszczynały akcję obronną. Przedłużyć umowę! Czasem się udawało, ale jeżeli nie, to zawsze znajdowały się „synekury przetrwania".

I tak Hanna Wróblewska, która sprawowała funkcję dyrektorki Zachęty 11 lat (sic!) od roku 2010 do końca 2021, weszła do rady programowej Centrum Nauki Kopernik oraz Muzeum Sztuki w Łodzi, następnie w 2022 r. została zastępczynią dyrektora Muzeum Getta Warszawskiego, by rok później objąć funkcję szefowej Departamentu Narodowych Instytucji Kultury w MKiDN, a wreszcie 13 maja roku ubiegłego – uff! – zasiąść w fotelu ministry.

Nieźle poradził sobie Piotr Rypson, za czasów Agnieszki Morawińskiej jej zastępca w stołecznym Muzeum Narodowym, potem p.o. dyrektor tej placówki, zwolniony za rządów prawicy w roku 2018. Wkrótce zaczął pełnić obowiązki przewodniczącego Polskiego Komitetu Narodowego w Międzynarodowej Radzie Muzeów, będąc też kuratorem w Żydowskim Instytucie Historycznym. Od stycznia ub.r. odnalazł się w Departamencie Dziedzictwa Kulturowego jako odpowiedzialny za Rady do spraw Muzeów i Miejsc Pamięci Narodowej i Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, a także opiekę nad pomnikami oraz muzeami walk i martyrologii. Oj.

To niejedyni długodystansowcy na niwie sztuki. Niedawno media gotowały się za sprawą Maszy Potockiej, w latach 2010–2024 szefowej MOCAK (Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie) i dwukrotnie – w latach 2002–2010 oraz 2019–2024 – dyrektorki Bunkra Sztuki. Poprzedni prezydent Krakowa przedłużył jej kontrakt o kolejne siedem lat. Z pewnością wykorzystałaby tę prolongatę, gdyby nie skandal wywołany udowodnionym jej mobbowaniem podwładnych.

A Muzeum Sztuki Nowoczesnej? Od początku, od roku 2007, pod przywództwem Joanny Mytkowskiej (powołana jeszcze za czasów prezydenta Lecha Kaczyńskiego). Zawodowe szlify zdobywała w Galerii Foksal, w której także terminował jej partner, Andrzej Przywara. Tych dwoje wraz z Adamem Szymczykiem założyło Fundację Galerii Foksal, samodzielną galerioinstytucję, kręcąc wespół budżetowo-prywatne lody.

Inni ostańcy? Jest ich trochę w mniej eksponowanych firmach, lecz z tego samego klucza. Dorota Jarecka, kiedyś krytyk sztuki, po zwolnieniu z „Gazety Wyborczej" dostała fuchę w stołecznej Galerii Studio i choć trwa tam od roku 2016, to bez burz ani osiągnięć, za to na etacie. I wisienka na torcie: Monika Szewczyk w białostockim Arsenale, kierująca galerią od 1990 r. Trochę krótszy decydencki staż jest udziałem Wojciecha Kozłowskiego, kierującego zielonogórską galerią BWA od roku 1999. Do starej gwardii sztuki wypada dodać Bognę Świątkowską, dziennikarkę, działaczkę i prezeskę Fundacji Nowej Kultury Bęc Zmiana (od roku 2002), która także kuratoruje projekty artystyczno-badawcze.

NOMINACI

Wymieniłam tylko kilku długodystansowców i również nie wyliczę pełnej listy nowo mianowanych wodzirejów w instytucjach sztuki, koncentrując się na liderach najbardziej eksponowanych świątyń.

Zacznijmy od siedziska monarchów. Zamek Królewski w Warszawie i Małgorzata Omilanowska, obecna przełożona tegoż, to szczególny przypadek: po zakończeniu ministrowania w MKiDN (2015) została rekomendowana przez radę powierniczą zamku na dyrektora instytucji, w miejsce emerytowanego wówczas Andrzeja Rottermunda. Jednak minister Piotr Gliński nie zastosował się do tej wskazówki i powołał Wojciecha Fałkowskiego. Po wygranej koalicji 13 grudnia znów karta się odwróciła i jesienią 2024 r. prof. Omilanowska objęła stanowisko, które zdaniem wielu po prostu jej się należało.

Do pierwszoplanowych przybytków sztuki współczesnej należą Muzeum Sztuki Nowoczesnej (tu zmianą jest nowa siedziba), Muzeum Sztuki w Łodzi, Zachęta i CSW – Zamek Ujazdowski.

W październiku ubiegłego roku konkurs na szefową Zachęty wygrała

eprasa.pl bf66c86d78

Agnieszka Pindera (rocznik 1981, najmłodsza z kandydatów). Czy kojarzy się państwu z jakimś głośnym zawodowym dokonaniem? Nic? Słusznie. Kulturoznawczyni po UMCS, podyplomowych studiach gender i Muzealniczych Studiach Kuratorskich na UJ. Szlify kuratorskie zdobywała w Muzeum Sztuki w Łodzi (2016–2023) i w Muzeum Warszawy. Nie zarządzała samodzielnie żadną instytucją kultury – a regulamin konkursu na Zachętę wymaga co najmniej trzyletniego stażu na takim stanowisku. Mimo to Pindera zwycięsko przeszła konkursowe sito. W jej programie znalazły się takie oto pomysły: „[…] przyjrzeć się zmianom, jakie zaszły w polskim polu sztuki w ciągu ostatnich 25 lat, np. od czasu słynnego performance'u Julity Wójcik »Obieranie ziemniaków« z 2001 r., w którym artystka postanowiła przełamać utrwalone w kulturze stereotypy dotyczące zarówno roli kobiety, jak i instytucji sztuki". Pindera ma też zamiar poświęcić uwagę „kulturze czasu wolnego, co ma nam przypomnieć, że sztuka i kultura są źródłem przyjemności".

Ciekawe, czy mąż Pindery – Daniel Muzyczuk, obecnie p.o. boss Muzeum Sztuki w Łodzi – otrzyma za pewien czas tę nominację? Byłby to kolejny w Polsce przypadek tzw. konfliktu interesów (czyli zderzenia publiczne/prywatne, jak w przypadku związku Mytkowska/Przywara).

A kto objął stery w Zamku Ujazdowskim? Anna Łazar, najnowsza nominatka (z 11 lutego br.) w dziedzinie wizu. Znowu państwo są niezorientowani, czym się zasłużyła? Otóż zarysowała wizję sztuki jako jednego z elementów życia społecznego, którego „[…] dotykają wyzwania związane z populizmem, wojną hybrydową, katastrofą klimatyczną i backlashem wobec przyśpieszającej modernizacji". I nieco dalej o założeniach ZUJ: „Jednym z ważnych wektorów jest też przygotowywanie się do działania w trudnych warunkach, myślenie o dodatkowych funkcjach wobec katastrofy humanitarnej i klimatycznej".

Co do dokonań: Anna Łazar pracowała w dyplomacji publicznej i kulturalnej w MSZ jako wicedyrektorka i p.o. dyrektor w Instytutach Polskich w Kijowie (2008–2014) i w Sankt Petersburgu (2015–2018) oraz jako kuratorka w Muzeum Sztuki w Łodzi (2021–2022). W ubiegłym roku była współtwórczynią wystawy „Rewolucyjna Przestrzeń Eksperymentalna. Historia" w Narodowym Muzeum Sztuki Ukrainy w Kijowie. Gros doświadczenia nowej menedżerki Zamku Ujazdowskiego dotyczy jej pracy na Ukrainie. Być może obecnie ma to priorytetowe znaczenie.

Nieco podobnie rysuje się postać obecnej liderki Instytutu Adama Mickiewicza. To najważniejszy eksporter naszego wizualnego (i w ogóle kulturalnego) dorobku na świat. Od 1 maja 2024 r. dyrektorką IAM została Olga Wysocka, politolożka, menedżerka kultury, zafascynowana fenomenem populizmu i demokracji.

Wpływy carycy sztuki polskiej sięgały również stanowisk państwowych. To wsparciu Andy Rottenberg Małgorzata Omilanowska zawdzięczała tekę ministerialną

Początki jej drogi zawodowej sięgają pracy w Instytucie Polskim w Berlinie. Z IAM związana od roku 2009, w latach 2014–2018 w charakterze wicedyrektorki. Potem zastępczyni Hanny Wróblewskiej w Zachęcie (2018–2022). Może najtrafniejsza nominacja – trudno oprzeć się jednak wrażeniu, że wciąż z tego samego kręgu znajomości. A w roku (półroczu) polskiej prezydencji w Unii Europejskiej szczególnie ważna – bo ruszyła już machina naszych artystycznych popisów na europejskiej arenie.

SFORMATOWANI

Te osiągi nie byłyby możliwe bez zasięgów. Inaczej mówiąc, na sukcesy „generałów" sztuki pracuje armia niewidocznych dla ogółu szeregowych propagandzistów. Są rozsiani po całym kraju w pomniejszych galeriach i galeryjkach, w instytucjach rządowych i pozarządowych, na uczelniach, w sieci, w niszowych mediach. Niektóre z tych rozsad liberalnego myślenia są zasilane przez zagranicznych sponsorów, których gros ulokowane jest w Niemczech. Od początku naszej transformacji nasi zachodni sąsiedzi formatują umysły, „miękko" korumpując środowiska opiniotwórcze. Nasi artyści, a także organizatorzy życia kulturalnego są wyjątkowo podatni na te zabiegi, jako że ich istnienie i funkcjonowanie zależy od publicznych pieniędzy.

Jednak nic darmo. Wsparcie otrzymuje się tylko wtedy, gdy postępuje się zgodnie z doktryną wymaganą przez mecenasa. Jakość artystyczna ma niewielkie znaczenie, ważna ideologiczna młócka. Granty, dotacje, stypendia, programy specjalne, konkursy i nagrody fundowane głównie przez niemieckie (choć nie tylko) organizacje oraz osoby prywatne umykają uwadze ogółu. Każdy wie, jaką potężną medialną bronią dysponuje George Soros, przez wielu uważany za filantropa – ale mało kto jest świadom jego wpływów na nasz kulturalny ideogram. Za to do uszu większości doszły zgrzytania zębów i złorzeczenia pod adresem Donalda Trumpa, wstrzymującego strumyczek subwencji dla piewców lewicowej ideologii. Bo latami kasa płynęła cichutko…

Oprócz tego świadomość nadawców i odbiorców kultury kształtują „autorytety". Te zaś, w przeciwieństwie do skromnych, anonimowych orędowników jedynie słusznych idei, cieszą się wielką rozpoznawalnością. Ich oblicza zna nawet ktoś obojętny wobec tego, co dzieje się w sztukach plastycznych. Ci wyniesieni na szczyt dysponują sprawczością jak godfather czy raczej matka chrzestna. Tak, mam na myśli osobę nazywaną carycą sztuki polskiej, której wpływy sięgały również stanowisk państwowych. To wsparciu Andy Rottenberg Małgorzata Omilanowska zawdzięczała tekę ministerialną. Również kariery artystyczne spoczywały w dłoniach ulubienicy elit.

Nie muszę dodawać, że pojedynczy kontrarianie w zwarciu ze zindoktrynowanym masywem nie mają szans. Stosowana jest stara metoda, by takich niepokornych pognębić zawodowo i środowiskowo: dorabia im się gębę osób zaburzonych. Kiedyś zarządzanie strachem i pogardą było domeną aparatczyków z moskiewskiego nadania. W obecnym „patopaństwie" (określenie Jana Śpiewaka) implementowała to także kultura. Bo rząd dusz jest ważny. Tę zaś w Polsce sprawuje skonsolidowana „elita" pod wezwaniem Świętego Interesu. I na stos z tymi, którzy stają w poprzek!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Dzień hipokryzji

Piotr Gociek

Wstrętni bogacze, żeńska odmiana Elona Muska, niezależne media, cyniczni politycy – miało być na poważnie, a wyszedł zabawny katalog lęków amerykańskiej lewicy

Jest trochę dobrze oddanych drobiazgów w scenariuszu miniserii „Dzień zero". Tak, świat jest pełen ludzi od urodzenia wychowywanych i kształconych tylko w jednym celu: by zaatakować Amerykę. Tak, gdy przychodzą niespokojne dni, zamiast szukać nowych przyjaciół, lepiej trzymać się starych. Tak, większość dziennikarzy to pozytywki – wgrasz odpowiednią melodyjkę, to będą ją odgrywać dopóty, dopóki nie zastąpisz jej inną muzyczką. Ale poza tym wchodzimy do królestwa banału: kraj podzielony na dwie zwalczające się agresywnie połowy nigdy nie będzie zdrowy, lepiej jest współpracować, niż nie współpracować itd. Nie jesteśmy jednak na zajęciach w przedszkolu, lecz w politycznej bajce nakręconej za grube pieniądze.

„Dzień zero" trafia i tak do historii rozrywki, bo to pierwsza w dziejach serialowa produkcja z Robertem De Niro. Mógł wybrać lepiej, ale wyszło, jak wyszło. Możemy się jednak domyślać, co go do projektu przyciągnęło: po pierwsze, zagrał prezydenta Stanów Zjednoczonych (nieważne, że byłego), po drugie – i moim zdaniem ważniejsze – postać w świecie polityki tak szanowaną i mądrą, jak szanowany i mądry chciałby być De Niro w prawdziwym życiu, gdy się odzywa, by skomentować bieg bieżących wydarzeń. Niestety, trudno go w realu szanować, bo od lat postępuje proces jego przemiany w amerykańskie skrzyżowanie Stefana Niesiołowskiego z Andrzejem Sewerynem. Krótko mówiąc, geniusz aktorstwa zamienia się we wściekłego staruszka plującego jadem na amerykańską prawicę, ze szczególnym uwzględnieniem Donalda Trumpa.

CEL UŚWIĘCA ŚRODKI

Sześcioodcinkowy „Dzień zero" zaczyna się od groźnego cyberataku na Stany Zjednoczone. Nieznany wróg dokonuje niemożliwego: wyłącza całą elektronikę na jedną minutę. Nie działa

eprasa.pl bf66c86d78

FOT. NETFLIX

FOT. NETFLIX

nic: elektrownie, sieci komórkowe, systemy obronne. Samoloty spadają z nieba, samochody wjeżdżają pod rozpędzone pociągi, bo leży sterowanie szlabanami, ludzie umierają na szpitalnych stołach, ponieważ zawiodło nawet zapasowe zasilanie. Atakowi towarzyszy ostrzeżenie, które wyświetla się na wszystkich ekranach Ameryki: „THIS WILL HAPPEN AGAIN" (to znaczy: będzie powtórka). W wyniku ataku ginie 3,5 tys. ludzi. Szczerze, biorąc pod uwagę skalę uderzenia, mam tę liczbę za mocno zaniżoną. Ale scenarzyści mają w tym swój cel, do którego dojdziemy.

Szok społeczny jest podobny do tego, który wystąpił po atakach z 11 września 2001 r., tyle że teraz nikt nic nie wie. Jeśli mścić się – to na kim? Jeśli powstrzymać kolejny atak – to jak? Może to Chińczycy, może ISIS, a może Rosjanie. Wielu powtarza: na pewno Rosjanie (swoją drogą to miłe, że w ostatnich kilku latach Hollywood powróciło do trafnego postrzegania tego zagrożenia). I śledztwo w sprawie ataku rzeczywiście wykazuje od razu tropy rosyjskie. Jednak jako że mamy do czynienia z thrillerem, nie należy przywiązywać się do oczywistych podpowiedzi.

Robota służb swoją drogą, ale trzeba jeszcze igrzysk, aby lud wiedział, że politycy robią, co mogą, by swoich wyborców ochronić. Dlatego powołana zostaje specjalna komisja, która ma jak najszybciej dotrzeć do prawdy. Bezpieczeństwo narodowe jest najważniejsze, więc skrupuły idą w kąt: komisja może działać nawet poza ramami konstytucji. Jej szef może zarządzić bez nakazu sądu dowolną inwigilację czy rewizję; może aresztować i przesłuchiwać każdego, kto tylko wyda mu się podejrzany. Cel uświęca środki.

DZIEŁO TRZECH AUTORÓW

Komu powierzyć tak potężną władzę? Tu na scenę wkracza główny bohater serialu, były prezydent USA George Mullen (De Niro). I zaczyna się także seria absurdalnych założeń, na których zbudowana jest cała opowieść. Otóż Mullen jest podobno kandydatem idealnym, gdyż był ostatnim prezydentem w historii, który potrafił wznieść się ponad podziały i skłonić do współpracy obie największe partie. Zanim został prezydentem, wspinał się po szczeblach kariery w Departamencie Sprawiedliwości, gdzie zasłynął jako błyskotliwy śledczy. W dodatku jako polityk w służbie narodu pokazał, że liczy się dla niego tylko dobro publiczne, a nie osobiste korzyści – otóż zrezygnował z ubiegania się o drugą kadencję, choć wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że ponowny wybór miał w kieszeni. Słowem: świecki święty, brakuje mu w CV tylko chodzenia po wodzie oraz zaprowadzenia trwałego pokoju na świecie. To może tym razem?

Kpię i kpił będę nadal, bo Mullen należy do kategorii postaci nieznośnie pozytywnych. Owszem, scenarzyści próbują go uczłowieczyć, tzn. dołożyć kilka wad, ale wszystkie te wady dotyczą jego życia prywatnego. Nie był wiernym małżonkiem, nie potrafi sobie poradzić z traumą po samobójstwie syna, nie umie zbudować normalnych relacji ze zbuntowaną córką. Ale poza domowym gniazdem – geniusz, po prostu geniusz, Sherlock Holmes przy nim wysiada. W komisji pełnej podobno najbystrzejszych umysłów ze wszystkich rządowych agencji on jeden wpadnie na pomysł, że słowo „Majdan" ma coś wspólnego z Ukrainą. Kiedy jakiś świadek jest oporny, Mullen idzie z nim porozmawiać i w dwie minuty uzyskuje to, czego zawodowi przesłuchujący z CIA nie byli w stanie osiągnąć. Tyle że ten sam geniusz śledczy eliminuje potem rosyjski trop na podstawie następującego niezbitego dowodu: hakerzy otrzymali przelewy nie z Rosji, lecz z Dakoty Północnej. Cóż, jak wiadomo od wieków, szpiedzy paragwajscy to jedynie ci, którzy dostają przelewy z Paragwaju, chińscy z Chin, a rosyjscy z Rosji; nikomu nie przyszłoby do głowy, że może być inaczej. „Dzień zero" jest w wielu miejscach nieintencjonalnie śmieszny, a to najgorszy rodzaj śmieszności. (Żeby było śmieszniej i bardziej naiwnie: dokumenty w sprawie tego, że Rosjanie są niewinni, komisja otrzymuje od Rosjan).

Scenariusz serialu Netflixa to dzieło trzech autorów. Eric Newman pisał m.in. dla seriali „Narcos" i „Griselda". Noah Oppenheim jest autorem scenariusza

eprasa.pl bf66c86d78

do filmu „Jackie" oraz produkcji z serii „Więzień labiryntu" i „Niezgodna". Michael Schmidt to gwiazda „New York Timesa" i telewizji MSNBC oraz NBC News, zdobywca dwóch dziennikarskich Pulitzerów. Jak się domyślam, zapewnić miał wiedzę na temat funkcjonowania świata polityki i mediów. Z efektu wnosić można, że częściej niż wiedzę uruchamiał swe ukryte talenty kaznodziei. „Dzień zero" jest bowiem tak słuszny w swoich ogólnikowych prawdach, że branżowy magazyn „Variety" w swojej recenzji określił go mianem przeniesionego na ekran działu opinii dziennika „The New York Times".

„DZIEŃ ZERO"
USA 2025

Rzeczywiście, mamy na ekranie pełne spektrum lęków amerykańskiego liberała. Spójrzmy, kto staje naprzeciw Mullena. Jest żeńska odmiana Elona Muska, czyli serialowa Monica Kidder (gra ją Gaby Hoffmann), przeciwko której toczy się 19 postępowań antymonopolowych, agresywnie dopraszająca się o miejsce w kręgach władzy. Jest bezwzględny bogacz Robert Lyndon (Clark Gregg), który gotów jest obalać rządy, byle tylko zarobić na giełdzie. Jest zmora waszyngtońskich elit, tzn. bezczelny niezależny gwiazdor telewizyjny Evan Green, wzorowany trochę na Alexie Jonesie i paru innych podcasterach. Wolne media są bowiem OK, ale tylko wtedy, gdy zachowują się jak CNN czy MSNBC, inaczej wypada nazwać je populistycznymi, radykalnymi lub przynajmniej kontrowersyjnymi. Jest spiker Izby Reprezentantów Richard Dreyer (uroczo starzejący się Matthew Modine), który najchętniej zastąpiłby Mullena w roli szefa nadzwyczajnej komisji, gdyż już go rączki świerzbią, żeby aktywnie wykorzystać jej szerokie uprawnienia. Ach, jakże piękny byłby świat, gdyby nie bogacze, giganci Big Tech, wstrętne niezależne media oraz nadmiernie ambitni politycy! Komisja Europejska lepiej by tego nie napisała – w projekcie jakiejś Tarczy Demokracji, oczywiście.

Jak się wydaje, serial „House of Cards" miał nieoczekiwany skutek: na dobre przekonał wszystkich, że Waszyngton to najgorsze bagno w całym liberalnym świecie. Niektórzy wyciągnęli z tego wnioski praktyczne: obiecali „osuszyć bagno" – jak to zapowiedział Donald Trump. Innym pozostaje straszenie poprzez thrillery takie jak „Dzień zero" oraz nadzieja na to, że znajdą się jednak ludzie dobrej woli, którzy wszystko naprawią.

W świecie ukazanym w miniserialu Netflixa jest tych ludzi zadziwiająco niewielu. Owszem, były prezydent Mullen to mąż opatrznościowy, paru jego współpracowników być może też. Ale cała reszta? Cóż, nikt nie zaufałby tej bandzie. Najbliższy współpracownik Mullena (Roger Carlson, którego gra Jesse Plemons) to osobnik złamany i szantażowany przez złych ludzi. Własna córka Mullena dokona fatalnych wyborów. Urzędująca prezydent USA Evelyn Mitchell, grana przez Angelę Bassett (oczywiście kobieta i oczywiście czarnoskóra, gdyż prace nad serialem rozpoczęto, kiedy wydawało się, że Kamala Harris posiada jakiekolwiek talenty polityczne), w krytycznym momencie przedłoży własne interesy nad dobro kraju. Szef CIA jest postacią dwuznaczną – jak to szefowie tajnych służb. Pomijając żonę, jedynym przyjacielem głównego bohatera serialu są izraelski szpieg oraz była szefowa personelu Białego Domu, która zarazem była niegdyś kochanką Mullena.

PRAWDA NAS WYZWOLI

Na szczęście dla Ameryki były prezydent Mullen jest tak porządnym gościem, że niemal w pojedynkę da radę. Mimo że musi zmagać się z jeszcze jednym zagrożeniem – scenarzyści pożyczyli sobie koncepcję z serialu „Homeland" i każą nam długo wątpić w to, czy bohater jest przy zdrowych zmysłach. A kim są jego wrogowie? Kto stał za atakiem z dnia zero? Tu dochodzimy do największego absurdu, bo w sumie wyjdzie na to, że to też byli ludzie, którzy chcieli dobrze. Sięgnęli jednak po drastyczne środki, bo współczesna Ameryka innych już nie zrozumie, tak jest sparaliżowana przez kłótnie lewicy z prawicą i to, że nikt nie słucha argumentów drugiej strony. Jest to rozwiązanie bezczelnie ukradzione z powieści graficznej „Strażnicy" („Watchmen") Alana Moore'a i Dave'a Gibbonsa. Tam, żeby pogodzić mocarstwa toczące zimną wojnę (i zbliżające się do wojny atomowej), główny zły/dobry (ale raczej zły) antagonista sfingował zagrożenie z kosmosu, żeby osiągnąć pokój poprzez strach przed wspólnym wrogiem.

Gdzieś głęboko za tymi wszystkimi absurdalnymi założeniami, kiepskim wykonaniem, drewnianym aktorstwem i szlachetnymi intencjami, przedstawionymi w lekko żenujący sposób, kryje się w „Dniu zero" odrobina prawdy.

„Prawda jest, jaka jest, ale to nie zawsze rzecz najważniejsza" – słyszy w pewnej chwili Mullen od osoby, która całkiem logicznie argumentuje w imieniu interesu publicznego. „Prawda jest najważniejsza" – twierdzi w tym serialu Alex Green, cyniczny gwiazdor programu szerzącego teorie spiskowe i obiecującego codzienne zrzucanie „truth bombs" – ale w rzeczywistości robi to nie w imię szerzenia wolności słowa, lecz by napchać dolarami swoje konto na Kajmanach.

Prawdą jednak jest bezsprzecznie przesłanie Mullena, że świat trzeba brać takim, jaki jest, a nie takim, jakim się go widzi w swoich wyobrażeniach. I że choć wszyscy popełniamy błędy i efekty naszych starań bywają dalekie od ideału, to trzeba po prostu ciężko pracować, żeby uczynić świat lepszym miejscem. Innej drogi nie ma, nie ma drogi na skróty. Prawda nas wyzwoli – taki jest przekaz ostatniego odcinka serialu.

I ja bym w to wszystko uwierzył, gdyby nie oczywiste lampki alarmowe. Ten umoralniający wykład wyszedł spod pióra scenarzysty, którego gazeta („The New York Times") łgała w żywe oczy na temat rzekomo świetnego stanu zdrowia prezydenta Joe Bidena. Która publikowała kłamstwa na temat rzekomego „rosyjskiego tropu" w działalności Donald Trumpa. To miłe, że ostatecznie liberalna ekipa stojąca za „Dniem zero" przyznaje, że mniejsze zło nie może być drogą do większego dobra (szczególnie gdy po drodze zbija się 3,5 tys. niewinnych osób). Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że to diabeł ubrał się w ornat i na mszę dzwoni. Rozpaczacie, że Ameryka jest popsuta? Sami żeście ją przez dekady psuli, panie Michael Schmidt. I ostatecznie popsuli tak, że za naprawę musiał się zabrać ktoś pokroju Trumpa, a nie pokroju Mullena. „Dzień zero" jest dla mnie tak naprawdę „Dniem hipokryzji".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Prawda leży tam, gdzie leży

Krzysztof Masłoń

W ostatnim odcinku „Bardów" przedstawiłem Leszka Czajkowskiego. Kolej na jego wieloletniego koncertowego partnera, Pawła Piekarczyka, z którym zjechali Polskę, a także kawałek świata ze Stanami Zjednoczonymi, z Wielką Brytanią, Francją i Norwegią, Litwą, a zdarzyła się też Białoruś. Wszędzie tam z gitarami w rękach opowiadali o naszej historii, trudnych latach okupacji niemieckiej i sowieckiej, o Żołnierzach Wyklętych, o stanie wojennym, a także o dniu dzisiejszym ojczyzny i wcale niełatwej współczesności.

Z wykształcenia matematyk Paweł Piekarczyk taką, a nie inną formę wypowiedzi ideowej i artystycznej wybrał pod wpływem Jacka Kaczmarskiego. Stosunkowo szybko wypracował jednak własny, rozpoznawalny styl, przy czym nigdy nie krył, że najważniejsza jest dla niego treść przekazu, no i oczywiście odbiorcy. Dlatego dużą wagę przywiązuje do bezpośrednich kontaktów ze słuchaczami. W jaki zresztą inny sposób ma do nich docierać, skoro konsekwentnie jego twórczość jest niezauważana choćby przez stacje radiowe? Niepoprawny politycznie skazany jest na siebie, swoje nagrania nieprzypadkowo wydając w oficynie również nieprzypadkowo nazwanej Drugi Obieg. A utwory Kaczmarskiego też zdarzało mu się wykonywać, bywało, że zmodyfikowane, jak np. „Nasza klasa – raz jeszcze". Pytał w niej:

FOT. ADAM STASKIEWICZ/EAST NEWS

Co się stało z naszą klasą
Wypasioną i tak liczną
Kompetentną, rozwiniętą
Naszą klasą polityczną.
[...]
Co się stało z naszą klasą
Gdy nadeszły nowe czasy
Ma dzisiaj to wszystko łącznie
Ale za to nie ma klasy.

Poglądy Pawła Piekarczyka są od lat te same, przyjaciół i wrogów ma ściśle określonych, o czym doskonale wiedzą widzowie Telewizji Republika, w której gości stosunkowo często, dzieląc się swymi przemyśleniami. Także politycznymi, a o Platformie Obywatelskiej już dawno temu śpiewał:

Do żłobu tłoczy swe tłuste cielska
Idzie Platforma Obywatelska.
Koniec z lustracją, koniec rozliczeń,
Dla konfidentów to koncert życzeń,
Od dzisiaj wszyscy jesteśmy święci
Wiwat Platforma i konfidenci.

Swoje utwory zarejestrował m.in. na „Portrecie III RP", „Drugim obiegu w kondominium", „Dumnym oszołomie" czy „Requiem smoleńskim". Szczególny charakter mają nagrania koncertowe z „Zapiskami walki, zdrady i i zwycięstwa" i „Nieugiętymi i niepokornymi" na czele. Z piosenek chyba największą popularność osiągnął jego „Dumny oszołom", w którym tak się przedstawiał:

Mam poglądy ustalone, wierzę
w Boga a poza tym...
Jestem dumnym oszołomem, jestem
dumnym oszołomem
Nie lemingiem durnowatym.
Słychać jak postkomuniści rozprawiają w egzaltacji
o języku nienawiści i zasadach
demokracji.
Zwłaszcza jedna rzecz mnie złości,
estetyczny budzi sprzeciw,
że granice dla wolności kreślą stalinowców dzieci.
Urzędnicy zamordyzmu zawsze
wrogów kneblowali,
dziś nabiera cech faszyzmu przymusowy liberalizm.

W często poruszanej przez niego kwestii Żołnierzy Wyklętych napisał nawet „List do redaktora Michnika", kreśląc w nim, co następuje:

My nieprzerwanie redaktorze
Spieramy się o naszych przodków
Bo prawda leży tam gdzie leży
I bardzo rzadko jest pośrodku.
Jest dla mnie rzeczą oczywistą
Że iść do lasu nie mógł każdy
By stawić opór komunistom
Bandytom spod sowieckiej gwiazdy.
A ci co poszli z woli własnej
Okupacyjnej służyć władzy
Byli zdrajcami, to jest jasne
I nic pan na to nie poradzi.

A „Niezłomnych" kończył Paweł Piekarczyk strofą:

I będzie Niepodległa, tak prosto
z marzeń
Wymodlona krwią, bólem, cichym
w nocy szlochem
W niej szlachetni rodacy, piękne,
mądre twarze
A bolszewicki motłoch jest tylko
motłochem.

Nie zwykł gryźć się w język, co powodowało np. oburzenie środowisk bliskich „Gazecie Wyborczej" na krytyczne uwagi, którymi opatrzył komentarz do znanej kwestii Władysława Bartoszewskiego o Polsce jako pannie niepięknej i nieposażnej, czy też co najmniej zdziwienie po zwróceniu wysokiego odznaczenia przyznanego mu przez prezydenta Andrzeja Dudę na znak dezaprobaty po dymisji Antoniego Macierewicza ze stanowiska ministra obrony narodowej.

Nazywany bardem polskiej prawicy gości Piekarczyk często na imprezach organizowanych przez Kluby „Gazety Polskiej". Niechętni mu wytykają, że śpiewa dla przekonanych, dla swoich. To akurat nieprawda, bo występuje tam, gdzie chcą go słuchać, po prostu. A ci ludzie – jak mówił w jednym z wywiadów – „chcą pokazać, że są w tym miejscu i po tej stronie. Jestem dumny ze spotkań z nimi i z tego, że stałem się z moimi koncertami częścią tego ruchu".

Do swoich utworów pisze muzykę i bardzo często słowa, choć korzystał także z tekstów Marcina Wolskiego (m.in. do cytowanej wyżej „Naszej klasy...") czy Barbary Lipińskiej-Postawy. Wśród tych ostatnich zdarzały się rzeczy rzadkiej urody, jak „Moja Niepodległa":

Dostrzeż swą piękność w nieba lustrze
Jesteś bezcenna, złota, srebrna
I tylko powiedz jak Cię ustrzec
Moja Ty krucha, Niepodległa. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bardzo dziki Zachód

★★★★☆☆
REŻ. PETER BERG
„ŚWIT AMERYKI" („AMERICAN PRIMEVAL")
USA 2025

wyst. Betty Gilpin, Taylor Kitsch, Kim Coates

Dziki Zachód nawet w antywesternach nie wyglądał tak szaro, jak w miniserii Petera Berga „Świt Ameryki". Opowieść jest brutalna i ma głęboko ponure przesłanie. Odpowiedź na pytanie „Jak budowano Amerykę?" brzmi: ogólnym łotrostwem. Przypomina mi się polski panświnizm, lansowany niegdyś przez Jerzego Urbana – wszyscy są bydlakami, a ci, którzy mają w ustach frazesy na temat sprawiedliwości i dobra, umoczeni są najbardziej.

Okazało się, że ten ton trafia w oczekiwania światowej publiki, bo „Świt Ameryki" stał się jednym z globalnych hitów Netflixa. Ale amerykańscy liberałowie, którzy podobnie jak warszawskie salony uwielbiają narrację wyłącznie o grzechach białych budowniczych nowego świata, nie mogą być zadowoleni. Serial Berga nie przestrzega bowiem reguł poprawności politycznej: skoro wszyscy są łotrami, to znaczy, że ci o innych kolorach skóry również. Przyznajmy jednak, że jest to równanie w dół.

Główną osią fabularną jest wędrówka na Zachód kobiety utrzymującej, że poszukuje tylko, wraz z synem, zaginionego męża i ojca, ale w rzeczywistości ucieka przed karzącym ramieniem sprawiedliwości. Druga główna figura to wytrawny traper wychowany przez Indian. W rolach głównych dostajemy odpowiednio Betty Gilpin i Taylora Kitscha – nie jest to zły wybór. Najciekawsze jest jednak tło historyczne, bo do stanu Utah trafiamy w chwili, gdy mormoni pod wodzą Brighama Younga szykują krwawą łaźnię niewiernym. A konkretnie widzimy splot wydarzeń, który doprowadził do masakry w Mountain Meadows, kiedy to mormoni wraz z Indianami wyrżnęli stu kilkudziesięciu białych osadników podróżujących wozami ku Kalifornii. Krwawe wydarzenia doprowadziły do interwencji wojsk federalnych i tzw. wojny o Utah.

Wypadki te przedstawił kiedyś film „Wrześniowy świt" (2007), z Jonem Voightem i Terencem Stampem, znany w Polsce tylko z wydania DVD. Serial napisany przez Marka L. Smitha (scenarzysta „Twisters" i „Zjawy") jest dużo lepszy, trzyma w napięciu i oferuje dawkę przemocy z pogranicza, przy której „Deadwood" wydaje się filmem dla dzieci. To, co dla jednych jest atutem – brutalność i moralna ambiwalencja – dla innych może być trochę męczące. Należę do tej drugiej grupy, ale seansu nie żałowałem. ©℗

GRA TYGODNIA: „AVOWED"

Witaj w krainie Żywe Ziemie w świecie Eora, którą dotknęła tajemnicza senna zaraza. Tak, tak – twoim zadaniem jest zbadanie tej tajemnicy, co utrudnią poważne komplikacje, które pojawiają się już na początku misji. A nie jest to jedyna tajemnica, którą trzeba rozwikłać. Obsidian stworzyło solidne RPG z ciekawym i złożonym scenariuszem, dobrymi zadaniami pobocznymi, a wszystko to w interesującym świecie. Gdyby jeszcze technicznie, choćby pod względem poziomu interaktywności, był ten świat lepiej dopracowany... ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG, FPP/TPP*
- ***Platforma:*** *XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Obsidian Entertainment; Xbox Game Studios*

eprasa.pl bf66c86d78

Bohater jest zmęczony

KINO

Ralph Fiennes nie daje o sobie zapomnieć. Zdjął piuskę kardynała odpowiedzialnego za organizację konklawe i wdział chlamidę godną spryciarza, który sprawił, że sczezła Troja. Swoją drogą, grecka mitologia musi być całkiem paseé, skoro seans trzeba zacząć od poinformowania widzów, kto zacz Telemach i na kogo czeka Penelopa. Dla scenarzystów to nawet lepiej, mogą do woli poprawiać Homera, bo i tak nikt zmian nie zauważy. Twórcy „Powrotu" zrobili z Odyseusza rozbitka, ograniczyli liczbę zalotników, darowali życie rozwiązłym pannom służącym oraz przedwcześnie uśmiercili Laertesa. Poza tym zachowali podziwu godną wstrzemięźliwość. Najpoważniejsza różnica między oryginałem i ekranizacją polega na tym, że w opowieści, którą snuje bratanek Luchina Viscontiego, nie ma bogów. Są tylko ludzie, mniej lub bardziej markotni. Uwspółcześniona (również pod względem rasowym) wersja finału „Odysei" jest bowiem psychodramą. Zapewne przypadłaby do gustu Hellenom, przekonanym, że los tak czy owak musi się dopełnić i nawet heros z przeznaczeniem nie wygra.

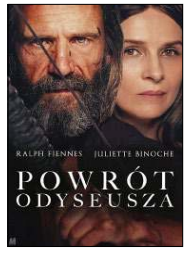

★★★☆☆☆

REŻ. UBERTO PASOLINI
„POWRÓT ODYSEUSZA" („RETURN")
WŁOCHY/GRECJA/USA/FRANCJA/WIELKA BRYTANIA 2024

wyst. Ralph Fiennes, Juliette Binoche, Charlie Plummer

Władca Itaki pojawia się w ojczyźnie incognito, zmęczony zabijaniem i zdziwiony, że ludzie wyrażają się o nim z podziwem. Wstyd mu, że wraca sam i bez łupów. Rozpoznany przez psa i piastunkę Eurykleję (w tej roli Angela Molina, niegdyś kusicielka z „Mrocznego przedmiotu pożądania") musi się ujawnić. Na pytanie, co porabiał przez 20 lat, odpowiada zwięźle: „Dryfowałem". Żona chce wyjaśnień zamiast kolejnej krwawej jatki. Zalotnicy? Jedni zachowują się paskudnie, inni w miarę przyzwoicie, Antinous zaś (u Homera najgorszy ze wszystkich) jest tak przygaszony, jakby w drodze na wyspę zawadził o Delfy i dowiedział się od wyroczni, kogo wybierze Binoche-Penelopa. Ciekawa rzecz: francuska aktorka poprzednio kolaborowała z Fiennesem w „Angielskim pacjencie". Wtedy oboje dostali nominacje do Oscara, lecz tylko Juliette wróciła do domu ze statuetką. Ralph obszedł się smakiem. Nie pierwszy i nie ostatni raz. „Powrót..." jest zbyt posępny i ascetyczny, by zachwycić kogokolwiek poza wąskim gronem zakamieniałych hellenofilów. Ameryka kocha komedie. My, Słowianie, lubimy sielanki. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

FEMME FATALE

cda.pl

Marcel Carné zwlekał z premierą do chwili, gdy ostatni niemiecki żołnierz opuścił Francję, lecz i tak „Komedianci" przeszli do historii jako najlepszy z filmów nakręconych w okupowanej Europie. Kina nie uważano wtedy za sztukę, więc intrygę uszlachetnia wątek teatralny. Akcja rozgrywa się zresztą w złotej epoce paryskiej sceny, czyli w XIX w. Romantyzm wyziera z każdego kąta, tylko bohaterów bez skazy brak. Centralną postacią jest kobieta, która zdołała zawrócić w głowie czterem panom o różnych charakterach i społecznych statusach. Introwertyczny mim Jean-Baptiste, uwielbiany aktor Frederic, kryminalista Lacenaire i zimnokrwisty arystokrata Edouard zrobią wszystko, by ją uszczęśliwić, jednak „przeszłość skacze do gardła jak wściekły pies". Minęło 80 lat, poezja jest passé, a „Komedianci" wciąż wzruszają. ***Wiesław Chełminiak*** ©℗

★★★★☆☆

REŻ. MARCEL CARNÉ
„KOMEDIANCI" („LES ENFANTS DU PARADIS")
FRANCJA 1945

wyst. Jean-Louis Barrault, Pierre Brasseur, Arletty

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Boża Sprawiedliwość

Od 2009 r. Stowarzyszenie Przyjaciół Nowicy pospołu z Katedrą Sztuki Sakralnej lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych i Instytutem Ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego organizują plenery dla malarzy ikon. Ich owoce to ponad setka wystaw w Polsce, na Ukrainie, Białorusi, Armenii Gruzji, Szwajcarii, Austrii i w Niemczech, kilkanaście katalogów, kilka albumów i filmów dokumentalnych.

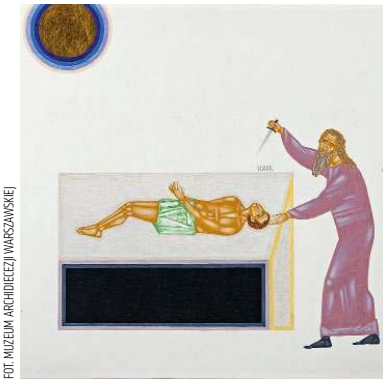

FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ

Szesnastą edycję warsztatów – w której wzięli udział artyści z Polski, Litwy i Ukrainy – zorganizowano w Sławsku na Ukrainie, aby mogli w nich wziąć udział ikonopisarze, którzy nie mogą opuszczać pogrążonego w wojnie kraju. Na wystawie w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej zatytułowanej „Boża Sprawiedliwość" prezentowanych jest ponad 50 ikon, które powstały w Sławsku. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Archidiecezji Warszawskiej***
KIEDY? ***do 16 kwietnia***

eprasa.pl bf66c86d78

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kap, kap, płyną łzy

Pamiętają państwo „Bańkę po biełomu" Włodzimierza Wysockiego? W tym legendarnym songu śpiewał o tych, którzy tatuowali sobie: „… na liewoj grudi – profil Stalina, a na prawoj – Marinka anfas…".

Później Jacek Kaczmarski odwołał się do tej pieśni w genialnym „Epitafium dla Wysockiego":

Pani bagien, mokradeł i śnieżnych pól
Rozpal w łaźni kamienie na biel!
Z ciał rozgrzanych niech się wytopi ból
Tatuaże weźmiemy na cel!
Bo na sercu po lewej – tam Stalin drży
Pot zalewa mu oczy i wąs!
Jego profil specjalnie tam kłuli my
Żeby słyszał, jak serca się rwą!

I o takim niezwykłym tatuażu opowiada w swojej najnowszej powieści Marek Ławrynowicz, autor m.in. „Kina »Szpak«", „Patriotów 41" i „Munduru", w których to książkach dowiódł, że coraz odleglejsze już lata PRL potrafi wspominać z niepowtarzalnym humorem, a przy tym bez nieznośnej nostalgii charakteryzującej utwory wciąż uparcie relatywizujące tamten zły i podły czas.

Powieść „Jakby go nie było" rozgrywa się na dwóch planach: współcześnie – relacjonując pracę redaktora lokalnej gazety w województwie warmińsko-mazurskim usiłującego zrekonstruować życie ofiary morderstwa w letniskowej miejscowości Wyręby, mało komu znanego, mocno już starszego mężczyzny – oraz na początku lat 50., gdy ten sam mężczyzna, wówczas traktorzysta z PGR w Wałczu, stał się obiektem zainteresowania najwyższych czynników partyjno-państwowych. A to za sprawą tatuażu właśnie.

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

Kazimierz Łyczuk, bo tak nazywał się wielbiący Ojca Miłującej Pokój Ludzkości przodownik pracy, zwrócił na siebie uwagę ambitnego aparatczyka, który szepnął o nim słowo samemu towarzyszowi Jakubowi. No i zaskoczyło! „Zaraz po wyjeździe towarzysza Bermana – snuje opowieść ów robiący błyskawiczną karierę partyjniak – pojechałem do Wałcza. Komendantem UB był tam wtedy niejaki Basaga, niby wykształcony, ale w gruncie rzeczy tępy jak cep, a jeszcze bardziej zawzięty. Powiedziałem mu, że chcę zobaczyć ten tatuaż. Zaprowadził mnie pod celę, w której siedział traktorzysta, i pozwolił popatrzeć przez wizjer. Łyczuk był bez koszuli, na wezwanie zbliżył się do drzwi i mogłem towarzysza Stalina dokładnie obejrzeć. Nie powiem, udany był tatuaż. Widziałem potem w Rosji Władimira Sichowa, który też miał wytatuowanego na piersi Stalina, ale tamten portret nawet się nie umywał do tego, który nosił Łyczuk. Nie ta klasa. Powiedziałem Basadze, że chcę porozmawiać z Łyczukiem". Po osobistej interwencji Jakuba Bermana nieufny ubek musiał zwolnić delikwenta, któremu wprawdzie przestała odtąd grozić nieuchronna, zdawałoby się, kara więzienia, ale swojego Stalina musiał pokazywać kolejnym ważnym, ważniejszym i najważniejszym, aż w końcu znalazł się na samym Kremlu. I, co powiedzą państwo, spodobał się samemu Józefowi Wissarionowiczowi!

W sumie sytuacja wytatuowanego była trudna. Po tym, jak nachlał się niemal do nieprzytomności i podpuszczony przez kolegów w tak niezwykły sposób upiększył swą klatkę piersiową, zamiast zafundować sobie w tym miejscu efektowną seksbombę, zamknięto go w areszcie i groził mu niemały wyrok. Do końca nie wiadomo za co, ale paragraf znalazłby się bez trudu. Sprawa była na gruncie polskim nietypowa, ale w ZSRS miała już swoją historię. Tamtejsi łagiernicy tatuowali sobie ochoczo Stalina do spółki z Leninem na wszelki wypadek. Gdyby tak bowiem miano ich stawiać przed plutonem egzekucyjnym, może by strzelcom zabrakło odwagi, by mierzyć do wodzów wszechświatowej rewolucji. Tak przynajmniej wierzono, choć w 1938 r. naczelnik więzienia w mieście Barnauł rozkazał zdjąć bagnetami tak przyozdobioną skórę z ciała pewnego nieszczęśnika, po czym rozstrzelano go, jak Pan Bóg, przepraszam – Stalin przykazał.

Nie będę streszczał dalej powieści Marka Ławrynowicza, bo odbiorę czytelnikom całą przyjemność lektury tej stylowej historii z czasów tak nieprawdopodobnych, że niemożliwe nic w nich nie było. A najpiękniejszym dniem z tamtego czasu był 5 marca 1953 r., kiedy to Genaralissimus Stalin wziął i umarł. „Płakała Moskwa i cały Związek Radziecki, płakała Polska i obóz socjalistyczny, łkał rozdzierająco cały postępowy świat. Łyczuk pił przez trzy dni i płakał, łzy kapały mu do wódki czystej, zwykłej. Towarzysz Berman siedział nad stakanem »Moskowskoj«…". ©℗

★★★★☆

MAREK ŁAWRYNOWICZ „JAKBY GO NIE BYŁO" WYDAWNICTWO LIRA, WARSZAWA 2025

eprasa.pl bf66c86d78

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ściany płaczu

Literatura literaturą, a gdzieś trzeba książki trzymać. Przydałyby się mieszkanie i pojemne regały. I tak na tapet wjeżdża książka nieoczywista – opowieść o złych ludziach, którzy krzywdzą dobrych ludzi. Szyderstwo jest zamierzone, bo okrutnie mnie irytowało w opowieści Bartosza Józefiaka nieustanne podkreślanie, że deweloperzy chcieliby wydać jak najmniej, a zarobić jak najwięcej. No co za skandal! Ale uwaga, sensacja rewelacja – wydawca książki Józefiaka też chciałby tanio produkować i drogo sprzedawać, podobnie jak właściciele szklarni z pomidorami albo ferm z kurami. Ja wiem, inaczej wygląda sprawa, gdy ryzykujemy kupnem zepsutego pomidora, a inaczej, gdy wkładamy dorobek całego życia w mieszkanie, o którym nie wiemy, że jest trefne. Tym bardziej jednak trzeba rozmawiać poważnie, a nie szukać nazbyt łatwych wyjaśnień.

Reportaż uczestniczący „Patodeweloperka" straszy podtytułem „To nie jest kraj do mieszkania". Może nie jest, lecz nie z powodu chciwości. Relacja z wielkiej konferencji Dzień Dewelopera jest zabawna, opowieści o inwestorach bezlitośnie oszukujących klientów – już mniej. Ale bądźmy szczerzy, szukanie przyczyn patologii budowlanej w zwykłej chciwości nie jest za mądre. Szczególnie gdy dowiadujemy się od autora, że czasy, gdy z wartej 10 mln inwestycji można było wyciągnąć 6,5 mln zysku, należą już bezpowrotnie do przeszłości. Dziś przeciętna stopa zysku w branży to 10 proc. – i to tylko wtedy, gdy wszystko pójdzie jak z płatka. A rzadko kiedy idzie.

No to wyliczajmy: buduje się mało, ale walka o klienta nie jest łatwa. Odpowiedź jest prosta: więcej wolnego rynku, deregulacja, oddanie nowych terenów pod inwestycje. Tymczasem rządy się zmieniają, a przepisy – nie bardzo. Czy żądanie z kolei, by więcej budowało państwo, jest sprzeczne z rozwojem wolnego rynku? Nie, gdy przypomnimy sobie, że ponad 100 tys. ludzi czeka w Polsce na mieszkania komunalne. Nie chodzi więc o niszczenie rynku, lecz proste wywiązanie się z przyjętych zobowiązań. Prywatnie uważam też, że mnóstwo złego dzieje się w samorządach, gdzie kwitną patologie sobiepaństwa i spychologii. Listę zostawiam otwartą, dopisujcie dalej sami. A książkę Józefiaka, dla inspiracji i ku przestrodze, warto poczytać. ©®

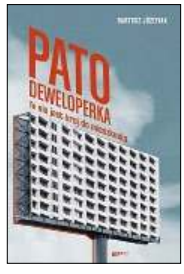

★★★★☆☆

BARTOSZ JÓZEFIAK „PATODEWELOPERKA. TO NIE JEST KRAJ DO MIESZKANIA"
ZNAK 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Historyczna powieść o miłości, opus magnum zapomnianego, a jakże wybitnego pisarza, jedna z najlepszych polskich książek o średniowieczu. Wznowienie, którego nie wolno przegapić, z posłowiem Joanny Szewczyk.

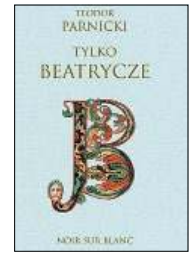

TEODOR PARNICKI „TYLKO BEATRYCZE"
NOIR SUR BLANC

Pierwsza na polskim rynku monografia wojny Izraela z Hamasem w latach 2023–2024, napisana pospołu przez reportera wojennego (Bruszewski) oraz eseistę i komentatora (Rakowski), znawców problemów Bliskiego Wschodu.

MICHAŁ BRUSZEWSKI, PAWEŁ RAKOWSKI „WIELKA WOJNA IZRAELA"
ZONA ZERO

Przegląd filmów o zombie (lata 1932–2000), szczególnie ciekawy, gdy mowa o starym kinie. Czy ktoś pamięta, że miał taki w dorobku Michael Curtiz, reżyser „Casablanki"? Albo że z nieumarłymi zmagał się komik Bob Hope?

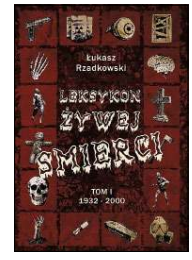

ŁUKASZ RZADKOWSKI „LEKSYKON ŻYWEJ ŚMIERCI", T. 1
WYDAWNICTWO IX

Zawodowy kiler rzuca zabijanie, a we wstrzemięźliwości mają mu pomóc sesje z innymi Anonimowymi Skrytobójcami. Ale jak przeżyć, gdy przyjdą po niego źli ludzie? Zabawny koncept, ale miano kryminału roku na wyrost.

recenzuje Piotr Gociek

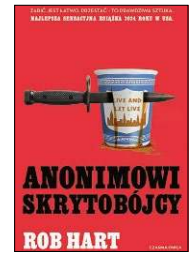

ROB HART „ANONIMOWI SKRYTOBÓJCY"
CZARNA OWCA

KOMIKS TYGODNIA:
TAK, PAMIĘTAM...

Arcydzieło współczesnego komiksu hiszpańskiego, trudna do streszczenia, lecz porywająca opowieść o zderzeniu codzienności z barwami pamięci, o starzeniu się, szukaniu okruchów piękna w tym, co nas otacza, i w tym, co już tylko pamiętamy. Grad nagród, edycje w kilku krajach Europy – realizm magiczny pana Prado zasługuje na uważną lekturę.

Piotr Gociek

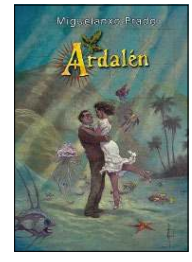

MIGUELANXO PRADO „ARDALEN"
MANDIOCA 2025

eprasa.pl bf66c86d78

TOMASZ D. KOLANEK: Szanowny panie profesorze, nakładem wydawnictwa Fronda ukazała się pana najnowsza książka pt. „Kłopoty z Niemcami". W pierwszej kolejności: Kto ma kłopoty z Niemcami?

PROF. GRZEGORZ KUCHARCZYK: A kto ich nie ma?

Może więc inaczej: To świat ma kłopoty z Niemcami czy to Niemcy mają kłopot ze światem?

To są dwie strony jednego medalu. Moja książka jest zaadresowana do polskiego czytelnika. Przygotowując ją, miałem na względzie przede wszystkim tę pierwszą stronę, czyli tych wszystkich, którzy mają kłopoty z Niemcami.

Nie zmienia to jednak faktu, że Niemcy mają kłopot z – nazwijmy to – źródłami cywilizacji europejskiej, które np. dla nas, Polaków, są powodem do dumy. Mówienie, że Polska jest cywilizacyjnie związana z Rzymem, nie ma w naszej kulturze jakichś większych negatywnych konotacji. Zupełnie inaczej wygląda to w Niemczech, gdzie mniej więcej od czasów Marcina Lutra panuje przekonanie, że Rzym – w sensie pewnego symbolu cywilizacji – jest co najmniej podejrzany.

Zapytam więc prowokacyjnie: A co, jeśli to Niemcy mają rację, a nie Rzym? Co, jeśli Niemcy naprawdę chcieli i chcą dobrze, tylko świat ich nie rozumie?

Oczywiście, że Niemcy chcą dobrze i mają dobre chęci. Nie muszę chyba przypominać, które miejsce w świecie stworzenia jest wybrukowane dobrymi chęciami…

Diabeł jak zawsze tkwi w szczegółach. W przypadku Niemiec te „szczegóły" wiążą się z pewną wizją świata rodzącą się w kręgu kultury niemieckiej. Z jednej strony wielowiekowa postawa Niemiec jest dowodem na to, że nie po drodze ze źródłami cywilizacji, z której Europa czerpie swoje soki żywotne, w sensie kulturowe. Z drugiej zaś strony Niemcy cierpią na niezdrową ambicję „uzdrowienia cywilizacji" oraz na jeszcze bardziej niezdrowe przekonanie, że tylko oni wiedzą jak i kiedy w końcu świat ich posłucha, to będzie dobrze.

W latach 60. XIX w. powstał wiersz, w którym padają słowa: „Am deutschen Wesen mag die Welt genesen", czyli „Świat powinien uzdrowić się na niemczyźnie, dzięki Niemcom". Do dzisiaj za

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

eprasa.pl bf66c86d78

Z prof. Grzegorzem Kucharczykiem, historykiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Kłopoty z Niemcami

Odrą te słowa są powtarzane w różnych kontekstach.

Dlaczego Niemcy personalnie odpowiedzialni za kolejne kryzysy cywilizacyjne, religijne, filozoficzne, polityczne mają dzisiaj tak dobrą klakę w świecie? Pierwszy przykład: Marcin Luter. W 2017 r. Kościół katolicki hucznie obchodził 500 lat wystąpienia ojca reformacji. Może więc Luter chciał dobrze i miał rację?

Pięćsetlecie reformacji uczczono szczególnie hucznie w Kościele katolickim w Niemczech. Zresztą słowo „uczczono" nie do końca oddaje sytuację z 2017 r. Tam rzeczywiście świętowano…

Ale Watykan również świętował… Może więc w 1517 r. Luter miał rację, a Kościół nie?

Tego typu pytania i stwierdzenia są charakterystyczne dla umysłowości, która za pośrednictwem reformacji wniknęła w krwiobieg kultury niemieckiej. Mam tu na myśli przekonanie, że świat, w tym przypadku Kościół powszechny, mylił się przez XV wieków, aż do momentu, kiedy przyszedł mnich augustianin Marcin Luter. To on nagle odkrył prawdziwą, czystą Ewangelię, która – jak sam mówił – była ukrywana przed wiernymi przez Kościół rzymski. To dzięki Lutrowi wiemy, że Kościół i kolejni papieże przez XV wieków byli sługami Antychrysta. Na szczęście Niemcy wydali na świat człowieka, który w końcu to zauważył i ogłosił światu – Marcina Lutra.

Przepraszam za ten kpiarski i sarkastyczny ton, ale Luter i wielu jego zwolenników naprawdę tak myśleli. W konsekwencji na tej podstawie wyprowadzono wiele rewolucyjnych przemian ustrojowych, politycznych, społecznych etc. To za sprawą Lutra i reformacji zaczęło dominować przekonanie, że państwo jest instytucją powołaną do rozstrzygania spraw, które wcześniej były w ogóle poza sferą kompetencji państwa. To wówczas zaczęto głosić, że państwa trzeba słuchać, bo państwo zawsze ma rację, nawet jeśli jej nie ma, a nam nic do tego, jaki jest związek między polityką państwa a moralnością.

Tego typu myślenie rozwijało się przez wieki, zatruwając nie tylko myśl, lecz także praktykę polityczną w Niemczech i całej Europie.

Przejdźmy do kolejnego „wielkiego Niemca", który chciał dobrze. Przez wielu jest on uważany za najwybitniejszego filozofa w dziejach ludzkości, który stworzył moralność i etykę bez Dekalogu i bez prawa naturalnego. Chodzi mi o Immanuela Kanta. On również „chciał dobrze"…

Przypomnę tylko, że po 1945 r. Kant był nawet nazywany „najwybitniejszym filozofem sowieckim". W ZSRS stwierdzono bowiem, że skoro Królewiec, czyli Kaliningrad, jest częścią wielkiej socjalistycznej ojczyzny, to każdy, kto się tam urodził, jest obywatelem Związku Sowieckiego. I tak oto Kant trafił na karty „Encyklopedii Sowieckiej" jako „wielki sowiecki filozof".

Ale już całkiem poważnie: rzeczywiście filozofia Kanta – twórcy niemieckiego idealizmu – i jego uczniów to w pewnym sensie ładunek wybuchowy podłożony pod cały gmach klasycznej filozofii opartej na metafizyce bytu.

Kant twierdził, że my, ludzie, swoim rozumem nie jesteśmy w stanie poznać Boga ani takich pojęć jak miłość, wola czy wolność. Jego zdaniem to były postulaty ludzkiego rozumu, które najlepiej odzwierciedlają hasła typu: „Dobrze by było, żeby Bóg istniał", „Dobrze by było, żeby była wolna wola", „Dobrze by było, żeby była miłość" etc.

Kant rozwalił całą tradycję klasycznej filozofii realistycznej. Potem przyszedł Ludwig Feuerbach, który głosił, że ludzie w ogóle nie potrzebują postulatu Pana Boga, że doskonale się bez niego obejdą. To jest właśnie „nowoczesny ateizm" wpisany w niemiecką filozofię idealistyczną, która była natchnieniem m.in. dla niejakiego Karola Marksa.

Ponadto niemiecka filozofia ogłosiła, że oprócz prawdy i fałszu istnieje również coś, co nie jest ani prawdą, ani fałszem. Tym czymś jest mit. Do tej koncepcji odwoływał się m.in. niejaki Alfred Rosenberg w głośnej książce „Mit XX wieku", która szybko zresztą trafiła na indeks ksiąg zakazanych w Rzymie.

Skoro już wywołał pan profesor Karola Marksa… No przepraszam, ale on już na pewno „chciał dobrze"…

Chciał dobrze według starej zasady, że dążenie do zbudowania raju na ziemi kończy się zazwyczaj stworzeniem piekła. Chociaż – jak przekonywał nas na obchodach dwusetnej rocznicy urodzin Karola Marksa w 2018 r. wybitny znawca tematyki Jean-Claude Juncker – nie należy winić Karola Marksa za wszystkie zbrodnie, które w imię marksizmu zostały popełnione.

Rzeczywistość jest taka, że mamy tutaj taki ciąg przyczynowo-skutkowy. Nie można sobie wyobrazić niemieckiej filozofii idealistycznej bez wcześniejszego wystąpienia Marcina Lutra. Nie można sobie wyobrazić marksizmu bez wpływu niemieckiej filozofii idealistycznej.

eprasa.pl bf66c86d78

Tym, co łączy Lutra, Kanta i Marksa, jest walka z Kościołem...

Z Kościołem rzymskim, który jest traktowany – jak wcześniej powiedziałem – co najmniej jako coś podejrzanego.

Stąd późniejsze słowa jednego z niemieckich hierarchów, że Niemcy nie są filią Rzymu?

To jest właśnie znamię naszych czasów: do niemieckiego obozu antyrzymskiego dołączyli i wciąż ochoczo dołączają hierarchowie Kościoła katolickiego, bo tak oficjalnie się nazywa ta wspólnota religijna w Niemczech. Stwierdzenie „Nie jesteśmy filią Watykanu" padło z ust przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec nomen omen Marksa. Nie Karola, tylko Reinhardta Marxa, arcybiskupa Monachium i Fryzyngi.

Co te słowa oznaczały w praktyce? Że Watykan może ustalać, co chce, gdy chodzi o doktrynę wiary, natomiast w Niemczech wiedzą swoje, to znaczy wiedzą lepiej. Zwróćmy uwagę, w jakim tonie niemieccy biskupi wypowiadają się o biskupach afrykańskich, którzy stoją na gruncie wiary katolickiej, gdy chodzi o kwestie moralności. Co mówił o nich np. kard. Walter Kasper? Że Kościół w Afryce musi jeszcze dojrzeć do pewnych spraw, które w Niemczech już dawno rozstrzygnięto.

Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że w przeszłości, w naprawdę trudnych epokach, kiedy ujawniały się w Niemczech kolejne prądy rewolucyjne, takie jak np. kulturkampf, to jednak biskupi niemieccy, in gremio, stali wiernie przy Rzymie. To, co robią obecni biskupi w Niemczech, pokazuje głębię kryzysu za Odrą.

Czy współcześni Niemcy pamiętają o cesarzu Ottonie III?

Tak.

Dlaczego w związku z tym Niemcy nie idą wyznaczoną przez niego drogą, co szczegółowo opisuje pan profesor w książce, tylko podążają w zupełnie innym kierunku?

Ponieważ cesarz Otton III jest traktowany jak dziwoląg, jak krótkotrwała aberracja. Nie jest on nawet przywoływany w kontekście dyskursu europejskiego, że był tym, który chciał Zjednoczonej Europy.

To bardzo ciekawe zjawisko. Z jednej strony wydawać by się mogło, że Otton III spełnia wszelkie warunki, żeby zostać ogłoszonym patronem UE. Jego matka, cesarzowa Teofano, pochodziła ze Wschodu. Sam Otton III miał szczerą chęć renowacji Imperium Rzymskiego przy udziale monarchii piastowskiej. To wszystko doskonale by pasowało do dyskursu europejskiego, do idei niemieckiego pojednania z Polską, Wschodu z Zachodem, do haseł o dialogu i wspólnej historii. I co? I okazuje się, że Otton III do tego się nie nadaje. Być może dlatego, że cesarz na poważnie traktował teorię dwóch mieczy, która głosi, że papież też ma autonomię i jest jednym z głównych elementów porządku cywilizacyjnego. Niestety, jak wiadomo, „Niemcy nie są filią Rzymu".

GRZEGORZ KUCHARCZYK „KŁOPOTY Z NIEMCAMI. KULTURKAMPF, OSTPOLITIK, MITTELEUROPA" FRONDA 2024

Ostatnia prowokacja, panie profesorze. Czy nie jest tak, że to III Rzesza wyznacza współczesne trendy cywilizacyjne i polityczne? Aborcja... Eutanazja... Eugenika... Surogacja... Wykluczanie konkretnych warstw społecznych... Walka z Kościołem... Partnerstwo publiczno-prywatne... Mógłbym wymieniać i wymieniać. To wszystko odbiło się czkawką...

III Rzesza o tyle jest tutaj trendsetterem, że to ona jako pierwsza na taką skalę próbowała wyraźnie i świadomie budować „ład publiczny" w oderwaniu od prawa naturalnego i Dekalogu.

Papież Pius XI w encyklice „Mit brennender Sorge" z 1937 r. – dokumencie potępiającym hitleryzm oraz ideologię i praktykę narodowego socjalizmu – wskazał, że główne zło tego reżimu to całkowite oderwanie wszelkiej aktywności publicznej od prawa naturalnego. Zanegowanie prawa naturalnego to zanegowanie tego, co – jak podkreślał papież – było w Europie jeszcze przed chrześcijaństwem.

Pius XI w swoim dokumencie odwołał się nawet do pogańskiego myśliciela Marka Tulliusza Cycerona, który napisał wielką apologię prawa naturalnego. Wie pan redaktor, z jakiego miasta pochodził Cyceron?

Z Rzymu...

No właśnie... Z Rzymu... No i ten Rzym ciągle wraca, wraca i wraca...

A co z „partnerstwem publiczno-prywatnym" – Świętym Graalem zrównoważonego rozwoju i Forum Ekonomicznego w Davos?

Partnerstwo publiczno-prywatne to również „niemiecka tradycja" sięgająca dalej niż rok 1933.

W ostatnich latach widzimy wyraźnie, że Niemcy mają swój pomysł na tzw. wielki reset. Prawdopodobnie będzie on przybierał formę dominacji zupełnie innej cywilizacji, która już przeważa w Berlinie czy w kilku innych wielkich ośrodkach. Gdy popatrzymy na społeczność ludzi naprawdę wierzących, a nie tylko tych, którzy płacą podatek kościelny, to w stolicy Niemiec najliczniejszą grupą takich ludzi, którzy nie dość, że wierzą na serio, to jeszcze praktykują, są muzułmanie.

Moim zdaniem szariat sprawi, że partnerstwo publiczno-prywatne będzie w Niemczech kontynuowane, ale zupełnie w innych ramach.

Na sam koniec: Czy Niemcy mają kompleks Polski? Tyle zainwestowanych pieniędzy, tyle poświęconego czasu, tyle zmarnowanych sił zainwestowanych, żeby „ucywilizować" Polaków, a wszystko jak krew w piach...

Proszę zauważyć, że w ostatnich miesiącach 2024 r. nawet Rafał Trzaskowski przestał mówić o lotnisku w Berlinie. Teraz popiera on CPK, a nawet twierdzi, że trzeba być twardym także wobec Niemców. Oczywiście wszystkie te słowa padły na potrzebę kampanii wyborczej, ale skoro taką potrzebę odkryto, to znaczy, że to nie jest lekceważone.

Niemcy niestety w podejściu do Polski mają wkodowane przekonanie, że oni reprezentują wyższą kulturę i muszą te krnąbrne polskie dzieci do tej wyższej kultury przystosować.

Teraz mianem tej „wyższej kultury" nazywa się tzw. wartości europejskie, do których – jak wiadomo – niekiedy trzeba Polaków, Węgrów i innych krnąbrnych dzikusów ze Wschodu przysposobić. Swego czasu na Forum UE zaproponowano „zagłodzenie" Polski i Węgier. Tak w praktyce wygląda „wyższa kultura" zza Odry.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Kapitan Zawadziński

Ostatnim szefem II Wydziału KG Narodowego Zjednoczenia Wojskowego był kpt. Tadeusz Zawadziński „Wojciech", „Wojciech Woynowski", „Korab" (do 5 czerwca 1946 r.). Urodził się w Warszawie 10 stycznia 1918 r. Był absolwentem Gimnazjum oo. Marianów na Bielanach, gdzie w 1935 r. złożył egzamin maturalny. Studiował na Politechnice Łódzkiej, na Wydziale Elektrycznym.

Podczas studiów był aktywnym działaczem Związku Akademickiego „Młodzież Wszechpolska" (największej organizacji akademickiej w II RP) oraz Stronnictwa Narodowego. W roku akademickim 1942/1943 ukończył edukację politechniczną na tajnych kursach Politechniki Warszawskiej, uzyskując tytuł magistra inżyniera. W konspiracji już od jesieni 1939 r. był żołnierzem Narodowo-Ludowej Organizacji Wojskowej (NLOW), która od września 1942 r. współtworzyła Narodowe Siły Zbrojne (NSZ). Został oficerem do spraw specjalnych zleceń w oddziale organizacyjnym Dowództwa NSZ.

Po przejściu frontu w styczniu 1945 r. powrócił do Warszawy. Współtworzył NZW. W czerwcu 1945 r. został wyznaczony na funkcję zastępcy szefa wywiadu w KG. Od sierpnia 1945 r. pełnił obowiązki szefa wywiadu. Tworzył profesjonalne struktury terenowe wywiadu NZW w okręgach i obszarach.

Aresztowany przez UB w Łodzi 6 czerwca 1945 r. przeszedł bardzo ciężkie śledztwo. 17 listopada 1947 r. w zbiorowym procesie przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie został skazany na karę śmierci.

15 stycznia 1948 r. w więzieniu na Mokotowie wyrok na nim wykonał kat UB Piotr Śmietański, w obecności naczelnika więzienia Alojzego Grabickiego i etatowego lekarza więziennego MBP, dr Stefanii Jabłońskiej, czyli Racheli „Szeli" Ginsburg, która w następnych latach była m.in. prezesem... Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego. Była też honorowym członkiem towarzystw dermatologicznych w 46 krajach (!) oraz honorowym członkiem ośmiu międzynarodowych towarzystw naukowych innych specjalności lekarskich.

Razem z nim skazani zostali i straceni inni oficerowie KG NZW: por. Lechosław Roszkowski „Tomasz" (szef I Wydziału KG) i kpt. Jan Morawiec „Remisz" (szef Pogotowia Akcji Specjalnej). Po okresie masowych aresztowań KG NZW funkcjonowała w okrojonym składzie (komendant główny ppłk Bronisław Banasik „Stefan", „Rafał", mjr Józef Drelichowski „Hen", kpt. Jerzy Pilaciński „Lech", ppor. Maria Grotowska „Amazonka"). Resztki działalności wywiadowczej na szczeblu KG koordynował kpt. J. Pilaciński jako szef Biura Informacji, któremu przypisano „funkcje specjalne", w tym informacyjno-wywiadowcze. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

W Wolnym Mieście

14 marca 1924 r. Polska otrzymała zgodę Ligi Narodów na utworzenie wojskowej składnicy tranzytowej na terenie Gdańska. Składnicę zlokalizowano na niewielkim, zalesionym półwyspie w północno-wschodniej części miasta o nazwie Westerplatte. Pierwszy polski oddział przybył tam na początku stycznia 1926 r. Obecność polskich żołnierzy na terenie Wolnego Miasta miała poważne znaczenie psychologiczne dla gdańskich Polaków, tym bardziej że z upływem lat stosunki z Niemcami układały się coraz gorzej.

Na terenie Wolnego Miasta działały trzy polskie urzędy pocztowe, a główną placówką stał się działający od 1925 r. Urząd Gdańsk 1 przy placu Heweliusza. Jednostka miała centralę telefoniczną z bezpośrednim połączeniem z Polską i jako jedyna obsługiwała indywidualnych klientów. Na mieście rozstawiono 10 skrzynek pocztowych z polskim orłem, łącznie Poczta Polska w Gdańsku zatrudniała ok. 100 pracowników.

Istniało polskie szkolnictwo, wychodziła polskojęzyczna prasa, a nasi rodacy mieli również własny klub sportowy – Gedania. Działały sekcja piłkarska, a potem też kolarska, lekkoatletyczna, hokejowa i bokserska. Piłkarze Gedanii brali udział w rozgrywkach ligowych Wolnego Miasta.

W sekcji bokserskiej zaczynał karierę Zenon Chychła, późniejszy mistrz Europy i zdobywca złotego medalu na olimpiadzie w Helsinkach. Treningi rozpoczął jako 13-latek, w 1944 r. trafił przymusowo do Wehrmachtu, skąd zdezerterował do 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa we Włoszech.

Z Gdańskiem związała się Stanisława Przybyszewska. To właśnie tutaj powstały jej najwybitniejsze utwory ze „Sprawą Dantona" na czele. Pisarka żyła jednak w trudnych warunkach materialnych, a jej zły status życiowy pogłębiało uzależnienie od morfiny.

Klimat Wolnego Miasta służył polskim plastykom, nad Motławą rozpoczynali karierę Marian Bohusz-Szyszko i Stanisław Chlebowski. Szczególnie ten drugi był charakterystyczną postacią gdańskiego życia artystycznego. Podobno zawsze chodził jednakowo ubrany, bez względu na pogodę – w płaszczu prochowym, w kapeluszu i szaliku. Gdańskowi pozostał zresztą wierny do końca, przeżył zagładę miasta podczas drugiej wojny światowej, zmarł nad Motławą w 1969 r.

Przez pięć lat związany był z Wolnym Miastem również polski wiolonczelista i pedagog Kazimierz Wiłkomirski. Starszy brat słynnej skrzypaczki Wandy, do wybuchu wojny pełnił obowiązki dyrektora Konserwatorium Polskiej Macierzy Szkolnej. Nad Motławę powrócił po wojnie, aby objąć dyrekcję Państwowej Opery i Filharmonii i profesurę Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Sopocie. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

Reset Trumpa

Mariusz Dzierżawski

„Reset" Trumpa oznacza zakończenie wspierania niszczących ideologii przez Stany Zjednoczone. Dla Polski jest to szansa na wyzwolenie się ze straszliwych objęć globalistów

Pierwsze tygodnie drugiej kadencji Donalda Trumpa wywołały szok we wszystkich postępowych mediach. Trump nie tylko zapowiadał zmianę paradygmatu polityki amerykańskiej, lecz także po objęciu władzy natychmiast zaczął ją realizować. Z punktu widzenia Polski najistotniejsze zmiany dotyczą polityki zagranicznej, zajmijmy się więc nimi najpierw.

Trump zapowiadał zakończenie wojny na Ukrainie i rzeczywiście próbuje to zrobić. Sprawa okazała się jednak trudniejsza, niż zapowiadał. Rosja, która trzy lata temu gotowa była na zawarcie pokoju, odrzuconego przez Bidena i Johnsona, dziś stawia znacznie trudniejsze dla Ukrainy warunki. Kontynuacją wojny zainteresowani są wpływowi politycy europejscy, zwłaszcza Emmanuel Macron i Keir Starmer; Olaf Scholz też jest zwolennikiem kontynuowania wojny, choć jego zdanie po klęsce wyborczej ma mniejsze znaczenie. Zawarciem pokoju nie jest zainteresowany Wołodymyr Zełenski, którego dekret o zakazie negocjacji z Rosją cały czas obowiązuje.

Zaskakujący jest entuzjazm wobec wojny przywódców państw, którym wojna na Ukrainie żadnych korzyści nie przynosi. Skutki wojny są dla Ukrainy katastrofalne. Ukraina jest bankrutem, utrzymywanym ekonomicznie przez kroplówki z Zachodu. Państwo straciło 20 proc. terytorium, a z każdym dniem straty się zwiększają. Około 1 mln żołnierzy ukraińskich zginęło lub odniosło ciężkie rany. Kilkanaście milionów Ukraińców opuściło kraj i zanosi się na to, że wielu z nich nie wróci.

Europa Zachodnia przeżywa zapaść gospodarczą spowodowaną w znacznej mierze wprowadzeniem sankcji wobec Rosji. Wygląda na to, że sankcje znacznie bardziej zaszkodziły Europie. Przywódcy Anglii, Francji i Niemiec mówią, że wojna jest potrzebna, aby ocalić wolność Ukrainy. Wydaje się, że są gotowi wspierać walkę do ostatniego Ukraińca, ale poza wypowiadaniem słów nie są skłonni do zrobienia czegokolwiek.

TRUMP: WALCZCIE BEZE MNIE

Skąd wynika entuzjazm wojenny Zełenskiego, Macrona, Starmera i innych? Jak wiemy z historii, na wojnach wielu doskonale zarabia. Według Trumpa połowa z 350 mld dol. przekazanych przez USA Ukrainie „zaginęła". Czy część trafiła do kieszeni europejskich „sojuszników"? Tego nie wiemy, ale premier Słowacji Robert Fico oskarżył publicznie Zełenskiego o próbę przekupienia go. Jakie więc korzyści mogliby odnieść Macron, Starmer i Scholz z kontynuowania wojny?

Warto zauważyć, że najwięksi entuzjaści wojny na Ukrainie to politycy lewicy. W czasach Związku Sowieckiego politycy lewicy byli pacyfistami zabiegającymi o pokojową współpracę z Krajem Rad. Dziś nie ma większych wrogów Rosji niż lewicowcy. Przecież w Rosji nie można niszczyć rodziny, organizować parad „dumy LGBT", edukować dzieci seksualnie w szkołach ani kpić z religii. Rewolucjoniści z Zachodu zostali zdradzeni przez Rosję, dlatego robią wszystko, aby Rosję upokorzyć. Ich problem polega na tym, że niewiele mogą. Na ich obelgi Trump odpowiada: Chcecie walczyć z Rosją na Ukrainie? Walczcie, ale beze mnie.

Dochodzimy do najważniejszej kwestii „resetu" Trumpa. Jego zasadniczym celem nie była ani nie jest zmiana polityki zagranicznej. Jego celem było i jest powstrzymanie degradacji wewnętrznej USA przez obłęd ideologiczny. Rewolucja seksualna, która z każdym rokiem stawała się coraz bardziej absurdalna, „antyrasizm", który stawał się coraz bardziej rasistowski, klimatyzm, który niszczył podstawy gospodarki, walka z terroryzmem, która służyła ograniczeniu praw obywatelskich Amerykanów, pandemizm, który czynił z Amerykanów niewolników.

W czasie pierwszej kadencji Trump próbował powstrzymać te procesy, licząc na współpracę z ludźmi establishmentu. Źle ocenił sytuację. Ludzie, którym zaufał w Departamencie Sprawiedliwości, CIA, FBI i innych instytucjach, przyczynili się do przegranej Trumpa w roku 2020, a następnie próbowali wsadzić go do więzienia. Niewykluczone, że rażąca niekompetencja FBI przy próbie zamachu na Trumpa nie była przypadkowa.

Trump zorientował się, że z rewolucjonistami wokeizmu nie da się zawrzeć porozumienia. Albo oni zniszczą jego (i przy okazji Stany Zjednoczone), albo on zniszczy ich. Dlatego zaczął drugą kadencję od obsadzenia kluczowych stanowisk w administracji swoimi ludźmi. Oznacza to czystki w Departamencie Obrony, wojsku (trzeba przypomnieć, że większość generalicji zwalczała Trumpa), CIA i FBI. Służby specjalne przez całe lata szukały haków na Trumpa i starały się ukryć przestępczą działalność Huntera Bidena. Na czele Departamentu Zdrowia stanął Robert F. Kennedy, od lat zaangażowany w walkę z Big Pharmą. Od dawna zabiega też o ujawnienie prawdy o zabójstwach jego stryja, prezydenta Johna Kennedy'ego i ojca Roberta Kennedy'ego. Jego obecność w rządzie będzie przypominała Trumpowi, że zabójstwa prezydentów mają w USA długą tradycję.

NAJWIĘKSZY WRÓG WOLNOŚCI

Rozgrywka wewnętrzna zadecyduje o być albo nie być Trumpa. Z tego punktu widzenia patrzy on na sprawy zagraniczne. Łatwo zauważyć, że paliwem rewolucji globalistycznej jest poczucie zagrożenia: jeśli nie wyrzekniemy się dzieci, to zniszczymy środowisko; jeśli nie przestaniemy

eprasa.pl bf66c86d78

oddychać, to planeta spłonie; jeśli pójdziemy do kościoła w czasie pandemii albo się nie zaszczepimy, to wszyscy umrą; jeśli nie zabijemy wszystkich terrorystów w Afganistanie, Iraku, Syrii czy gdzie indziej, to wysadzą nas wszystkich w powietrze; jeśli nie zniszczymy Rosji, to Rosjanie wszystkich nas wyślą do gułagów.

Trump oczywiście wie, że te strachy to blaga, ale musi postępować ostrożnie, ponieważ od czasu Bushów była to dominująca narracja mainstreamu medialnego, a wielu Amerykanów święcie w nią wierzy.

Zastanówmy się teraz, jakie znaczenie „reset" Trumpa ma dla Polski. Obłędne ideologie, o których pisałem wcześniej, nie mniej szkodzą Polsce niż Stanom Zjednoczonym. Naciski na podważanie roli rodziny, upowszechnianie aborcji, promocja zboczeń, niszczenie gospodarki przez klimatyzm, imigracjonizm, wprowadzanie cenzury przez walkę z „mową nienawiści" i „fake newsami" – wszystko to jest zgodne z rewolucyjną agendą rewolucjonistów z Zachodu i stanowi śmiertelne zagrożenie dla tożsamości Polski.

Rozgrywka wewnętrzna zadecyduje o być albo nie być Trumpa. Z tego punktu widzenia patrzy on na sprawy zagraniczne

„Reset" Trumpa oznacza zakończenie wspierania niszczących ideologii przez Stany Zjednoczone. Dla Polski jest to szansa na wyzwolenie się ze straszliwych objęć globalistów. Jednak politycy prawicy zdają się tego nie dostrzegać. Biadają nad opuszczeniem przez USA reżimu Zełenskiego, który wprowadził na Ukrainie najgorsze ideologiczne praktyki z Zachodu i zalegalizował handel ludźmi na masową skalę poprzez tzw. surogację. Ideologią państwową Ukrainy jest obecnie banderyzm, który nic dobrego dla Polski nie oznacza. Andrzej Duda ostrzega Donalda Trumpa przed kagebistą Putinem, prawdopodobnie nie rozumiejąc, że dla Trumpa znacznie większym zagrożeniem niż KGB jest CIA.

Polscy prawicowcy chcieliby, żeby Stany Zjednoczone dbały o nasze bezpieczeństwo, utrzymując w Polsce swoje wojska. Nie rozumieją, że poważne państwo powinno samo zadbać o swoje bezpieczeństwo. Chorują na klientyzm. Chcieliby, aby Stany Zjednoczone były policją świata. Nie rozumieją też, że z punktu widzenia Amerykanów jest to wielkie zagrożenie. Imperium, które chce być policjantem świata, musi zamienić się w państwo policyjne. Obserwowaliśmy to w Stanach Zjednoczonych w minionym ćwierćwieczu. Rozumie to Trump i dlatego nie będzie spełniał życzeń polskich polityków, nawet gdyby przymilali się do niego jeszcze bardziej.

Trump wie, że największym wrogiem wolności są antyludzkie ideologie. Polscy prawicowcy nie potrafią tego zrozumieć, mimo że mają do czynienia z „demokracją walczącą". Być może zaczną rozumieć, kiedy jak Călin Georgescu, najpopularniejszy polityk Rumunii, znajdą się w areszcie. Żeby tego uniknąć, mogliby wybrać się na szkolenie z realizmu politycznego na Węgry. Viktor Orbán na pewno chętnie je zorganizuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl bf66c86d78

Biskup Franz-Josef Overbeck zaproponował w jednej z homilii, by przestać przejmować się kwestią niewiary i zrezygnować z prób nawracania tych, którzy nie interesują się Bogiem FOT. IMAGO STOCK&PEOPLE/EAST NEWS

Chrześcijanin ateista?

Paweł Chmielewski

Czy chrześcijanin może być ateistą? Wydawałoby się, że to wewnętrzna sprzeczność. Nie brakuje dziś jednak myślicieli i duchownych, którzy mają na ten temat zupełnie inne zdanie

Na początku stycznia tego roku jeden z niemieckich biskupów wywołał duży szok wśród katolików. Homilia, którą wygłosił w swojej katedrze, dotyczyła problemu zeświecczenia społecznego. Biskup zaproponował, żeby przestać przejmować się kwestią niewiary i zrezygnować z prób nawracania tych, którzy nie interesują się Bogiem.

Nie chodzi o byle kogo. Autorem tych tez jest ordynariusz diecezji Essen w niemieckim Zagłębiu Ruhry, Franz-Josef Overbeck. To jedna z najważniejszych figur w Kościele katolickim w Niemczech. Jest głęboko zaangażowany w proces synodalny – zarówno w RFN, jak i w Europie. Działa też intensywnie w Ameryce Łacińskiej. Overbeck od dawna opowiada się za głęboką transformacją teologii moralnej, zwłaszcza w obszarze etyki seksualnej. Uważa, że idąc tą drogą – to znaczy dostosowując chrześcijaństwo do liberalnych poglądów ludzi współczesnych – uda się na nowo „zachwycić" świat Kościołem.

SZCZĘŚLIWI BEZ BOGA

W homilii, którą Overbeck wygłosił 1 stycznia w katedrze w Essen, mówił o ludziach pozbawionych jakiejkolwiek wiary. „Coraz większa liczba ludzi w naszym kraju żyje bez Boga i jest to dla nich zupełnie oczywiste. Nie potrzebują religii, wiary i żadnego Kościoła, żeby być szczęśliwi i zadowoleni. Prowadzą często spełnione życie i nie są ludźmi egoistycznymi" – powiedział. Overbeck skonstatował – zresztą wbrew propagandzie niemieckiej „drogi synodalnej" – że większość ludzi odwracających się dziś w Niemczech od Kościoła nie jest wcale zgorszona żadnymi skandalami, ale nie interesuje się już po prostu wiarą w Boga. Przekonywał następnie, że nie ma sensu starać się nawracać niewierzących. „Nie musimy prowadzić misji na całym świecie i zdobywać ludzi dla określonej formy życia kościelnego. Wszyscy ludzie są wolni i takimi pozostaną. Bóg znajdzie drogi, by wprowadzić na właściwą ścieżkę także tych, którzy nie mogą albo nie chcą w Niego wierzyć" – stwierdził.

Zdaniem biskupa właściwsze jest bierne „świadczenie" wobec niewierzących, a tu prymarną rolę miałoby odgrywać chrześcijańskie miłosierdzie. „Wiara i Kościół są przekonujące tam, gdzie krzewi się solidarność i miłość, gdzie ludzie się wspierają, gdzie można znaleźć ducha zrozumienia i wzajemnej pomocy" – zadeklarował. Chrześcijaństwo sprowadzone do wymiaru „caritas" – oto odpowiedź Overbecka na wyzwania naszej epoki, którą biskup określa mianem „postsekularnej". Ten termin opisuje sytuację społeczną, gdzie nikt nie próbuje już walczyć z Kościołem, bo Kościół i jego nauki są przedmiotem całkowitego i powszechnego braku zainteresowania. Tak rzeczy się mają się – sądzi Overbeck – nie tylko w Niemczech, lecz także w wielu innych krajach zachodnich; sama ta obserwacja jest zresztą akurat dość trafna.

Nie o obserwację jednak chodzi, ale o środki zaradcze. Propozycja Overbecka nie jest w przestrzeni niemieckiej zupełnie nowa. W 2022 r. w podobnym tonie wypowiedział się najważniejszy wówczas niemiecki hierarcha katolicki, kard. Reinhard Marx, arcybiskup Monachium i Fryzyngi. Na łamach prestiżowej „Herder Korrespondenz" Marx pisał krytycznie, że Kościół katolicki przez wieki „uważał i wciąż uważa, że dużo wie o Bogu i może w związku z tym autorytatywnie obwieszczać ludziom Jego wolę". Zdaniem hierarchy to poważny błąd, bo sam Pan Jezus „nie chciał głosić żadnej doktryny ani nauki o Bogu", starając się raczej wskazywać na obecność Boga „pośród nas... gdzie styka się niebo i ziemia".

eprasa.pl bf66c86d78

Według kardynała Kościół powinien wejść na drogę „wspólnego poszukiwania coraz większej prawdy, którą nazywamy Bogiem", żeby torować w ten sposób drogę do „Jezusowego doświadczenia Boga". Doświadczenie to miałoby polegać na uprzytomnieniu wagi i roli cierpienia, jakiego człowiek doświadcza na ziemi. Mówienie o Bogu bez odniesienia do sytuacji egzystencjalnej człowieka byłoby według Marxa próżne.

NOWY NURT

Poglądy Niemców na problem Boga mają liczne źródła, częściowo specyficzne dla niemieckojęzycznej teologii. W większej mierze są jednak elementem szerszego zjawiska. Od kilkudziesięciu lat coraz dynamiczniej rozwija się wśród inspirowanych katolicyzmem myślicieli (i duchownych) nurt zwany chrześcijaństwem ateistycznym. Emblematyczne postaci dla tego środowiska to dwaj filozofowie zafascynowani Martinem Heideggerem: Włoch Gianni Vattimo (1936–2023) i Amerykanin John D. Caputo (ur. 1940). Obu można zakwalifikować do postmodernizmu, a na płaszczyźnie teologii – do teologii postmodernistycznej lub (zwłaszcza w przypadku Vattima) zupełnie wprost do chrześcijańskiego ateizmu. Charakteryzuje ich postrzeganie chrześcijaństwa w czysto zeświecczonych kategoriach i odwoływanie się do Jezusa Chrystusa wyłącznie w perspektywie etycznej. W myśli Vattima i Caputa nie ma miejsca dla metafizyki: istnieje tylko „tu i teraz", niemożliwe albo niewłaściwe są wszelkie kategoryczne sądy na temat boskości; o Bogu można mówić tylko analogicznie, a najlepiej nie mówić o Nim nic, działając i skupiając się po prostu na budowaniu braterskich relacji międzyludzkich.

Można byłoby na to wszystko machnąć ręką: ostatecznie nie ma takiego szaleństwa, którego nie wymyśli ten czy inny filozof – i jak pokazują dzieje teologii XX i XXI w., nie ma absurdu, który nie mógłby zakorzenić się w Niemczech. Sytuacja robi się jednak o wiele poważniejsza, kiedy wyraźne echo chrześcijańskiego ateizmu (a w najlepszym razie agnostycyzmu) zaczyna przebrzmiewać również w wypowiedziach następcy św. Piotra.

Podam przykład. 13 stycznia do Watykanu przyjechał przełożony buddyjskiego klasztoru w Ułan Bator. Wizytę zorganizował kard. Giorgio Marengo, prefekt apostolski w Mongolii. Papież Franciszek wręczył mu purpurę w 2022 r., kiedy Marengo nie miał jeszcze nawet 50 lat. Zaskakującą decyzję watykaniści tłumaczyli podziwem, jaki Franciszek miał dla wizji dialogu międzyreligijnego, której hołduje Marengo. Włoch już wielokrotnie sprowadzał do Watykanu buddystów; opisywałem kiedyś w „Do Rzeczy" kilka z tych spotkań. Papież zwykle opowiadał na nich o Panu Jezusie, tak jakby był to nauczyciel etyki, którego można po prostu zestawić z Buddą.

Sytuacja robi się o wiele poważniejsza, kiedy wyraźne echo chrześcijańskiego ateizmu (a w najlepszym razie agnostycyzmu) zaczyna przebrzmiewać w wypowiedziach następcy św. Piotra

Na spotkaniu 13 stycznia poszedł jeszcze dalej. Wspominał wizytę, którą sam złożył dwa lata temu w Mongolii. Zwieńczeniem tamtej wizyty był kongres międzyreligijny. Cytując własne przemówienie z kongresu, mówił o „głębokiej duchowej tęsknocie braci i sióstr, którzy podróżują przez życie z oczami utkwionymi w niebo". Buddystów z Ułan Bator przywitał – to dosłowny cytat – „w imię naszego wspólnego poszukiwania religijnego". Wyraził przekonanie, że ich wizyta w Rzymie pozwoli „promować społeczeństwo oparte na dialogu" oraz inne wartości (braterstwo, wolność religii, sprawiedliwość społeczną). W oficjalnej, publicznie jawnej części nie wspomniał wobec buddyjskich gości nawet jednym słowem o Bogu czy Jezusie Chrystusie. Na koniec zapewnił tylko, że przekazuje buddystom najlepsze „życzenia modlitewne", cokolwiek miałoby to znaczyć.

Takie ujęcie „problemu Boga" nie jest u Franciszka czymś zupełnie nowym. Kiedy w 2020 r. papież opublikował encyklikę „Fratelli tutti", włoski ateistyczny filozof Salvatore Natoli pisał, że jemu, jako niewierzącemu, ten tekst bardzo się podoba, ale dziwi go, że tego rodzaju dokument, kompletnie ignorujący zbawczą misję Chrystusa, wychodzi spod ręki katolickiego papieża. Papież zaadresował „Fratelli tutti" do wszystkich ludzi na świecie: postanowił konsekwentnie ignorować boskość Jezusa. Jak pokazuje najnowsze przemówienie do buddystów z Mongolii, trzyma się swojej strategii.

SYNOD O SYNODALNOŚCI

Chrześcijaństwo ateistyczne może być fascynujące dla ludzi, którzy stracili wiarę, ale zawodowo i życiowo utknęli w instytucji Kościoła i nie potrafią się z tego w żaden sposób wyplątać. Takich osób nigdy katolicyzmowi nie brakowało, a dziś, jak wszystko na to wskazuje, jest ich szczególnie wiele. Nie mogę oprzeć się np. wrażeniu, że to właśnie tego rodzaju myślenie kryje się za wieloma ideami zaprezentowanymi na zakończonym w 2024 r. Synodzie o synodalności. Na przykład koncepcja „decentralizacji" doktryny i moralności. W Kościele nauka tego, w co wierzymy i jak żyjemy, była przez wieki jednolita i zupełnie niezależna od geografii – wydaje się to zupełnie logiczne, jako że doktryna i moralność są zakotwiczone w niezmiennej woli Bożej. W ramach synodalnej decentralizacji to się jednak zmienia i w różnych miejscach globu niektóre elementy nauki doktrynalnej i moralnej są wykładane odmiennie.

Mogę to zrozumieć wyłącznie w kluczu chrześcijaństwa ateistycznego (lub co najmniej agnostycznego): możemy wierzyć i żyć różnie tylko wtedy, jeżeli uznamy, że Boga nie ma albo też że jest On całkowicie niepoznawalny, a stąd wszystkie nasze teologiczne pomysły są ostatecznie swobodnymi konstruktami, które nie mają nic wspólnego z obiektywną prawdą.

Wtedy można rzeczywiście dać sobie spokój z przekonywaniem niewierzących czy mówieniem o Chrystusie buddystom, skupiając się na ukazywaniu światu „doświadczenia Jezusa", które ostatecznie sprowadza się do tego, co „tu i teraz". Przyznam jednak, że mnie taka wersja wiary katolickiej w ogóle nie interesuje. Mam nadzieję, że zarówno chrześcijaństwo ateistyczne, jak i synodalna decentralizacja doktryny i moralności trafią ostatecznie tam, gdzie ich miejsce: na śmietnisko poronionych idei.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Piotr Semka

Zabójstwo Pierackiego – zapomniana zadra polsko-ukraińska

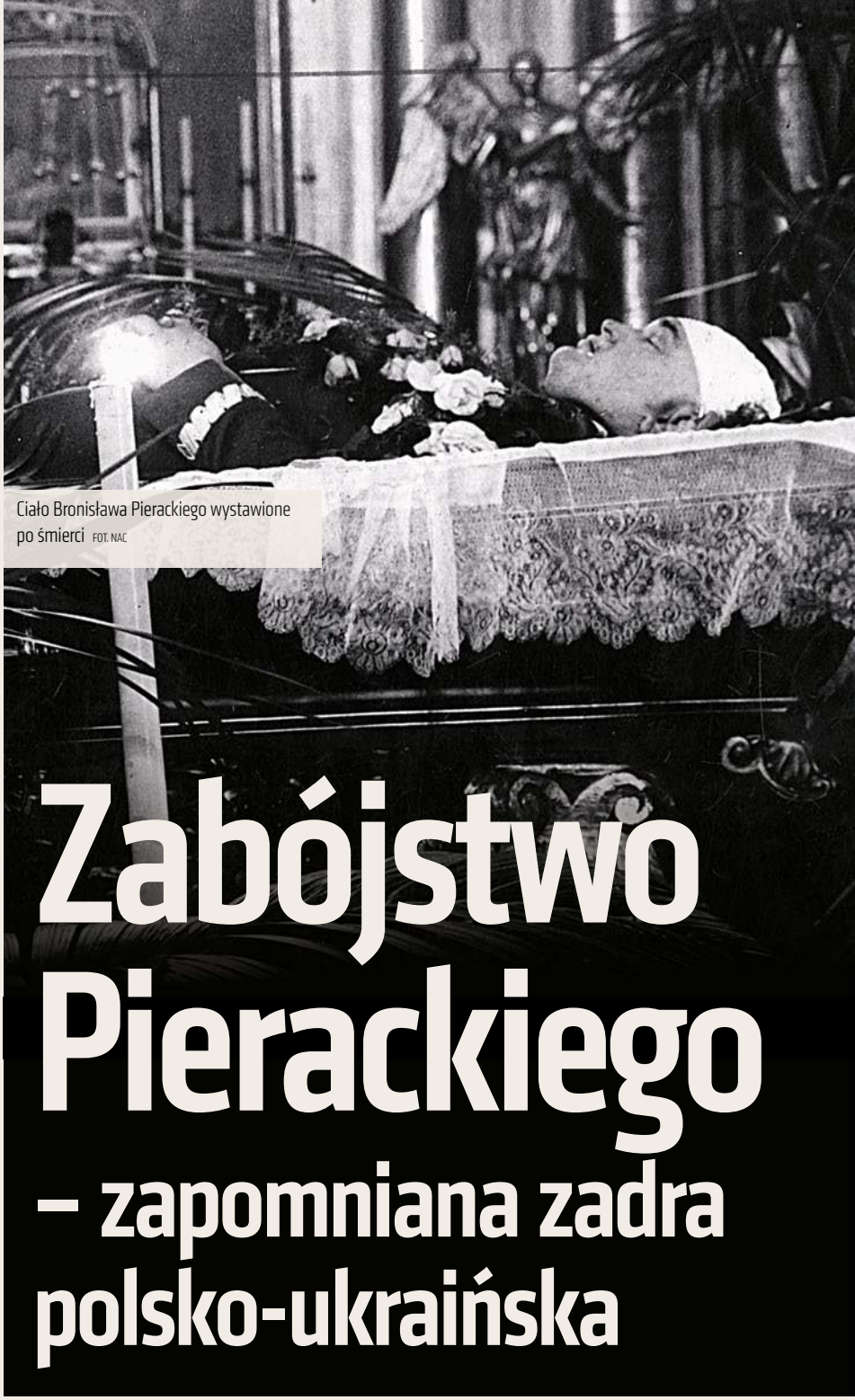

Ciało Bronisława Pierackiego wystawione po śmierci FOT. NAC

O ile Polakom hasło „zamach na Pierackiego" mówi niewiele, o tyle wśród Ukraińców, szczególnie tych kultywujących pamięć o UPA, wydarzenie to bywa przyjmowane ze zrozumieniem jako uzasadniony akt odwetu na polskich władzach. Kim był minister Bronisław Pieracki i dlaczego jego osoba wywoływała tyle emocji?

Polski kandydat na prezydenta Mentzen [...] przyjechał do Lwowa i nagrał filmik pod pomnikiem Stepana Bandery. Oskarżył szefa OUN o zabicie 100 tys. Polaków. Ten dureń marzy o chwale Pierackiego. Możemy to powtórzyć". Tymi słowy Wachtang Kipiani, znany i niezwykle popularny w mediach ukraińskich historyk, zareagował na wizytę lidera Konfederacji na cmentarzu Orląt Lwowskich, pod pomnikiem Bandery i przy gruzach muzeum Romana Szuchewycza – dowódcy UPA od 1943 r.

Mentzen w ramach swej kampanii prezydenckiej odwiedził Lwów, aby wezwać Ukraińców do porzucenia kultu UPA, Bandery i Szuchewycza.

Już samo używanie takiej wizyty do kampanii prezydenckiej budziło kontrowersje. Mentzen dodatkowo podkręcił nastroje, publicznie nazywając Lwów „miastem kulturowo polskim". Wobec lęków części Ukraińców o domniemane polskie roszczenia wobec dawnej stolicy Galicji i miasta wojewódzkiego II RP można było się spodziewać jakiejś nerwowej reakcji po stronie ukraińskiej. Tyle że odpowiedź była szokująco ostra. I – co więcej – padła ze strony jednego z najbardziej znanych historyków ukraińskich. Pokazuje to, jak bardzo ocena zamachu na Pierackiego sprzed ponad 90 lat dzieli nasze narody. Kim był minister Bronisław Pieracki i dlaczego jego osoba wywoływała tyle emocji?

ZAUFANY MARSZAŁKA

Bronisław Wilhelm Pieracki urodził się w 1895 r. w Gorlicach na terenie ówczesnej austriackiej Galicji. Przed pierwszą wojną światową był członkiem Związku Strzeleckiego, ukończył kurs oficerski. Walczył w szeregach II i III Brygady Legionów. W 1917 r. wstąpił do konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej, która podlegała Józefowi Piłsudskiemu. Brał udział w wojnie polsko-ukraińskiej w latach 1918–1919. Z racji służby w Legionach stał się jednym z najbardziej zaufanych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Po zamachu majowym, w 1929 r., został wiceministrem spraw wewnętrznych. Gdy w 1930 r. wzrosła liczba zamachów i niepokojów organizowanych na ziemi lwowskiej przez terrorystyczną Ukraińską

eprasa.pl bf66c86d78

Organizację Wojskową, której kontynuatorką była Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, Józef Piłsudski polecił ministrowi spraw wewnętrznych, gen. Felicjanowi Sławojowi Składkowskiemu, zareagować akcją odwetową. Zaangażowany był w nią właśnie wiceminister Bronisław Pieracki. W ramach represji wioski ukraińskie w Małopolsce Wschodniej podejrzewane o wspomaganie podziemia OUN poddane były akcjom pacyfikacyjnym, w trakcie których ludności danych wsi wymierzano kary fizyczne, a w wielu wypadkach represyjnie niszczono chłopskie mienie. Także potem z całą stanowczością zwalczał działalność OUN, tym bardziej że Warszawa podejrzewała, iż ukraińskich ekstremistów wspierają Niemcy. W sejmowym przemówieniu w 1932 r. Pieracki (który był już wówczas ministrem spraw wewnętrznych) ogłosił, że żadne akty terroru indywidualnego czy zbiorowego nie mogą liczyć na pobłażliwość i nie unikną należytej kary.

Szef MSW nie był jednak wyłącznie orędownikiem polityki twardej ręki. Szukał jakiegoś modus vivendi z umiarkowanymi środowiskami ukraińskimi. Był zwolennikiem porozumienia polsko-ukraińskiego, ale przy uznaniu polskiej racji stanu. Kilka dni przed śmiercią z rąk zamachowca OUN pojechał do Lwowa, by spotkać się z greckokatolickim metropolitą Andrzejem Szeptyckim. „Był podobno niezmiernie zadowolony z odbytej podróży, w pełni ziściła jego nadzieje" – wspominał zaprzyjaźniony z ministrem dyplomata Aleksander Kawałkowski. I właśnie taka polityka Pierackiego zaniepokoiła UWO (Ukraińską Organizację Wojskową). Nic dziwnego, że pojawiła się idea zgładzenia polskiego polityka, co miało z jednej strony wywołać usztywnienie polityki Warszawy, a z drugiej strony ostrzec ukraińskich centrowców, że wszelkie rozmowy z Polakami będą uważane za zdradę. Zamach na polskiego polityka członkowie UWO i jej politycznego dysponenta Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) przygotowali niezwykle drobiazgowo.

Ukraińscy terroryści dowiedzieli się, że 15 czerwca 1934 r. Pieracki ma odwiedzić Klub Towarzyski przy ul. Foksal w Warszawie. Czekający u wejścia do pałacyku ukraiński zamachowiec – Hryhorij Maciejko – rzucił bombę, która miała zgładzić polskiego ministra. Co prawda, przygotowana bomba nie zadziałała, ale skrytobójca nie stracił zimnej krwi i trzema strzałami z pistoletu zabił Pierackiego.

Śmierć ministra spraw wewnętrznych była zabójstwem najwyższego rangą urzędnika państwowego II Rzeczypospolitej. Początkowo władze podejrzewały, że za zamach odpowiada Obóz Narodowo-Radykalny. Potem zaczęły wychodzić coraz liczniejsze wątki ukraińskie. Sam zamachowiec uciekł z miejsca zbrodni, został przerzucony przez swoją organizację do Czechosłowacji poprzez Karpaty Wschodnie i szybko trafił do Argentyny. Rozpoczął tam pracę pod fikcyjnym litewskim nazwiskiem. Zmarł w 1966 r. w argentyńskim Lanús.

Mord na Pierackim wywołał euforię wśród młodej generacji Ukraińców ulegającej ideologii ekstremistów, ale zaniepokoił umiarkowane kręgi społeczności ukraińskiej. Po śmierci ministra metropolita Szeptycki wysłał depeszę kondolencyjną do premiera Leona Kozłowskiego. „Wstrząśnięty do głębi niecną zbrodnią łączę się w żalu i żałobie" – pisał metropolita.

Udany zamach na Pierackiego spowodował też szok i wstrząs w otoczeniu Piłsudskiego. Początkowo głównymi podejrzanymi w ocenie polskiej policji byli młodzi narodowcy z Obozu Narodowo-Radykalnego. Jego liderzy odgrażali się, że podejmowane wówczas działania władz sanacyjnych zmierzające do delegalizacji ONR wywołają ostrą kontrreakcję z ich strony. Teraz śledczy uznawali, że była to po prostu zapowiedź mordu na Pierackim. Zabójstwo było ciężkim ciosem prestiżowym dla rządu. Mordu dokonano w środku dnia w centrum stolicy. Nie zadziałały żadne mechanizmy ochrony. Nic dziwnego, że po takiej kompromitacji rząd odpowiedział eskalacją działań odwetowych. To właśnie mord na Pierackim skłonił władze do założenia obozu w Berezie Kartuskiej, do którego (bez wyroku sądu i wyłącznie na podstawie decyzji administracyjnej) trafili początkowo i na krótko młodzi endecy, ale zdecydowaną większość osadzonych stanowili ukraińscy nacjonaliści i komuniści.

Potem władze doszły do wniosku, że zabójstwo musiało być dziełem Ukraińców. W wyniku intensywnego śledztwa doszło do serii aresztowań działaczy OUN. W jakiejś mierze pomocne były dla śledczych dokumenty z tzw. archiwum Senyka, przekazane przez władze czechosłowackie, zlekceważone zresztą przed zabójstwem Pierackiego przez polskie organy bezpieczeństwa.

Najważniejszą zatrzymaną osobą był Mykoła Łebeď, szef warszawskiej grupy przygotowującej zamach. Jego zatrzymaniu towarzyszyły dość dramatyczne okoliczności. Łebeď zorientował się, że jest śledzony. Uciekł z Warszawy do Szczecina. Jednak Adolf Hitler, który wówczas odgrywał rolę zwolennika długoterminowego pokoju z Polską, rozkazał gestapo porwać Łebeda z pokładu statku, na który Ukrainiec się przedostał, będąc pewny tego, że jest już bezpieczny. Wtedy też UWO przyznała się do zamachu i ogłosiła, że było to wykonanie wyroku sądu OUN, który skazał Pierackiego na karę śmierci za udział w pacyfikacji wsi ukraińskich w 1930 r.

13 stycznia 1936 r. zakończył się proces osób oskarżonych o sprawstwo kierownicze zamachu na polskiego ministra. Na ławie oskarżonych zasiedli Łebeď, jego najbliższy współpracownik Kapryniec oraz postać, która zdobyła najwięcej sławy z całej tej trójki – Stepan Bandera. Łącznie oskarżono 12 wysokich stopniem konspiratorów OUN. Bandera, Łebeď i Kapryniec zostali skazani na karę śmierci, zamienioną na mocy ustawy o amnestii na karę dożywocia, a dziewięciu pozostałych na karę dożywocia lub wieloletniego więzienia. Trzej oskarżeni uratowali się od stryczka, nie zmieniało to jednak faktu, że zarówno prezydent Mościcki, jak i premier Felicjan Sławoj Składkowski nie mieli pomysłu na przekonanie do siebie choćby najbardziej umiarkowanych Ukraińców.

Taktyka OUN, który zamachem chciał sprowokować ekipę sanacyjną do ostrej polityki wobec Ukraińców, w jakimś stopniu odniosła sukces. Dialog został zamrożony na parę lat. W 1938 r. doszło do dymisji wojewody wołyńskiego Henryka Józewskiego, zwolennika prowadzenia rozmów z Ukraińcami. Ku czci zabitego ministra ul. Foksal otrzymała w 1934 r. nazwę ulicy Pierackiego.

KRYTYCZNA OCENA MORDU I PRÓBY DIALOGU

Może być uważane za paradoks, że po wojnie akcję dialogu między emigracją

eprasa.pl bf66c86d78

polską a ukraińską podjął przebywający na emigracji we Francji były prokurator Władysław Żeleński, oskarżyciel w procesie przeciwko Stepanowi Banderze. Między listopadem 1935 r. a styczniem 1936 r. Żeleński sumiennie wykonał pracę prokuratora w procesie warszawskim przeciwko grupie OUN, a ponieważ przy okazji procesu poznał wiele aspektów antagonizmu polsko-ukraińskiego, po wojnie starał się o dialog z Ukraińcami. Na tym polu szybko znalazł wspólny język z innym prominentnym polskim emigrantem w Paryżu, Jerzym Giedroyciem, który stał na czele miesięcznika „Kultura". Żeleński wydał w „Kulturze" książkę opisującą w bardzo spokojny i analityczny sposób całą sprawę mordu na Pierackim i losy późniejszego procesu. Organizował także spotkania z dwoma ważnymi emigracyjnymi środowiskami ukraińskiej emigracji skupionymi wokół pism „Wyżny Szlak" i „Ukraińskie Słowo".

Wskutek dyskusji wokół książki Żeleńskiego rozpoczęła się ciekawa wymiana opinii, która części umiarkowanej emigracji ukraińskiej dała okazję do zdystansowania się wobec mordu na Pierackim. I tak np. Thomas Łapyczak, redaktor naczelny amerykańskiego tygodnika emigracyjnego „Ukraińskie Życie", napisał, że zamordowanie polskiego ministra spraw wewnętrznych na dłuższą metę nie przyniosło korzyści ani Ukraińcom, ani Polakom. Oba narody ostatecznie znalazły się w tej samej sytuacji, ponosząc klęskę z rąk komunistów. Zdaniem Łapyczaka Ukraińcy w międzywojennej Polsce powinni byli poświęcać więcej uwagi kształtowaniu się inteligencji narodowej i rozwojowi własnych struktur publicznych. A działalność OUN tylko temu zaszkodziła.

Z kolei krytyczne Polsce środowiska ukraińskie gorzko wyrzucały, że ekipa sanacyjna, nie spełniając obietnic przyznania Ukraińcom autonomii narodowo-terytorialnej i wprowadzając administracyjne ograniczenia wobec aktywności ukraińskiej w II RP, sama prowokowała napięcia między dwoma narodami i tym samym pośrednio zachęcała ukraińskich nacjonalistów do drastycznych kroków. Oczywiście zupełnie inny stosunek do mordu na Pierackim miała twardogłowa emigracja spod znaku OUN i UPA.

Po śmierci Maciejki działacze OUN na emigracji zorganizowali zbiórkę na rzecz budowy mauzoleum ku czci zamachowca. Powstało ono na cmentarzu w argentyńskim mieście Lanús i udekorowano je godłem OUN i krzyżem – znakiem ukraińskich sił zbrojnych Zachodniej Ukrainy z lat 1918–1920.

NAWRÓT KULTU MACIEJKI I BANDERY

Wraz z renesansem kultu UPA na Ukrainie od początku nowego stulecia powraca włączanie Hryhorija Maciejki do panteonu ukraińskich bojowników o wolność. Ukraińska Wikipedia ocenia, że wskutek zamachu na Pierackiego „polskie władze nie były już w stanie ukrywać »problemu ukraińskiego« i zyskał on znaczenie

Mauzoleum w argentyńskim mieście Lanús ku czci Hryhorija Maciejki, zabójcy Pierackiego, ufundowane przez emigrantów z OUN FOT. PARNIKOZA/WIKIPEDIA COMMONS CC BY-SA 4.0

międzynarodowe". Ta sama ukraińska wersja hasła „zabójstwo Bronisława Pierackiego" podkreśla, że autorytet OUN wśród Ukraińców w Polsce i diasporze w wyniku udanego zamachu na Pierackiego znacząco wzrósł. Co charakterystyczne, podając to twierdzenie, ukraińska wersja Wikipedii powołuje się na prace polskiego historyka Tomasza Matraszka. Hryhorij Maciejko ma nawet na Ukrainie ulicę swego imienia. Co ciekawe, nie na terenie Galicji, gdzie kult UPA jest stosunkowo mocny, tylko w mieście Konotop, 250 km na wschód od Kijowa, w obwodzie sumskim na wschodzie Ukrainy. Historycy przychylający się do nacjonalistycznej wizji okresu międzywojennego, tacy jak wspomniany już Wachtang Kipiani, głoszą, że ataki terrorystyczne w wykonaniu OUN na terenie Wołynia i Lwowszczyzny były naturalną reakcją na politykę antyukraińskich represji kolejnych rządów II RP. Jednym z ulubionych argumentów, szczególnie w dyskusjach z polskimi historykami, badaczy ze Lwowa i z Kijowa, usprawiedliwiających terroryzm UWO, a potem OUN, jest ten, że generacja bojowników o wolność Ukrainy z lat 1918–1920 nauczyła się terroru od samego Józefa Piłsudskiego, który wcześniej, na przełomie wieków XIX i XX, akceptował używanie rewolwerów i bomb. Argument powtórzył 2 marca br. dziennikarz TVN Konrad Piasecki w programie „Kawa na ławę", broniąc prawa Ukraińców do własnej wizji historii.

Z polskiego punktu widzenia zamachy UWO i OUN z okresu międzywojennego były początkiem linii rozwojowej, która doprowadziła np. Stepana Banderę, a potem Romana Szuchewycza do coraz drastyczniejszych metod zwalczania Polaków. Szczególnie Roman Szuchewycz – który uczestniczył w przygotowaniach do zamachu na Pierackiego i wsławił się potem jako częściowo odpowiedzialny za rzeź Polaków na Wołyniu, a w pełni – w Małopolsce Wschodniej – jest przykładem takiej radykalizacji. Ukraińcy odrzucają w większości taki polski sposób myślenia. To, co nazywają tragedią wołyńską, przedstawiają jako konsekwencję brutalnej polityki polskich władz wobec Ukraińców z lat 1918–1939. Co charakterystyczne, o ile przeciętnym Polakom hasło „zamach na Pierackiego" mówi niewiele, o tyle Ukraińcom, szczególnie tym kultywującym pamięć o UPA, hasło to jest nie tylko dobrze znane, lecz także nawet kojarzone z dumą z wyrazistego aktu odwetu na polskich władzach. Przemówienie Bandery na procesie warszawskim po zabójstwie Pierackiego bywa sławione przez nastawionych nacjonalistycznie historyków ukraińskich jako wybitny manifest narodowy.

W tym sensie krytyczne oceny zamachu z ul. Foksal, które zdarzały się w latach 70. i 80. w trakcie dyskusji między polską a ukraińską emigracją, dziś są rzadkością. A mord na polskim ministrze staje się kolejną historyczną miną w dialogu obu narodów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

FOT. ADOBE STOCK

ZAUFAŁ ZŁODZIEJOM

Pewien Amerykanin zgromadził 4 mln dol. w bitcoinach na przyszłość swoich synów. Wystarczyło jedno kliknięcie, a stracił wszystko. A to za sprawą vishingu – oszustwa, które wykorzystuje połączenia telefoniczne, aby nakłonić ludzi do podania poufnych informacji. Złodzieje podszywali się pod pracowników pomocy technicznej Google. Najpierw zwrócili uwagę mężczyzny, następnie zdobyli jego zaufanie, a ostatecznie puścili go z torbami.

NADRABIANIE SPÓŹNIENIA

Na lotnisku niedaleko Santiago (stolicy Chile) aresztowano mężczyznę, który wbiegł na pas startowy i stanął przed samolotem, ponieważ nie chciał, żeby maszyna odleciała bez niego. Pasażer podjął ryzykowną decyzję po tym, gdy się okazało, że się spóźnił na odprawę biletową. Udało mu się ominąć wszelkie środki bezpieczeństwa i dotrzeć na płytę lotniska.

JEDZENIEM W KASJERKĘ

W restauracji w Joinville koło São Paulo (w Brazylii) wściekł się jeden z jej klientów. Jak twierdził, otrzymał nie to, co zamówił, i to w dodatku z godzinnym opóźnieniem. Mężczyzna podszedł do kasjerki i rzucił w nią opakowaniem, w którym było dostarczone mu jedzenie na wynos. Kobieta się przeraziła. Następnie wściekły klient zaczął się kłócić z jakąś inną osobą. Policja zapowiedziała dochodzenie w sprawie jego zachowania.

MOLESTOWANIE IDOLA?

Japonka, która niespodziewanie pocałowała w twarz Jina, członka K-popowego boysbandu BTS, podczas zeszłorocznego eventu dla fanów wokalisty, znalazła się pod lupą południowokoreańskich stróżów prawa. Została wezwana do stawienia się na przesłuchanie w związku z zarzutami molestowania seksualnego w miejscu publicznym. Do incydentu doszło w Seulu, na spotkaniu, podczas którego Jin przytulił ok. 1 tys. fanów. Fanka z Japonii jednak posunęła się dalej.

POŁKNIĘTA BIŻUTERIA

Na Florydzie policja zatrzymała 32-latka, który połknął kolczyki i pierścionek warte kilkaset tysięcy dolarów. Mężczyzna przyszedł do sklepu jubilerskiego, gdzie podszywał się pod gwiazdę sportu. Poprosił pracownicę sklepu, żeby pokazała mu drogą biżuterię. Gdy kobieta spełniła jego prośbę, wyrwał cenne przedmioty z jej rąk i uciekł. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Operacja: Kanał Panamski

Moja administracja odbierze Kanał Panamski, już zaczęliśmy to robić – ogłosił amerykański prezydent Donald Trump w wygłoszonym w ubiegłym tygodniu orędziu o stanie państwa, podkreślając, że jego budowa przez USA była „najdroższym projektem w historii naszego kraju, jeśli przeliczyć to na obecne koszty".

Trump nawiązał w ten sposób do przełomowej transakcji: pod presją amerykańskiego prezydenta chińska firma CK Hutchinson sprzedała amerykańskiej firmie inwestycyjnej BlackRock 90 proc. udziałów w Panama Ports Company. W ramach transakcji o wartości aż 22,8 mld dol. Amerykanie zyskają nie tylko kontrolę nad czołowymi portami po obu stronach Kanału Panamskiego, lecz także nabędą udziały w 43 portach na całym świecie, w tym w terminalu kontenerowym w Gdyni.

Trump wspomniał też o Grenlandii, czyli autonomicznym regionie Danii. – Potrzebujemy Grenlandii ze względu na bezpieczeństwo narodowe i międzynarodowe. I dostaniemy ją, w ten czy inny sposób – oznajmił przywódca USA. Nie ograniczył się do gróźb, ale roztoczył wizję wspaniałej przyszłości. – Zapewnimy wam bezpieczeństwo, uczynimy bogatymi i razem wzniesiemy Grenlandię na wyżyny, o których wcześniej nawet nie marzyliście – zwrócił się Trump do mieszkańców Grenlandii, ignorując fakt, że 85 proc. z nich nie chce, aby wyspa stała się częścią USA. Można ubolewać, że styl uprawiania dyplomacji prezydenta USA przypomina zachowanie słonia w składzie porcelany. Ten arogancki przywódca „w ten czy inny sposób" błyskawicznie osiąga jednak kolejne cele. I z tego właśnie trzeba wyciągnąć wnioski. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

Migranci w Lanzarote na Wyspach Kanaryjskich, 10 lutego 2025 r.
FOT. EUROPA PRESS/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Czy migranci zaleją Polskę?

Olivier Bault

Dzięki unijnemu paktowi migracyjnemu Rosja będzie mogła wojnę hybrydową przeciw Polsce prowadzić już nie tylko od wschodu, lecz także od południa. A to oznacza, że nie tylko lewicowy Madryt, lecz także wrogo nastawiona Moskwa będą miały wpływ na kwoty relokacji migrantów do Polski

Polska nie przyjmie żadnych migrantów z tytułu paktu migracyjnego – zapewniał premier Donald Tusk już rok temu, kiedy w Brukseli przedstawiciele państw członkowskich Unii Europejskiej przyjmowali kolejne dokumenty dotyczące reformy wspólnego systemu azylowego.

Pakt o migracji i azylu, potocznie zwany „paktem migracyjnym", to 10 aktów prawnych przygotowanych przez Komisję Europejską w 2020 r. Oficjalne cele paktu migracyjnego to „stworzenie szybszych, płynnych procesów migracyjnych" i „ograniczenie problemu niebezpiecznych szlaków i szlaków imigracji nieuregulowanej oraz promowanie trwałych i bezpiecznych, legalnych dróg migracji", a także lepsze dostosowanie imigracji „do potrzeb rynku pracy UE".

Pakt migracyjny jest także, jak można przeczytać w komunikatach Komisji Europejskiej na jego temat, odpowiedzią na zidentyfikowane niedostatki ochrony Unii Europejskiej przed falami nielegalnej migracji od czasu kryzysu migracyjnego w latach 2015–2016. W jego ramach zapowiadane jest „silniejsze sprawowanie rządów w obszarze polityki migracyjnej i polityki dotyczącej granic przy wsparciu nowoczesnych systemów

eprasa.pl bf66c86d78

informatycznych oraz skuteczniejszych agencji". Pakt migracyjny przewiduje również intensyfikację współpracy z państwami trzecimi (państwami tranzytowymi oraz państwami pochodzenia migrantów) w celu „wspierania dobrze zarządzanej legalnej migracji" poprzez „zajęcie się pierwotnymi przyczynami migracji nieuregulowanej, zwalczanie przemytu migrantów, pomoc uchodźcom przebywającym w państwach trzecich".

O tym i o innych zagadnieniach związanych z paktem migracyjnym można przeczytać w 56-stronicowym raporcie Instytutu Ordo Iuris wydanym w listopadzie ubiegłego roku pt. „Pakt migracyjny oraz ochrona polskiej granicy w pytaniach i odpowiedziach".

KŁAMSTWO TUSKA

Premier Tusk i jego rząd usilnie starają się przekonywać Polaków, że dzięki przyjęciu w latach 2022–2023 ukraińskich uciekinierów wojennych Polska zostanie zwolniona z obowiązku przyjmowania migrantów w ramach mechanizmu relokacji. Jest to jednak nieprawda, o czym wiadomo od początku, nawet zanim potwierdziła to w styczniu Komisja Europejska, odpowiadając pisemnie na pytanie poselskie europosła Konfederacji Marcina Sypniewskiego. Liczba migrantów podlegających relokacji oraz zakres pomocy finansowej i operacyjnej potrzebnej państwom znajdującym się pod dużą presją migracyjną będą bowiem ustalane co roku na bazie bieżącej sytuacji i liczby migrantów przyjętych w roku poprzednim. Będzie o tym decydowała większość kwalifikowana w Radzie Unii Europejskiej na bazie rekomendacji Komisji, a kraje Europy Zachodniej, które znalazły się w trudnej sytuacji z powodu prowadzonej od lat polityki otwartych drzwi, będą mogły przegłosowywać kraje Europy Środkowej, które, w kwestiach imigracji, cechowały się do tej pory większą ostrożnością. Co prawda, możliwe będzie płacenie kary w zamian za odmowę przyjęcia imigrantów. Trzeba jednak mieć na uwadze, że kwota 20 tys. euro rocznie za każdego nieprzyjętego imigranta, funkcjonująca w obiegu medialnym, wynika z puli pomocy i liczby nielegalnych imigrantów do relokacji szacowanych na dziś. Może ona zatem w przyszłości drastycznie wzrosnąć bez możliwości weta ze strony Polski czy jakiegokolwiek innego kraju. Wyobraźmy sobie np., że kwota zostanie podniesiona do 100 tys. zł, a pula migrantów podlegających relokacji do Polski będzie wynosiła 100 tys. migrantów w danym roku. Wystarczy policzyć… W tej sytuacji nie pozostaje nic, jak tylko zaciskać zęby i po prostu przyjmować migrantów.

Trzeba też pamiętać, że nawet jeśli Polska będzie miała prawo odmówić azylu większości migrantom relokowanym nad Wisłę, to ich deportacja do kraju pochodzenia jest najczęściej niemożliwa, co pokazuje wieloletnie doświadczenie państw Europy Zachodniej. A to oznacza, że ci nielegalni imigranci w Polsce zostaną lub – jeśli wyjadą do innego państwa UE – będą mogli zostać odesłani do Polski tak, jak ma to miejsce dziś z nielegalnymi imigrantami przerzucanymi przez granicę z Niemiec z powrotem do Polski. Tylko że wówczas skala zjawiska będzie zupełnie inna. Tu również odsyłam czytelników do raportu dostępnego na internetowej stronie Instytutu Ordo Iuris, w którym znajdą państwo jednoznaczną odpowiedź na 26 pytań dotyczących paktu migracyjnego.

A teraz proszę pomyśleć o wszystkich tych zamachach, które miały miejsce w ostatnim dziesięcioleciu w krajach Europy Zachodniej – dokonanych przez takich właśnie imigrantów, którym udzielono lub odmówiono azylu. Tak się stało chociażby w przypadku afgańskiego zamachowca, który 13 lutego br. wjechał samochodem w grupę ludzi w Monachium. A czemu nie przypomnieć w tym miejscu Tunezyjczyka, który zabił wiernych i kościelnego w katedrze w Nicei, we Francji, w 2020 r., zaledwie miesiąc po przypłynięciu na włoską wyspę Lampedusę, czy zamachowca z jarmarku bożonarodzeniowego w Berlinie w 2016 r.? Można też wspomnieć o części sprawców krwawych zamachów w Paryżu i Brukseli w latach 2015 i 2016 itp., itd. A co z licznymi zabójstwami, gwałtami i dramatycznym wzrostem przestępczości związanym z taką imigracją? Dlaczego miałoby być inaczej w Polsce?

TSUE NIE POZWALA

Jak się to zatem ma do „silniejszego sprawowania rządów w obszarze polityki migracyjnej i polityki dotyczącej granic przy wsparciu nowoczesnych systemów informatycznych i skuteczniejszych agencji"?

Cóż, po pierwsze, nie zapominajmy, że prawo europejskie i jego interpretacja przez Trybunał Sprawiedliwości UE, a także orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka mocno ograniczają możliwości skutecznej ochrony granic. O ile ETPC uznaje prawo państw do odpierania prób nielegalnego przekroczenia granicy i wydalania „na gorąco" nielegalnych imigrantów przyłapanych tuż po jej przekroczeniu, pod warunkiem że istnieją legalne przejścia, gdzie oferowana jest rzeczywista możliwość złożenia wniosków o azyl, o tyle TSUE takiego prawa nie daje. TSUE nie pozwala także na przetrzymywanie osoby wnioskującej o azyl w zamkniętych ośrodkach. Dobrze wiedzą o tym np. Węgrzy: muszą płacić 1 mln euro dziennej kary za to, że nie podporządkowały się żądaniom Komisji Europejskiej i TSUE, aby wnioskujący o azyl pozostawali na wolności przez cały czas rozpatrywania ich wniosków. Ponadto ETPC blokował do tej pory wszelkie próby deportacji nielegalnych imigrantów do krajów trzecich, tak jak to próbowali czynić Brytyjczycy odsyłający migrantów do Rwandy, wzorem polityki Australii prowadzonej z sukcesem od ponad 10 lat. Podobnie Giorgia Meloni we Włoszech cały czas nie może uruchomić podobnego programu odsyłania nielegalnych imigrantów do zamkniętych ośrodków w Albanii na czas rozpatrywania ich wniosków, gdyż sądy włoskie blokują takie rozwiązanie, powołując się na prawo unijne. W tej chwili pytanie prejudycjalne dotyczące tej kwestii przesłane przez sąd apelacyjny w Rzymie czeka właśnie na rozpatrzenie przez TSUE.

Po drugie, problemem związanym z przekazywaniem Unii prerogatyw państw narodowych w zakresie imigracji, tak jak ma to miejsce w przypadku paktu migracyjnego, jest to, że to każde państwo jest odpowiedzialne za strzeżenie własnych granic. I tak w ubiegłym roku rządy Grecji i Włoch starały się nie wpuszczać nielegalnych imigrantów na teren swoich krajów, co przyczyniło się do ogólnego spadku liczby nowych imigrantów w całej Unii. Tymczasem rząd hiszpański, będący koalicją socjalistów i otwarcie proimigracyjnej skrajnej lewicy, prowadził

eprasa.pl bf66c86d78

odmienną politykę. W pierwszej połowie lutego rząd Pedra Sáncheza uzgodnił z regionami system relokacji nielegalnych imigrantów przypływających na Wyspy Kanaryjskie z Maroka i Afryki Zachodniej. W ramach wypracowanego mechanizmu będą oni masowo relokowani do Hiszpanii kontynentalnej – czytaj: na kontynent europejski. Będąc w strefie Schengen, migranci mogą stamtąd bez trudu dotrzeć do Francji i innych krajów UE lub dalej próbować dostać się do Wielkiej Brytanii przez kanał La Manche. W dobie Internetu i smartfonów cała Afryka, i nie tylko ona, zapewne już wie, że bramy Europy na drodze wiodącej przez Wyspy Kanaryjskie są teraz otwarte. I tak to działa od lat: kanały nielegalnej emigracji do Europy dostosowują się do polityki prowadzonej przez poszczególne państwa. Do tej pory zawsze któraś z bram prowadzonych na kontynent europejski była szeroko otwarta.

I tak, choć w latach 2021–2024 odnotowano spadek o 59 proc. liczby migrantów na szlaku środkowego odcinka Morza Śródziemnego (przez Włochy, które odnotowały jednak ponowny jej wzrost na początku roku, zwłaszcza z powodu napływu imigrantów z Libii) i spadek o 78 proc. na drodze bałkańskiej (głównie przez Grecję), to wzrost liczby migrantów na szlaku atlantyckim (przez Wyspy Kanaryjskie) przekroczył 100 proc.! Ponad 150 tys. nielegalnych imigrantów dotarło na Wyspy Kanaryjskie od 2020 r., w tym 39 tys. w 2023 r. i 47 tys. w 2024 r. W pewien sposób pośrednio to socjalista Pedro Sánchez i jego skrajnie lewicowi koalicjanci będą decydować o kwotach relokacji imigrantów do Polski, które to kwoty będą ustalane już od przyszłego roku, a polskie władze nie będą miały w tej materii nic do powiedzenia. Co gorsza, pakt migracyjny wejdzie w życie w momencie wycofania się Francji z regionu Sahel w Afryce: w Mali, Nigrze, Burkina Faso i Czadzie francuskie wojsko zostało „wyproszone", a lokalne rządy są teraz wspierane przez Rosję, która jest także obecna w Sudanie i Libii i ma od zawsze sojusz z Algierią. Innymi słowy, szlaki migracyjne z południa są teraz w dużym stopniu pod kontrolą Rosji, a nie pod kontrolą Francji – o ile oczywiście można mówić o jakiejkolwiek kontroli. Tak czy owak, dzięki unijnemu paktowi migracyjnemu Rosja będzie mogła w pewnym stopniu wojnę hybrydową przeciw Polsce prowadzić już nie tylko od strony wschodu, lecz także od południa. A to oznacza, że nie tylko lewicowy Madryt, lecz także wrogo nastawiona Moskwa będą miały wpływ na kwoty relokacji migrantów do Polski.

W samej Libii znajduje się obecnie ok. 3 mln nielegalnych imigrantów, których celem na pewno nigdy nie było osiedlenie się w kraju ogarniętym wojną domową od czasu obalenia, przy wsparciu Francji, Wielkiej Brytanii i USA, rządów Muammara Kaddafiego w 2011 r. Liczbę tę podaje Imad Trabelsi, minister spraw wewnętrznych rządu w Trypolisie, wspierany m.in. przez Turcję i Włochy. Na wschodzie kraju rządzi marszałek Chalifa Haftar wspierany m.in. przez Rosję. Jak można było przeczytać na początku lutego we francuskim dzienniku „Le Monde", „po porażce w Syrii Rosja umacnia swoją pozycję w Libii. Moskwa kontynuuje przekazywanie sprzętu na te terytoria Libii, gdzie jest obecna, aby wzmocnić swoją strefę wpływów w Sahelu, czego przykładem jest trwający remont lotniska Maaten Al-Sarra, w pobliżu Czadu i Sudanu".

Polska może skutecznie pilnować jedynie swojej wschodniej granicy, ale i tak migranci będą nad Wisłę napływali z południa

Kolejną piętą achillesową paktu migracyjnego jest trwająca od lat nieodpowiedzialna polityka imigracyjna krajów takich jak Francja czy Niemcy, która jest dla potencjalnych emigrantów w Afryce i świecie muzułmańskim mocnym impulsem do podjęcia próby nielegalnej emigracji. Sama Francja pod rządami lewicowego liberała Emmanuela Macrona przyjmuje imigrantów jeszcze bardziej masowo niż kiedykolwiek wcześniej. Z rekordową liczbą 336 tys. legalnych imigrantów w 2024 r. i ponad 153 tys. wniosków o azyl złożonych przez nielegalnych imigrantów (głównie z Afryki i krajów muzułmańskich) 68-milionowa Francja, w której już w 2020 r. 9 proc. ludności stanowili imigranci, a dalsze 12 proc. ich dzieci, zbliża się do granicy pół miliona nowych imigrantów rocznie. I tak, gdy liczba nowych wniosków o azyl zmniejsza się o 34 proc. w Niemczech, bo tak właśnie było w ubiegłym roku, rośnie ona w sąsiednim kraju. W Unii bez granic wewnętrznych, liczącej 27 krajów, zawsze znajdą się takie, które będą przyciągać migrantów spoza Europy swoją miękką polityką imigracyjną. Perspektywa możliwości późniejszej redystrybucji nielegalnych imigrantów drogą mechanizmu „obowiązkowej solidarności" zapewne nie zachęci poszczególnych rządów do większej odpowiedzialności w tej dziedzinie.

CO MOŻE POLSKI SUWEREN

Dlatego też Polacy powinni mieć na uwadze, kiedy sam premier Donald Tusk kłamie im w żywe oczy, twierdząc, że z powodu przyjętych uchodźców z Ukrainy Polska będzie tak naprawdę beneficjentem unijnego paktu migracyjnego. O ile imigracja z Ukrainy miała charakter tymczasowy, o tyle imigracja z Afryki i Bliskiego Wschodu czy południowej Azji ma charakter strukturalny z tendencją wzrostową, tym bardziej że prawo unijne uniemożliwia prowadzenie w obszarze imigracji polityki twardej ręki. Takiej polityki, która mogłaby potencjalnych migrantów zniechęcać do migracji. A to z kolei oznacza, że liczba migrantów podlegających relokacji do krajów takich jak Polska oraz rekompensata finansowa ustalana co roku za odmowę przyjmowania imigrantów również będą rosły, nawet jeśli należy się cieszyć ze względnie dobrego ogólnego wyniku całej UE w 2024 r., w którym ogólna liczba nielegalnych przekroczeń granic zewnętrznych Unii spadła o 38 proc. w stosunku do roku poprzedniego.

Jak będzie w tym roku i w następnym, kiedy liczba napływających nielegalnych imigrantów będzie decydowała o pierwszych kwotach relokacyjnych ustalonych w 2026 r.? Tego nie wiemy i prawdą jest, że polski suweren oraz jego wybrani przedstawiciele nie będą mieli na to większego wpływu. Polska może skutecznie pilnować jedynie swojej wschodniej granicy, ale i tak migranci będą nad Wisłę napływali z południa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem komunikacji Instytutu Ordo Iuris.

eprasa.pl bf66c86d78

Rumuński przekręt

Filip Memches

Kiedy wola ludu jest nie po myśli strażników europejskich liberalnych demokracji, wówczas zaczynają oni być świadomi tego, że nie mogą sobie pozwolić na utratę władzy. I wyciągają z takiego stanu rzeczy konsekwencje. Jak w Rumunii

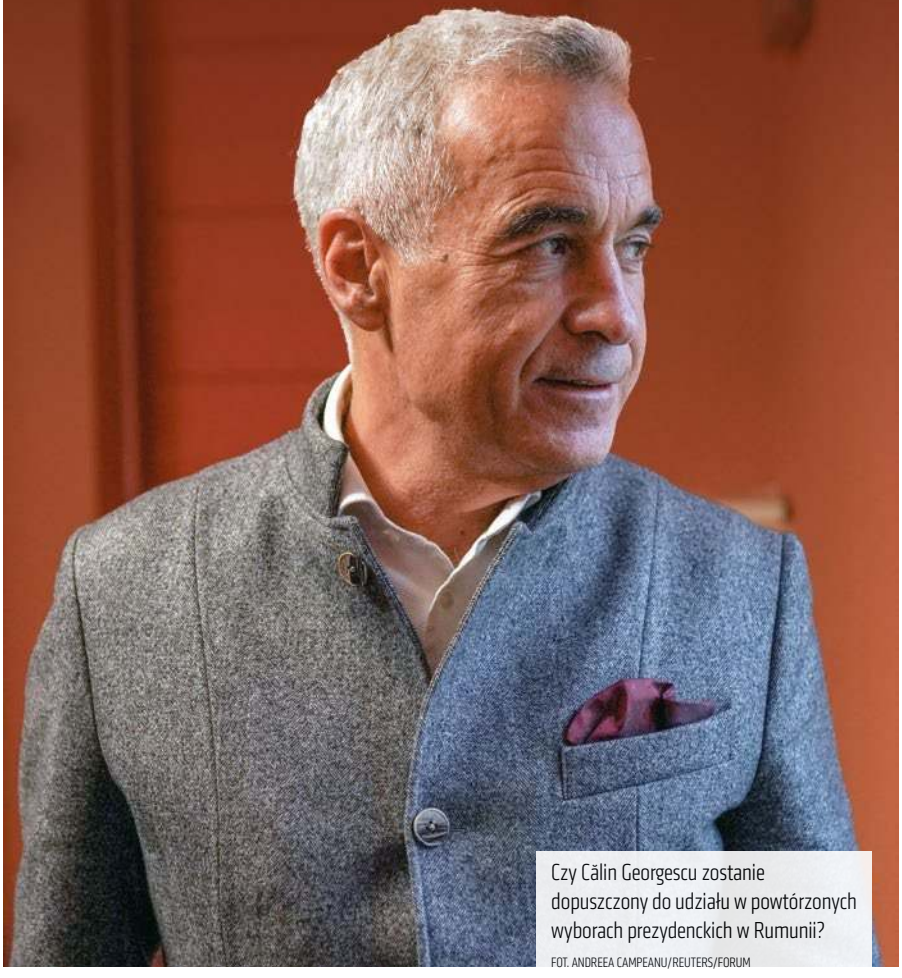

Czy Călin Georgescu zostanie dopuszczony do udziału w powtórzonych wyborach prezydenckich w Rumunii?
FOT. ANDREEA CAMPEANU/REUTERS/FORUM

Europejskie liberalne demokracje popadły w głębokie sprzeczności. Z jednej strony fundamentalną wartością dla nich pozostaje wola ludu, z drugiej zaś coraz śmielej poczynają sobie z podważaniem – zarówno formalnym, jak i nieformalnym – werdyktów wyborczych.

Zwrócił na to uwagę J.D. Vance podczas swojego głośnego wystąpienia na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w lutym bieżącego roku. Wiceprezydent USA wskazał m.in. przypadek Rumunii.

W grudniu 2024 r. rumuński Sąd Konstytucyjny unieważnił wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich w tym kraju. Orzekł, że doszło do ingerencji rosyjskich służb w proces wyborczy. Według sędziów miała ona polegać na wsparciu kandydata, który akurat znacząco zwyciężył w pierwszej turze i stał się faworytem ostatecznej batalii. Chodzi o Călina Georgescu. W pierwszej turze zdobył on ok. 23 proc. głosów. Ogłoszono więc, że wybory prezydenckie zostaną powtórzone w maju 2025 r.

Tymczasem rumuński wymiar sprawiedliwości podjął decyzję, która mogłaby zostać potraktowana jako kolejny dowód na tezę Vance'a o tym, że europejskie liberalne demokracje mają kłopoty same ze sobą. 26 lutego wygrywający coraz wyraźniej w sondażach wyborczych Georgescu (uzyskuje w nich rezultaty sięgające nawet 50 proc. poparcia społecznego, co może świadczyć o tym, że dezawuowanie popularnego polityka przynosi efekty odwrotne do zamierzonych) został zatrzymany przez policję, która przekazała go prokuraturze. Zarzucono mu działania przeciw rumuńskiemu porządkowi konstytucyjnemu (w tym wychwalanie postaci objętych polityczną anatemą) oraz nieprawidłowości w finansowaniu kampanii wyborczej. Georgescu wprawdzie nie został aresztowany, lecz objęto go dozorem sądowym i otrzymał zakaz opuszczania kraju. W jego obronie stanęła Rumuńska Partia Jedności Narodowej (AUR – wywiad z jej liderem, George'em Simionem, ukazał się w „Do Rzeczy" nr 4/2025). To opozycyjne prawicowe, nacjonalistyczne ugrupowanie zorganizowało demonstrację antyrządową, która się odbyła 1 marca w Bukareszcie i zgromadziła –

eprasa.pl bf66c86d78

według różnych szacunków – od 15 do 30 tys. uczestników.

CZŁOWIEK Z JĄDRA SYSTEMU

Mogłoby się wydawać, że blisko 63-letni Călin Georgescu jest typowym „populistycznym" politykiem antysystemowym. Tyle że ten inżynier gleboznawca z doktoratem nie przyszedł znikąd. Sprawował rozmaite wysokie funkcje w administracji państwowej już w latach 90. XX w. Można powiedzieć, że to człowiek z jądra rumuńskiego systemu politycznego. Pod tym względem przypomina Donalda Trumpa, Viktora Orbána i Jarosława Kaczyńskiego. Politycy ci, odpowiednio w USA, na Węgrzech, w Polsce, rzucili wyzwanie liberalnym środowiskom, z których się wywodzą.

W roku 2020 Georgescu został zaproponowany jako kandydat na premiera przez wspomnianą AUR. Formacja ta kontestuje rumuński establishment polityczny od lewa do prawa. Optuje za suwerennością państw narodowych w ramach UE i jednocześnie za wzmocnieniem NATO. Odwołuje się do wiary prawosławnej (na marginesie odnotujmy: Cerkiew w Rumunii posiada autokefalię, to odrębny patriarchat) jako źródła rumuńskiej tożsamości narodowej. Występuje przeciw progresizmowi obyczajowemu (odrzuca choćby takie pomysły, jak wprowadzenie związków jednopłciowych do ustawodawstwa rumuńskiego).

Tym, co jednak zwraca szczególną uwagę w programie tego ugrupowania, jest postulat, żeby – w ramach zjednoczenia ziem zamieszkiwanych przez ludność rumuńską – do państwa rumuńskiego przyłączyć Mołdawię, włącznie z Naddniestrzem, które pozostaje separatystyczną republiką pod rządami kacyków związanych z Federacją Rosyjską. Z tego powodu AUR podnosi kwestię niebezpieczeństwa dla Rumunii ze strony Rosji. Ale zarazem jest niechętna angażowaniu się państwa rumuńskiego w wojnę rosyjsko-ukraińską i nawet – mimo podnoszenia kwestii zagrożenia rosyjskiego – bywała oskarżana o konszachty z rosyjskimi służbami, czego jednak nie udowodniono.

Wracając do Georgescu – w roku 2020 premierem nie został. W roku 2021 AUR znów wysunęła jego kandydaturę na szefa rządu – też bez powodzenia. Potem zaś drogi Georgescu i AUR się rozeszły. Polityk się zradykalizował i głosił poglądy, które nawet dla tej formacji okazały się nie do przyjęcia ze względu na to, że przynosiły jej szkody wizerunkowe. To właśnie one ściągnęły na niego niedawno prokuratorskie zarzuty o to, że działa przeciw rumuńskiemu porządkowi konstytucyjnemu.

Călin Georgescu oświadczył, że największym niebezpieczeństwem dla jego ojczyzny są „fałszywi suwereniści", którzy biorą przykład z Giorgii Meloni

Tu trzeba wskazać spory o sprawy historyczne. Georgescu wyrażał niejednoznaczny stosunek do przeszłości komunistycznej. Uznał, że obalenie w roku 1989 reżimu Nicolae Ceaușescu – komunistycznego zamordysty szermującego retoryką nacjonalistyczną i próbującego jednak uniezależnić się od Kremla – nie było żadną rewolucją demokratyczną, lecz godnym potępienia zamachem stanu (na marginesie warto odnotować, że ci, którzy wówczas zaprowadzali nowy porządek w Rumunii, to byli ludzie z partii komunistycznej, chcący zmian na wzór pierestrojki, a istotną rolę w przewrocie odegrały służby sowieckie).

Jednocześnie rumuński polityk wychwalał Iona Antonescu i Corneliu Zeleę Codreanu. Pierwszy z nich był w czasie drugiej wojny światowej dyktatorem Rumunii i sojusznikiem III Rzeszy, którego obarczono współodpowiedzialnością za transport rumuńskich Żydów do niemieckich obozów zagłady. Drugi w okresie międzywojennym stał na czele nacjonalistycznej organizacji Legion Archanioła Michała. Jej zbrojnym ramieniem była bojówkarska struktura – Żelazna Gwardia.

Przekonania Codreanu przesiąknięte były wyrastającą z rumuńskiego folkloru mistyką śmierci. Antykomunizm przeplatał się w nich z antysemityzmem. Wódz Legionu stawiał swojemu ruchowi cele rewolucyjne. Żelazna Gwardia przeprowadzała więc zamachy terrorystyczne na polityków i urzędników.

W komunistycznej Rumunii Antonescu i Codreanu byli całkowicie wyklęci. Później zaczęło się to jednak zmieniać, o tyle że rumuńskie środowiska nacjonalistyczne zaczęły ich symbolicznie rehabilitować. Nie oznacza to jednak, że obydwaj oni wrócili w rumuńskim życiu publicznym do łask.

Dlatego gdy Călin Georgescu wypowiadał się w pozytywnym tonie o Antonescu i Codreanu, ryzykował, że zostanie uznany w swoim kraju za zwolennika politycznych rozwiązań, które kolidują z normami demokracji parlamentarnej, a więc również z konstytucją Rumunii. Szczególnie że zdarzyło mu się powiedzieć, iż w jego kraju partie polityczne nie mają przyszłości (co mogło być odebrane jako chęć likwidacji ustroju wielopartyjnego). A w wyborach prezydenckich wystartował, nie będąc przedstawicielem żadnej partii.

DZIWACZNE TEORIE

Ale nie tylko „antykonstytucyjne" stanowisko w sprawach historycznych sprawiło, że Georgescu zaczął być postrzegany przez ludzi z rumuńskiego establishmentu politycznego (i wśród politycznych elit Unii Europejskiej) jako ktoś, kogo nie wolno dopuścić do władzy. Jego poglądy to kojarzący się z amerykańskim alt-rightem pakiet antyliberalnych przekazów dnia ozdobionych rozmaitymi dziwacznymi teoriami.

Dla Georgescu bohaterem jest Donald Trump. Rumuński polityk uważa, że po Johnie Fitzgeraldzie Kennedym to jedyny prezydent USA, który „zmierzył się ze smokiem korporacyjnym" (systemem finansowo-bankowym, Big Pharmą, przemysłem zbrojeniowym, ubezpieczeniami). Natomiast zanim Trump wrócił do Białego Domu, Georgescu twierdził, że Stany Zjednoczone chodzą na pasku Izraela. Zasugerował, że w USA za prezydentury Joe Bidena hasło „MAGA" („Przywróćmy Ameryce wielkość") zostało zamienione na hasło „MIGA" („Przywróćmy Izraelowi wielkość"). Teraz mu to jednak już nie przeszkadza, mimo że Trumpa także wyróżnia twarda linia proizraelska. A sam Georgescu innym razem powiedział, że jeśli zostanie prezydentem Rumunii, to – idąc śladami swojego idola z USA – będzie wobec Izraela i Żydów podejmować przyjazne działania.

Natomiast czołowymi szwarccharakterami w narracji rumuńskiego polityka

eprasa.pl bf66c86d78

są: globalny kapitalizm (uosabiany przez prezesa Światowego Forum Ekonomicznego, Niemca Klausa Schwaba, czy takich potentatów międzynarodowej finansjery, jak pochodzący z Węgier Amerykanin o żydowskich korzeniach George Soros), NATO, UE, Zielony Ład, ruch LGBT, feminizm. Mało tego, rumuński polityk oświadczył, że największym niebezpieczeństwem dla jego ojczyzny są „fałszywi suwereniści", którzy wzięli sobie za wzór – jak stwierdził – „doskonałego faryzeusza" w osobie premier Włoch Giorgii Meloni. Jest to o tyle intrygujące, że wywodzi się ona z ruchu postfaszystowskiego i uchodzi za przedstawicielkę prawicy „populistycznej", tyle że – co uwiera Georgescu – z opcji pronatowskiej.

Rumuński polityk dał się poznać jako orędownik neutralności wobec wojny ukraińsko-rosyjskiej. Na tym jednak nie poprzestał. Opowiadał się za rozwijaniem relacji ekonomicznych między Rumunią a Federacją Rosyjską i Chińską Republiką Ludową. Krytykował sankcje nałożone przez Zachód na Rosję, twierdząc, że niosą one efekt bumerangu (biją w gospodarkę państw członkowskich Unii). Komplementował Władimira Putina, mówiąc, że prezydent Rosji troszczy się o swój kraj. A Rosjanie nie pozostawali Georgescu dłużni. RIA Nowosti, czyli rosyjskie medium państwowe, oceniła go pozytywnie. Wskazywała Georgescu jako polityka, który chce normalizacji stosunków rumuńsko-rosyjskich. Choć zarazem wypominała mu, że w sporach o historię zajął niewłaściwe stanowisko, ponieważ wychwalał wojsko rumuńskie walczące po stronie III Rzeszy przeciw ZSRR. I faktycznie, o ile deklaracje rumuńskiego polityka dotyczące kwestii bieżących mogą się w Moskwie podobać, o tyle jego opinie w sprawach historycznych – już nie.

Wreszcie dochodzimy do kwestii wykraczających poza tematykę stricte polityczną. Podczas pandemii COVID-19 Georgescu negatywnie się wypowiadał o szczepieniach przeciw tej chorobie. Twierdził, że wierzy w naturalną odporność swojego organizmu, a dziesiątki tysięcy wirusów to część ludzkiego organizmu, więc – wnioskował – i koronawirusa z Wuhan nie ma się co obawiać. W ogóle Georgescu raczył Rumunów różnymi opowieściami, które mogły w niejednym z nich wzbudzić konsternację. Mówił choćby, że żadnego lądowania człowieka na Księżycu nie było, bo od półwiecza na Ziemi nie są organizowane misje księżycowe.

Choć rumuński polityk przedstawia się jako prawosławny, to w rozmaitych jego wypowiedziach, w których z antyoświeceniowych i irracjonalistycznych pozycji podważał wiedzę naukową, pobrzmiewają wątki przywodzące na myśl New Age. Owo zjawisko to melanż neopogaństwa z popkulturą. Przejawia się on m.in. w modach na medycynę niekonwencjonalną i parapsychologię.

Trudno się zatem dziwić, że to, co Georgescu sobą publicznie przedstawia, AUR uznał za ekstrawagancje, które mogą stanowić dla tego ugrupowania niepotrzebne obciążenie. Natomiast rumuński establishment polityczny przyczepił się do tych opinii kandydata na prezydenta Rumunii, które łatwo dało się zinterpretować jako wyraz gotowości do układania się z Kremlem. Czy jednak rzeczywiście to oznacza, że za prowadzoną zastanawiająco intensywnie i skutecznie na TikToku kampanią wyborczą Georgescu stały służby rosyjskie?

ZNUŻENIE SPEKTAKLEM

Wśród rumuńskich dziennikarzy śledczych krąży opinia, że pierwsza tura wyborów prezydenckich w 2024 r. miała w sobie coś z przekrętu. O co dokładnie chodzi?

Rumuńska scena polityczna jest od lat 90. XX w. zabetonowana przez duopol. Władzą się wymieniają Partia Socjaldemokratyczna (PSD) oraz chadecka Partia Narodowo-Liberalna (PNL), co spotyka się z rosnącym niezadowoleniem rumuńskiego społeczeństwa, które coraz bardziej znużone jest tym politycznym spektaklem. W wyścigu o prezydenturę w roku 2024 PSD wystawiła urzędującego premiera Rumunii, Marcela Ciolacu, a PNL – byłego przewodniczącego rumuńskiego Senatu Nicolae Ciucă.

Socjaldemokraci na podstawie sondaży wyborczych uznali, że przy wejściu ich kandydata do drugiej tury nie będzie on miał dużych szans w starciu z kandydatem chadeków. Dlatego podjęli działania mające na celu wypromowanie któregoś z antysystemowych polityków, żeby wyprzedził Ciucă i awansował dalej. Postawili na lidera AUR, czyli George Simiona. Doszli bowiem do wniosku, że wyborcy chadecji prędzej zagłosują na przewidywalnego socjaldemokratę niż jakiegoś nieprzewidywalnego prawicowego radykała.

Tyle że do drugiej tury wyborów prezydenckich nie weszli ani Ciolacu, ani Ciucă, ani Simion. Natomiast obok Călina Georgescu weszła do niej kandydatka mainstreamowego liberalnego Związku Zbawienia Rumunii Elena Lasconi. I wtedy do gry wkroczył rumuński Sąd Konstytucyjny z werdyktem, że w prowadzoną na TikToku kampanię wyborczą zwycięzcy pierwszej tury zaangażowały się służby rosyjskie.

Minęło jednak nieco ponad dwa tygodnie i serwis śledczy Snoop.ro opublikował raport, z którego wynika, że to nie agentura rosyjska stała za akcją lansowania Georgescu, lecz… Partia Narodowo-Liberalna. W tym celu wynajęła ona agencję public relations. Ta zaś zatrudniła mnóstwo influencerów do lansowania Georgescu na TikToku.

Otóż chadecy poszli tym samym tropem co socjaldemokraci, chcąc ich przechytrzyć. Po prostu, tak jak PSD, postanowili wypromować antysystemowca. Doszli bowiem do wniosku, że jeśli rywalem w drugiej turze ich kandydata – Ciucă – będzie Georgescu, to wyborcy socjaldemokratów prędzej zagłosują na przewidywalnego chadeka niż na jakiegoś nieprzewidywalnego nacjonalistę. Szkopuł w tym, że pompowanie antysystemowca wymknęło się Partii Narodowo-Liberalnej spod kontroli.

Rzecz jasna, niewykluczone, że i Rosjanie maczają ręce w rumuńskiej polityce. Tyle że trzeba byłoby dowieść, iż tak jest i kto naprawdę robi za ich pas transmisyjny. Natomiast z pewnością duopol PSD-PNL chce utrzymać zabetonowanie rumuńskiej sceny politycznej. Jak widać, kiedy wola ludu jest nie po myśli strażników europejskich liberalnych demokracji, wówczas zaczynają oni być świadomi tego, że nie mogą sobie pozwolić na utratę władzy, i wyciągają z takiego stanu rzeczy konsekwencje.

W tej sytuacji nawet AUR postanowiła w nadchodzących wyborach prezydenckich już nie wystawiać Simiona. Popiera w nich Georgescu, z którym się przecież kiedyś rozstała. A robi to po to, żeby front protestu się konsolidował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

Przez wojnę na wolność

Maciej Pieczyński

Zarówno Moskwa, jak i Kijów werbują do wojska kryminalistów. Wczorajsi więźniowie miewają większą motywację do walki niż przymusowo zmobilizowani poborowi. Jednak wojenne doświadczenia raczej nie pomagają w resocjalizacji

Od maja 2024 r. ukraińscy więźniowie mogą zaciągać się do armii. Podpisanie kontraktu z Siłami Zbrojnymi Ukrainy oznacza skrócenie wyroku. Przez pierwszy rok służby więzień znajduje się pod nadzorem dowódcy, bez prawa do przepustki. Jeśli w tym czasie nie popadnie w konflikt z prawem, to karalność jest anulowana. Do wojska mogą iść tylko ci, którym zostało nie więcej niż trzy lata do końca odsiadki. Jednak nie każdy „zek" (od ros. zakluczonnyj, czyli więzień – słowo stosowane potocznie zarówno w języku rosyjskim, jak i ukraińskim) zostaje przyjęty z otwartymi ramionami. Win na froncie nie mogą odkupić skazani za zabójstwo, zbrodnię przeciwko podstawom bezpieczeństwa państwowego, gwałciciele, pedofile oraz osoby, które przed odsiadką zajmowały szczególnie odpowiedzialne stanowisko. Ale już nieumyślne spowodowanie śmierci nie jest przestępstwem, które odbiera sprawcy szansę na resocjalizację w okopach.

Zza krat w kamasze trafiają nie tylko mężczyźni. Spośród ponad 7 tys. byłych więźniów walczących na froncie ponad 100 osób to kobiety. Niedawno ukraińska redakcja Radia Swoboda wyemitowała reportaż na ten temat. Dziennikarze rozmawiali z więźniarkami kolonii karnej, które zamierzają podpisać kontrakt z SZU. Hałyna, kijowianka, skazana w 2024 r. na pięć lat w kolonii karnej za kradzież, chce iść na wojnę, bo w walkach pod Bachmutem najpierw zginął jej 25-letni syn, a trzy miesiące później mąż. Gdy jeszcze żyli, pomagała im i ich towarzyszom broni jako wolontariuszka.

Za kradzież już trzeci rok siedzi też 36-letnia Alwina. Na froncie walczą jej mąż i dwóch braci. „Mam małe dziecko, które potrzebuje obrony. Postanowiłam więc, że pójdę bronić ojczyzny i rodziny" – deklaruje Alwina. Tej decyzji nie chce zaakceptować matka kobiety. Tłumaczy Alwinie, że nie powinna ryzykować osierocenia małego dziecka. Skazana jest jednak nieugięta. „Tak trzeba" – przekonuje, choć oczywiście nie wiadomo, czy w jej przypadku decydująca była deklarowana patriotyczna motywacja czy też chęć skrócenia wyroku.

MOTYWACJA OCHOTNIKA

Procedura wygląda następująco. Do kolonii karnej przyjeżdżają żołnierze

eprasa.pl bf66c86d78

Ukraińscy więźniowie podczas wydarzenia dla mediów promującego rekrutację skazanych do armii. Obwód kijowski, 30 maja 2024 r.
FOT. THOMAS PETER/REUTERS/FORUM

z konkretnego oddziału. Każdy chętny skazaniec (poza tymi z wyrokami za cięższe przestępstwa) może przyjść na „rozmowę kwalifikacyjną". Musi wyjaśnić, dlaczego chce iść na front, i pokazać, że wie, na co się pisze. „Tłumaczą nam, że to nie jest po prostu wyjście na wolność, tylko pójście na wojnę, gdzie można zginąć" – relacjonuje jedna z więźniarek. Jeśli skazaniec przekona do siebie rekrutujących, to przechodzi do kolejnego etapu – badania przez komisję lekarską. Jeśli te przejdą pomyślnie, to administracja kolonii karnej przygotowuje dokumenty dla sądu, który podejmuje ostateczną decyzję, czy dać przestępcy szansę na rehabilitację z bronią w ręku czy też nie.

Hałyna dwukrotnie nie przeszła „rekrutacji". Ale do trzech razy sztuka – w końcu ktoś zechciał zaciągnąć ją w swoje szeregi. Hałyna ma wykształcenie medyczne, pracowała w pogotowiu ratunkowym, może więc pracować w szpitalu polowym. Alwina „zajmowała się sportem przez dziewięć lat", dlatego chce walczyć na pierwszej linii frontu. Kobiety utrzymują kontakt z koleżankami zza krat, które już są w okopach. Ponoć nie zniechęcają do służby. Żołnierze jakoby normalnie odnoszą się do byłych więźniów czy więźniarek, choć to oczywiście też jedynie wersja przedstawiona przez bohaterki reportażu.

Z kolei Ołeksandr, który do więzienia trafił za kradzież, przekonuje, że postanowił pójść na wojnę „dla dobra swoich dzieci i rodziców", żeby ich bronić przed Rosją. „Matka płakała, a żona w ogóle powiedziała, że jestem debilem. Od miesiąca ze mną nie rozmawia" – tak w rozmowie z dziennikarzami relacjonuje reakcję swoich najbliższych.

Dowódcy oddziałów, z którymi rozmawiało Radio Swoboda, zapewniają, że ochotnicy, rekrutowani z więzień, często lepiej sobie radzą na froncie niż żołnierze, którzy trafili w kamasze w ramach przymusowej mobilizacji. Mają bowiem bardzo silną motywację, aby wykreślić z życiorysu piętno wyroku. Jednakże sprawiają problemy z dyscypliną, ponieważ za kratami przywykli do życia bez obowiązków. „Kto będzie miał więcej motywacji – osądzony, który dobrowolnie podjął decyzję o wstąpieniu do batalionu i wiedział, co go czeka, czy człowiek, który, umownie rzecz ujmując, został złapany po drodze do piekarni?" – pyta retorycznie „Czeczen", sierżant w batalionie „Szkwał", w rozmowie z portalem NV.ua. To oczywiście nawiązanie do przymusowej mobilizacji. „Czeczen" dowodzi pododdziałem złożonym z byłych „zeków". Choć, jak sam przyznaje, nie są nazywani „zekami", tylko „zajączkami". W działaniach zbrojnych, obok byłych więźniów, uczestniczą również funkcjonariusze Państwowej Kryminalno-Wykonawczej Służby Ukrainy (DKWS), czyli odpowiednika naszej służby więziennej. Bywa, że w jednym okopie walczą ramię w ramię wczorajszy przestępca i klawisz.

Niezależnie od tego, na ile szczere są zapewnienia o patriotycznej motywacji do walki, z pewnością więźniowie – niezależnie od płci – chcą zmyć z siebie piętno wyroku. Zwyczajnie wygodniej i bardziej komfortowo jest mieć status bohatera wojennego niż skazanego przestępcy. Istnieje – również w ukraińskiej opinii publicznej – dość powszechne przekonanie, zgodnie z którym to właśnie chęć szybszego wyjścia na wolność jest jedynym powodem, dla którego większość „zeków" zaciąga się do armii. „Czeczen" twierdzi, że jego doświadczenia są inne. Spora część jego batalionu to skazańcy, którym do końca odsiadki zostało rok albo nawet mniej. Niektórzy składali podania o przyjęcie do wojska, zanim jeszcze mobilizacja osadzonych była prawnie możliwa. To ma dowodzić ich ideowej motywacji.

Jednym z rozmówców NV.ua jest podkomendny „Czeczena", Artem, który trafił do więzienia za brutalne pobicie z uszkodzeniem ciała na 5,5 roku. Po czterech latach odsiadki trafił do batalionu „Szkwał". Syn żołnierza, który walczył w Donbasie na hybrydowym etapie wojny. Artem zauważa, że dzięki takim jak on wielu ukraińskich mężczyzn może uchylać się od służby, bo robotę za nich wykonują więźniowie. W zamian „zajączki", zamiast z wdzięcznością, spotykają się z krytyką

eprasa.pl bf66c86d78

ze strony społeczeństwa, które nadal postrzega ich jako przestępców i wyrzutków. „Gdyby cywile chętniej szli do wojska, mobilizacja więźniów nie byłaby potrzebna" – mówi Artem.

Oficer jednej z ukraińskich brygad w rozmowie z dziennikarzami NV.ua anonimowo opowiedział o tym, jak wygląda „rekrutacja" w koloniach karnych. Zapewnił, że nie jest przymusowa. Wręcz przeciwnie – chętnych jest sporo, tylko władze więzień niechętnie się ich pozbywają. Oficer potwierdza tezę, w myśl której były osadzony jest z reguły bardziej wartościowym żołnierzem niż ofiara „busyfikacji" [czyli przymusowej łapanki poborowych na ulicach – nazwa pochodzi stąd, że przymusowo zmobilizowani ładowani są do busów – przyp. red.]. Szczególnie że więźniów do swoich oddziałów wybierają sami dowódcy. Mają więc wpływ na rekrutację. Natomiast już zmobilizowanych z „łapanki" otrzymują niejako z góry i nie mają możliwości wyboru.

Dziennikarze NV.ua rozmawiali też z jednym z więźniów. Ołeh (imię zmienione) jest przekonany, że jeśli ktokolwiek może do czegoś zmusić osadzonych, to bynajmniej nie administracja kolonii karnej. Skazani słuchają jedynie „autorytetów" [w slangu więziennym – przestępca cieszący się powszechnym szacunkiem wśród swoich – przyp. red.]. Co prawda, w więziennej subkulturze współpraca z władzą stanowi najcięższe przewinienie. Jednak wojsko nie jest postrzegane jako władza. Ukraińskie „autorytety" kryminalne nie tylko nie mają nic przeciwko służbie w armii podczas wojny obronnej, lecz także szanują tych, którzy taką służbę podejmują. Zarazem nie ma dowodów, że pomagają w „rekrutacji", zmuszając współosadzonych do pójścia na front. Raczej jest im to obojętne.

DOBRY WIĘZIEŃ I ZŁY WIĘZIEŃ

Gdy padł pomysł, by zaciągać ukraińskich więźniów do armii, pojawił się uzasadniony zarzut, że Kijów idzie w tym wypadku śladem Moskwy. Jak wiadomo, Rosjanie zaczęli masową mobilizację poborowych zza krat latem 2022 r. Początkowo „zeków" werbował Jewgienij Prigożyn, oferując służbę w prywatnej Grupie Wagnera. Od lutego 2023 r. więźniowie trafiali już tylko do regularnych sił zbrojnych. Zarówno Prigożyn, jak i Ministerstwo Obrony FR oferowali te same warunki służby: ułaskawienie przez prezydenta, sześć miesięcy służby na pierwszej linii frontu, a potem powrót do domu. Przez szeregi samych tylko wagnerowców do czerwca 2024 r. przewinęło się prawie 50 tys. zeków. Takie dane podawały zarówno opozycyjne wobec Kremla źródła, jak i sam Prigożyn, który twierdził ponadto, że łącznie na wojnie zginęło 20 tys. jego ludzi, z czego połowa to byli więźniowie. W czerwcu 2023 r., niedługo przed puczem, szef najemników twierdził, że z frontu do domów wróciło 32 tys. byłych więźniów.

Grupa Wagnera cieszyła się – złą na Ukrainie i Zachodzie, dobrą w Rosji – jednak wielką sławą. Mniej znany jest Sztorm Z, sformowany przez Ministerstwo Obrony FR. Nie jest to jedna konkretna jednostka, tylko nieoficjalna nazwa szturmowych batalionów karnych. Początkowo w jego szeregi rekrutowano zeków, którzy przed odsiadką służyli w resortach siłowych. Później trafiali tam również więźniowie bez doświadczenia w służbach. Jednym z nich był skazany za oszustwa Daniił Tulenkow, który swój szlak bojowy opisał w książce dokumentalnej „Sztorm Z. Nie macie innych nas", jednym z niewielu przykładów sprawnie napisanej „Z-literatury", czyli prozy wychwalającej „specoperację".

Zarówno na Ukrainie, jak i w Rosji dominujący przekaz mediów głównego nurtu oraz oficjalny przekaz państwowej propagandy w sprawie zeków na froncie jest mniej więcej następujący: „Wczorajsi przestępcy postanowili własną krwią zmyć swoje winy. Walczą dzielnie z wrogiem w obronie ojczyzny. To nieprawda, że są niebezpieczni dla społeczeństwa. Przeciwnie: mają ogromną motywację, aby zmienić swoje życie". Tak wygląda narracja na temat swoich własnych zeków. W stosunku do więźniów służących w armii wroga narracja jest zupełnie odwrotna: „Rosjanie (Ukraińcy) nie mają kogo werbować?! No to zmuszają do walki degeneratów i zbrodniarzy!".

Jednocześnie obie strony skwapliwie wychwytują społeczne głosy oburzenia w obozie przeciwnika. Rosyjskie portale chętnie i często cytują internetowe wpisy Ukraińców oburzonych faktem, że ich kraju mają bronić przestępcy z bronią w ręku. Ukraińskie media z kolei równie chętnie i często nagłaśniają przypadki przemocy stosowanej przez zeków w rosyjskich mundurach zarówno wobec ludności cywilnej na terytoriach okupowanych, jak i wobec swoich rodaków, już po powrocie z frontu.

Do zbrodni wojennych przyznają się sami Rosjanie, czego najlepszym przykładem jest wspomniany Daniił Tulenkow. W swojej książce opisuje oddziały Sztorm Z jako zbieraninę alkoholików, narkomanów, maruderów, którzy pomimo swoich wad dzielnie służą ojczyźnie, ginąc w „mięsnych szturmach", a także rozstrzeliwując ukraińskich jeńców. Tulenkow otwarcie przyznaje, że czuł się jak „mięso armatnie", ale godził się z taką właśnie rolą. Tylko bowiem poprzez straceńczą walkę na froncie mogła poprowadzić go droga na wolność.

TO JEDNAK NIE TO SAMO

Choć zarówno Moskwa, jak i Kijów zaciągają do armii zeków, to trzeba zwrócić uwagę na istotne różnice. Jeśli na Ukrainie szansy na służbę nie mają sprawcy najcięższych przestępstw, to w Rosji takie ograniczenia praktycznie nie obowiązują. Początkowo nie werbowano gwałcicieli i przestępców narkotykowych, ale później ze zasady „zliberalizowano". Jeśli na Ukrainie dowódcy rekrutują wybranych więźniów, a ostateczną decyzję podejmuje sąd, to w Rosji do wojska trafić może każdy, kto zechce. Jeśli Kijów daje zekom roczny okres próbny, to Moskwa praktycznie od razu ułaskawia (względnie: warunkowo zwalnia) tych, którzy chcą zamienić celę na okop.

Ustawa umożliwiająca zaciąg zeków do SZU została podpisana ledwie 10 miesięcy temu. Jest więc za wcześnie, by mówić o ewentualnych negatywnych konsekwencjach społecznych. Co innego w Rosji. Opozycyjny portal Verstka wyliczył, że od początku wojny do września 2024 r. z rąk weteranów „specoperacji" zginęły minimum 242 osoby, a kolejnych 227 zostało ciężko pobitych. Sprawcami było 426 byłych żołnierzy, z czego 246 trafiło na front z celi. W 2022 r. po raz pierwszy w ciągu ostatnich 20 lat w Rosji wzrosła liczba zabójstw. Ukrainę z czasem zapewne czeka to samo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Putin umrze… ze śmiechu?

Przyznaję: wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Wszelako po zapoznaniu się z wynikami „uproszczenia" Zielonego Ładu, które – jak podkreślono w cytowanych w wielu artykułach pryncypialnych wypowiedziach unijnych notabli – w żadnym wypadku nie może być utożsamiane z jego „deregulacją", a już na pewno nie z „kapitulacją" Zielonego Ładu, zaczęło mi to świtać w głowie, a potem nawet po niej chodzić.

Oto bowiem wielce zasłużona dla rujnowania UE Komisja Europejska przedstawiła prawdziwie rewolucyjnie nierewolucyjny dokument pt. Omnibus Simplification Package, który ze zdychających pod ciężarem Zielonego Ładu gospodarek państw UE miałby „podobno", „za jakiś czas", „zdjąć obowiązki związane z raportowaniem zrównoważonego rozwoju (ESG)", wszelako – żeby nie było niedomówień – „tylko w odniesieniu do firm zatrudniających do 1 tys. pracowników".

Dopiero jednak lektura innego tekstu upewniła mnie, że jestem na właściwym tropie, i ani chybi – ani trochę się nie mylę. A był to wielgachny artykuł pióra autora, którego nazwisko litościwie zmilczę, opublikowany w „Rzeczpospolitej"; artykuł zatytułowany – uwaga! – „Wojna w Ukrainie generuje ogromne emisje CO_2". Z takim oto – i znów proszę o szczególną uwagę – podtytułem: „Naukowcy szacują, że rosyjska agresja na Ukrainę wygenerowała niemal 230 mln ton ekwiwalentu CO_2. Wzywają Federację Rosyjską do wzięcia odpowiedzialności za potężne szkody"! Czyli do zapłacenia „za wyrządzone przez siebie szkody" ekologiczne – jak precyzyjnie wyliczono – „ponad 42 mld dol.".

Cóż, po przeczytaniu całego artykułu, w którym aż roiło się od podobnej natury i na podobnym poziomie czynionych refleksji, nie miałem już żadnych wątpliwości: to ewidentnie próba zamachu na życie Putina. Albowiem nie ma przecież siły – żadnej siły! – żeby po przeczytaniu doniesień o takich, bohatersko przez unijczyków skleconych „poprawkach" do zabójczego dla Europy Zielonego Ładu, a na dokładkę jeszcze wynurzeń podobnych do przytoczonych z „Rz", Putin nie padł trupem, nie umarł – i to w jednej chwili. Żeby nie umarł oczywiście ze śmiechu. Bo, najzwyczajniej w świecie, nie da się przeżyć lektury podobnych kocopołów.

Intryguje mnie jeszcze tylko to, jak sekta zielonoładowców von der Leyen planuje sfinalizować swój pomysł, czyli jak chce podrzucić te artykuły na Kreml i sprawić, żeby Putin je przeczytał. Wszelako nie mam wątpliwości, że swoje sposoby na to ma, a cała operacja jest już pewnie w toku i nawet sporo zaawansowana, więc Putin śmiało może już liczyć dni, które zostały mu do końca. A wrogowie jego kacapii mogą szykować się na bal z tej okazji. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Po stronie ppłk. Nicholsona

W mistrzowskim filmie Davida Leana „Most na rzece Kwai" z 1957 r. jest słynna scena, gdy do japońskiego jenieckiego obozu w środku dżungli wmaszerowuje oddział pod dowództwem ppłk. Nicholsona. Żołnierze są obdarci, niektórzy słaniają się na nogach lub podpierają kulami, ale Nicholson nakazuje dyscyplinę, więc wszyscy trzymają się szyku i kroku marszowego, choć na nogach mają rozpadające się buty. Rytm nadaje gwizdany przez jeńców słynny „Marsz pułkownika Bogeya".

Czym innym jest publicystyczne recenzowanie polityki, a czymś całkiem innym występowanie w charakterze supportu na konwencji kandydata

„Most na rzece Kwai" – zarówno film, jak i powieść – stawia zasadnicze pytanie: Czy w ekstremalnych okolicznościach warto trzymać się zasad? Po jednej stronie tego sporu jest ppłk Nicholson, po drugiej – podoficer marynarki amerykańskiej Shears, zresztą hochsztapler i oszust. Ilekroć oglądam to arcydzieło kina, zawsze stwierdzam, że bliżej mi do Nicholsona. Zasady nas kształtują i podtrzymują ład nawet tam, gdzie wszystko się wali.

Nie dostrzegam zatem powodu, dla którego miałbym się czuć zwolniony z jednej z podstawowych zasad mojego zawodu, zabraniającej partyjnego zaangażowania. Tak, publicysta nie tylko może, lecz także musi mieć poglądy i absolutnie wolno mu je wyrażać. Jeśli chce, to może nawet otwarcie wesprzeć swoim piórem partię czy kandydata (choć ja tego nie robię). Ale czym innym jest publicystyczne recenzowanie polityki w zgodzie z własnymi poglądami, a czymś całkiem innym występowanie w charakterze supportu na konwencji kandydata faktycznie partyjnego (bo przecież przymiotnika „obywatelski" w przypadku Nawrockiego nikt chyba poważnie nie traktuje).

Jeśli ktoś decyduje się na taki występ, to nie ma większego znaczenia, co w jego trakcie powiedział – przestaje być wiarygodny w funkcji uczciwego recenzenta polityki. Kompletnie nie ma znaczenia, że wielu uczyniło to już wcześniej. Sprawa jest prosta: albo pilnujemy zasad, albo sięgamy po dęte tłumaczenia o „nadzwyczajnej sytuacji" i przyczyniamy się do ich niszczenia. W imię interesu konkretnej partii. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

Targi przyszłości

Jacek Przybylski z Barcelony

Najnowsze smartfony, laptopy, tablety, pierścienie, procesory, routery, latające anteny telefonii komórkowej, a także roboty, drukarki 3D, a nawet samochody. Targi Mobile World Congress w Barcelonie to obowiązkowe wydarzenie dla producentów chcących pochwalić się najbardziej innowacyjnymi technologiami

W świecie globalnych technologii liczą się trzy wydarzenia: wiosenne targi Mobile World Congress w Barcelonie, styczniowe Consumer Electronics Show w Las Vegas oraz jesienne IFA w Berlinie. Pierwsze z nich odwiedziło w tym roku ponad 100 tys. osób. W tym gronie wielu prezesów firm, ekspertów, handlowców, dziennikarzy z całego świata, a także urzędników i ministrów.

eprasa.pl bf66c86d78

Mobile World Congress w Barcelonie odwiedziło w tym roku ponad 100 tys. osób z ponad 200 krajów świata FOT. JAP

W ubiegłym tygodniu na stoiskach w stolicy Katalonii zaroiło się od najnowszych urządzeń mobilnych. Chińska firma realme oficjalnie zaprezentowała na targach nową linię smartfonów realme 14 Pro, które nie dość, że potrafią zmieniać kolor pod wpływem temperatury, to jeszcze są odporne na kąpiele w wodzie (nasz test tego modelu jest na str. 76) i umożliwiają filmowanie pod wodą (do jednej godziny). Chińczycy nie ograniczyli się jednak tylko do prezentacji produktów, które właśnie trafiają do sprzedaży. W Barcelonie firma pokazała również niezwykły innowacyjny, prototypowy smartfon realme Ultra, który wygląda jak skrzyżowanie smartfona z jednocalową matrycą Sony z zaawansowaną technologicznie lustrzanką (specjalny system mocowania umożliwia podłączanie obiektywów DSLR bezpośrednio do obudowy telefonu). Na razie do dyspozycji użytkownika są dwa obiektywy: portretowy 73 mm i teleobiektyw 234 mm. Co ważne, to obiektywy pełnoklatkowe, które mają największy potencjał do tego, aby robić wyjątkowo dobre zdjęcia. Niestety, na razie to tylko smartfon koncepcyjny: nie ma więc jeszcze ani ceny, ani daty ewentualnej premiery. Na miłośników fotografii postawiły również chińskie Nubia oraz Xiaomi. Model Focus 2 Ultra został wyposażony w obrotowy pierścień, który ułatwia robienie zdjęć i nakładanie filtrów. Model 15 Ultra został z kolei wyposażony w zaawansowany system aparatów z optyką opracowaną we współpracy z Leicą.

Szykuje się więc zacięty pojedynek smartfonowych gigantów. Firma realme – obecnie jedna z najszybciej rozwijających się marek smartfonów w regionach takich jak Włochy, Polska, Hiszpania, Meksyk i Arabia Saudyjska – właśnie w Barcelonie ogłosiła bowiem oficjalnie trzyletni strategiczny plan rozwoju, który zakłada podwojenie globalnej liczby użytkowników. Aby prześcignąć konkurentów firma planuje zaoferować szybsze procesory i dużo większą pojemność baterii. Już teraz akumulatory tego producenta mają pojemność 6 tys. mAh, celem jest zaś zwiększenie pojemności do 10 tys. mAh.

Z kolei chińskie Lenovo zaprezentowało koncepcję laptopa zasilanego energią słoneczną (panele słoneczne Yogi Solar stanowią element pokrywy urządzenia). Z kolei chińska firma Infinix pokazała opatentowaną obudowę smartfona, która również może czerpać ze słońca energię potrzebną do zasilania akumulatora (na razie moc ładowania baterii za pomocą słońca wynosi zaledwie dwa waty, dzięki czemu przez godzinę można zwiększyć poziom energii w akumulatorze o ok. 10 proc.).

Firma Anker Solix pokazała na tegorocznym MWC kurtkę à la ponczo, która nie dość, że potrafi pozyskiwać energię ze słońca do ładowania elektronicznych gadżetów, to jeszcze ma podświetlane na niebiesko elementy LED, dzięki czemu wygląda się w niej niczym rycerz Jedi. Lenovo zaprezentowało również laptopy z rozkładanymi wyświetlaczami (w zależności od modelu można powiększyć monitor z 14 cali do 16,7 cala albo z 13 cali do 18,1 cala).

realme pokazała smartfon z perłową obudową o unikalnym wzorze. Nie ma więc dwóch identycznych egzemplarzy FOT. JAP

Na targach pojawiły się też monitory wyświetlające trójwymiarowy obraz bez konieczności zakładania okularów. Były też specjalne okulary przeciwsłoneczne dla rowerzystów. BleeqUp Ranger potrafią rejestrować przebytą trasę, mają zintegrowane tylne światło, a także umożliwiają bezpieczną komunikację podczas jazdy. Oczywiście okulary są też wyposażone w sztuczną inteligencję, która automatycznie analizuje nagrania i sugeruje najciekawsze ujęcia z trasy.

Z kolei hiszpański start-up Novameat zaprezentował drukarkę 3D do produkcji „wegańskich steków", która ma ułatwić restauratorom przygotowywanie wegańskich dań dla klientów. Do hal MWC wjechały nawet samochody. Dużą popularnością wśród zwiedzających cieszył się sportowy wóz produkowany przez Xiaomi, czyli SU7 Ultra.

ZALOTNA HUMANOIDKA I ROBOPIES

W Barcelonie widać też ogromny postęp na polu robotyzacji. Furorę na targach zrobiła Amira. Humanoidalna robocica ze skórą, włosami, w sukience i czerwonym sweterku, która potrafi nie tylko zaskakująco rozsądnie prowadzić konwersację (jednocześnie w naturalny sposób gestykulując), lecz także pokazywać najróżniejsze emocje: szczęście, smutek czy złość. Wystarczy powiedzieć jej coś miłego, aby zrewanżowała się dobrym słowem i… zalotnym mrugnięciem okiem. – Robimy roboty już od ok. 20 lat, skupiając się rozwoju humanoidów i sposobu, w jaki prowadzą interakcję z ludźmi. Skupiamy się nie tylko na udoskonalaniu wykorzystywanej

eprasa.pl bf66c86d78

przez roboty sztucznej inteligencji, lecz także na wyglądzie. Dużo przyjemniej rozmawia się z humanoidem niż z chatbotem – mówi „Do Rzeczy" inżynier Elliott White z Engineered Arts Limited. Obecnie Amira i podobne jej roboty mogą być wynajmowane na różnego rodzaju wydarzenia, aby zapewniały rozrywkę gościom. Można je też kupić np. do domu opieki, aby zapewniały miłe towarzystwo. – Popyt jest ogromny. Robimy wersję desktopowe, czyli robot ma wówczas tylko głowę oraz szyję, lub całe ludzkie sylwetki. Ceny wahają się od 60 tys. do 250 tys. funtów (od 300 tys. do 1,24 mln zł) – dodaje Elliott White.

Po targach MWC chodził, biegał i tańczył również zaawansowany humanoid Unitree G1, który potrafi także machać rękoma, otwierać butelki (rozlewając jednak przy tym nieco napoju) i miażdżyć orzechy. Jest w stanie sprawnie poruszać się po trudnym terenie. Stabilnie trzyma się też na nogach, gdy ktoś próbuje go kopnąć lub mocniej popchnąć. Po halach w Barcelonie biegały też psy roboty. Jeden z modeli ZTE – Unitree Go2 – jest banalnie prosty w obsłudze i potrafi również podawać łapę, prosić i stawać na przednich łapach.

Nie brakowało też propozycji dla tradycyjnych czworonogów (które premierę miały tysiące lat temu – żywych, z prawdziwym futrem, które muszą jednak jeść i spać). Firma GlobalMe pokazała „pierwszy smartfon dla zwierząt domowych". Ważący 37 g PetPhone jest przymocowany do paska, który można założyć na szyję zwierzaka niczym obrożę. Można zadzwonić do psa i poprosić, by przestał zjadać kanapę. Również pies za pomocą odpowiedniej sekwencji szczeków (ponoć łatwej do wytrenowania) może wywołać połączenie z właścicielem. Dodatkowo PetPhone wyposażony jest w funkcję monitorowania zdrowia futrzaków, śledzenia lokalizacji i geofancingu, dzięki czemu właściciel jest automatycznie powiadamiany, gdy jego pupil opuści wyznaczone terytorium. Producent przekonuje również, że PetPhone dzięki analizie dokonywanej przez AI pozwala właścicielom zwierząt domowych lepiej zrozumieć, czy ich pupile szczekają, bo są głodne, zdenerwowane lub wpadły w tarapaty. Inna firma zaoferowała z kolei aplikację do identyfikowania zagubionych psów i kotów za pomocą szybkiego skanowania sylwetki, a u psów zwłaszcza nosa (podobno działa to z dokładnością

Robot firmy Nexio obsługuje już klientów w Polsce FOT. JAP

Na targach w Barcelonie widać ogromny postęp w dziedzinie sztucznej inteligencji oraz robotyki

Humanoidka Amira potrafi zabawiać człowieka ciekawą rozmową, gestykulować i pokazywać emocje FOT. JAP

na poziomie 99,9922 proc.). Oczywiście większość pracy wykonuje za użytkownika sztuczna inteligencja. Do użytku prywatnego aplikacja jest darmowa, choć namówienie psa do tego, aby pozował do telefonu przez kilkadziesiąt sekund, wymaga od właściciela sporej i wcale nie takiej sztucznej inteligencji.

GŁÓWNY BOHATER: AI

W Barcelonie hasło AI (sztuczna inteligencja), GenAI (generatywna sztuczna inteligencja) czy super AI odmieniane były na większości stoisk przez wszystkie przypadki. W tej dziedzinie wyraźnie widać nowy „wyścig zbrojeń" (tylko Stany Zjednoczone przeznaczyły na rozwój sztucznej inteligencji 500 mld dol.), który ma ogromne znaczenie dla branży telekomunikacyjnej.

Coraz bardziej rozwinięte duże modele językowe (LLM) oraz mniejsze z nich służą m.in. do zarządzania siecią oraz optymalizacji obsługi klienta. Umożliwiają też producentom smartfonów zaoferowanie bardziej inteligentnych funkcji. realme chce też rozwijać projekt NEXT AI i wykorzystywać sztuczną inteligencję do zwiększania wydajności procesorów przy graniu w zaawansowane gry czy do poprawy jakości zdjęć. Firma umożliwia np. edytowanie zdjęć za pomocą komend głosowych. Wystarczy powiedzieć: „Dodaj sztuczne ognie", aby obok bohaterki zdjęcia rozbłysły fajerwerki. Podobnie można poprosić o zmianę koloru nieba. Jedną z funkcji obecnych już w smartfonach realme jest gumka AI, która umożliwia usuwanie błyskawiczne niepotrzebnych elementów ze zdjęć. To niezwykle przydatne narzędzie, gdy próbuje się zrobić selfie w zatłoczonym miejscu (po zrobieniu zdjęcia wystarczy poprosić AI o usunięcie wszystkich turystów stojących wokół nas przed słynną barcelońską świątynią. Kilka sekund i na zdjęciu przed Sagrada Família stoimy wreszcie zupełnie sami. Swoją drogą w aplikacji służącej m.in. za przewodnik po wielkim dziele Gaudiego wykorzystywana jest m.in. rozszerzona rzeczywistość (AR), która wyświetla dodatkowe objaśnienia na obiektach widocznych na ekranie smartfona.

AI może być też wykorzystywana np. w celach medycznych. Hiszpańska Telefonica pokazała opracowaną wraz we współpracy z Edgendria Innovacion technologię Cat Eye, która wykorzystu-

eprasa.pl bf66c86d78

Xiaomi pokazało w Barcelonie sportowy wóz SU7 Ultra FOT. JAP

je sztuczną inteligencję do wykrywania zaćmy. AI potrafi również ocenić, czy zaćma jest już na tyle poważna, że wymaga interwencji chirurgicznej.

Firma Xpanceo pokazała zaś inteligentne szkła kontaktowe, które zostały wyposażone w czujniki mogące nieustannie monitorować poziom glukozy czy kortyzolu w filmie łzowym użytkownika. Drugi model inteligentnych szkieł potrafi z kolei zmieniać wzór w zależności od ciśnienia wewnątrzgałkowego, co pozwala na wczesne wykrywanie jaskry.

Z kolei aplikacja Whispp ułatwia komunikację osobom z uszkodzonymi strunami głosowymi. Wystarczy wybrać głos w aplikacji, a następnie szeptać do mikrofonu w telefonie, a naturalnie brzmiące dźwięki są odtwarzane niemal w czasie rzeczywistym z podłączonego do aplikacji głośnika Bluetooth.

5G JEST JUŻ PASSE

W Barcelonie nie zabrakło także przykładów technologii wykorzystywanych przez operatorów technologii komórkowej. Zamiast o 5G mówiło się więc o technologii 6G. I nie tylko. Nie ma tu miejsca, by wchodzić w szczegóły – napiszę więc jedynie, że nadchodzi prawdziwy przełom w technologiach telekomunikacyjnych, a zwłaszcza w API (interfejs programowania aplikacji), NTN (non-terrestrial-network, czyli sieciach niezwiązanych z sieciami naziemnymi), inteligentnych kontrolerach RIC etc. Nawet na odległych terenach powinien się też polepszyć zasięg nowoczesnych sieci. T-Mobile chce w tym celu wykorzystać stosunkowo niewielkie drony, które spełniałyby rolę latających masztów telefonii komórkowej.

W erze wszechobecnej sztucznej inteligencji wystawcy w Barcelonie prezentowali również rozwiązania, które miały chronić użytkowników, np. poprzez generowanie w aplikacji ostrzeżeń w przypadku wykrycia, że głos dzwoniącego nie należy do człowieka, lecz do zaawansowanego technologicznie bota. Również w Polsce – gdzie według Ministerstwa Cyfryzacji od początku roku odnotowano już co najmniej 18 tys. cyberataków – wzmacnianie bezpieczeństwa dla wielu firm powinno być priorytetem. Do zwiększenia odporności na cyberataki różne firmy używają zaś sztucznej inteligencji. – Z powodzeniem używamy AI do wykrywania zagrożeń. Zaawansowane algorytmy sztucznej inteligencji szybko uczą się wzorców cyberataków i ewoluują tak, aby zapewniać bezpieczeństwo. AI skutecznie wykrywa nie tylko potencjalne incydenty, jak i identyfikuje wszelkie anomalie. Jest to kluczowe, ponieważ szybka identyfikacja potencjalnych zagrożeń pozwala nam lepiej chronić naszych klientów. Zdecydowana większość cyberataków jest więc obecnie odpierana automatycznie – mówi „Do Rzeczy" prezes T-Mobile Polska, Andreas Maierhofer. – Trzeba pamiętać, że również cyberprzestępcy cały czas próbują czegoś nowego. Sztuczną inteligencję w wykrywaniu i neutralizacji nowych zagrożeń wspierają więc nieustannie również wysoko wykwalifikowani eksperci do spraw cyberbezpieczeństwa – komentuje Andreas Maierhofer, dodając, że z najbardziej zaawansowanych usług w tym zakresie korzystają głównie klienci B2B, ale z subskrypcji produktów zapewniających cyberbezpieczeństwo mogą korzystać również klienci indywidualni.

W Barcelonie nie brakowało też ciekawych produktów od technologicznych gigantów. Intel zaprezentował przykłady rozwiązań wykorzystujących wydajne procesory Xeon 6 Soc oraz Xeon 6 E-cores. Z kolei niemiecka firma AVM pokazała najnowszy model routera. FRITZ!Box 5690 XGS umożliwia osiągnięcie na łączu optycznym prędkości do 10 Gbit/s, jest on wyposażony w 10-gigabitowy port WAN/LAN oraz oferuje wydajne Wi-Fi 7.

POLACY NIE GĘSI

Wprawdzie w Barcelonie zdecydowanie dominowały marki z Chin, ale nie zabrakło również polskich wystawców. Jednym z nich była firma Maxcom oferująca m.in. smartfony dla seniorów, a także specjalne zegarki, opaski i inteligentne pierścienie. – Mamy trzy rodzaje pierścieni: stalowe, tytanowe i ceramiczne w różnych rozmiarach i wersjach kolorystycznych. To fajna alternatywa dla smartwatcha np. na noc. Pierścienie są bowiem mniejsze, potrafią monitorować sen, mierzyć temperaturę ciała, badać zmienność rytmu zatokowego serca czy tętno. Mierzą też aktywność, spalone kalorie itd., a kosztują od 200 do niecałych 500 zł – zachwala w rozmowie z „Do Rzeczy" PR & Marketing Ninja w Maxcom Magdalena Rybka.

Na zorganizowanym przez Ministerstwo Cyfryzacji Polskim Stoisku Narodowym przy szarlotce z polskiej cukierni prezentowało się 10 firm technologicznych. – Specjalizujemy się w niszach i rozwiązaniach szytych na miarę na zamówienia liczące w setkach lub pojedynczych tysiącach. Dzięki temu nie tylko z powodzeniem konkurujemy z producentami z Chin, lecz także realizujemy dostawy dla dwóch klientów w Chinach. W świecie innowacyjnych technologii hasło „made in Poland" nie tylko już nikogo nie zniechęca, ale przeciwnie – jest to zaleta. Nie mamy już żadnych powodów do kompleksów – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" Michał Gorząd, prezes zarządu firmy QuWireless, która projektuje i produkuje anteny telekomunikacyjne do zastosowań cywilnych i wojskowych.

– Pięć lat temu stwierdziłem, że przyszłość leży w robotyce. Tak wymyśliliśmy projekt stworzenia robota humanoidalnego do obsługi klienta np. w salonach operatorów telekomunikacyjnych. Udało się już tę koncepcję zrealizować i jeden z naszych robotów świadczy już usługi, opowiadając o aktualnej ofercie, o tym jakie są promocje, taryfy etc. – mówi „Do Rzeczy" Adam Jac, dyrektor operacyjny firmy Nexio, która od dwóch dekad wspiera biznes telekomunikacyjny w cyfrowej transformacji. Na polskim stoisku chwalono się również rządową aplikacją mObywatel, którą w cyfrowym portfelu nosi już 9 mln Polaków. Wśród polskich firm w Barcelonie znalazły się też również AIUT, Apator, Asseco Poland, CTHINGS.CO, Grupa Polsat Plus, Phoenix Systems, NetQPro oraz Vergewave.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf66c86d78

NISSAN ARIYA EVOLVE+

FOT. JAP

Konstruktorom tego rodzinnego SUV-a udało się stworzyć elektryczne auto, które nie tylko wygląda dynamicznie, lecz także dzięki żwawemu napędowi w wersji Evolve+ potrafi zaspokoić nawet sportowe ambicje kierowcy.

Jeśli więc ktoś ma ochotę się pobawić, to za kierownicą tego auta naprawdę może już poczuć sporo radości z jazdy. Oczywiście to crossover, a nie auto sportowe, ale testowana Ariya z dwoma silnikami o łącznej mocy 394 KM z napędem na wszystkie łapy (e-4ORCE) przyspiesza od zera do 100 km/h w zaledwie 5,1 s. Nieźle! Ten crossover zupełnie nie nadaje się z kolei do terenowych przygód, bo prześwit nie należy do największych. Mimo to Ariya bez większego problemu powinna radzić sobie z nieco wyższymi krawężnikami.

Co z zasięgiem? To zależy od stylu jazdy. Za dynamicznie pokonane odcinki autostradowe płaci się szybkim zużyciem baterii. Wówczas trudno liczyć na wynik lepszy niż 300–340 km. Przy oszczędnej jeździe Ariya wyposażona w pojemny akumulator (87 kWh) pozwala jednak przejechać na jednym ładowaniu ok. 400 km (producent nieco zbyt optymistycznie podaje 499 km). Auto można ładować z mocą do 130 kW. Niby nieźle, ale gdyby było to 150 kW, to byłoby lepiej.

Ariya wygląda futurystycznie nie tylko z zewnątrz. Również kabina jest na tyle dopracowana i przytulna, że jest to jeden z nielicznych modeli elektrycznych, które rzeczywiście chce się mieć nie tylko ze względu na rządowe dopłaty, darmowe parkingi i prawo do jazdy po buspasach (jeśli władze łaskawie te dwie ostatnie zachęty przedłużą). Niemal cała deska rozdzielcza jest wykończona Alcantarą. Nie brakuje też eleganckich drewnianych akcentów. Jakość użytych materiałów oraz wzornictwo tego modelu Nissana mogłyby zawstydzić niejednego producenta aut klasy premium. Nowocześnie wyglądają dwa 12,3-calowe wyświetlacze wskaźników (jeden za kierownicą, a drugi do obsługi systemu multimedialnego). Wygodne fotele w wersji Evolve mogą być zarówno ogrzewane, jak i wentylowane. Podobać może się też stylizowana na sportową kierownica. Z tyłu znajdują się podgrzewane siedzenia oraz porty ładowania. Na pochwałę zasługuje również świetne wyciszenie kabiny.

Przestrzeni wewnątrz nie brakuje zarówno z przodu, jak i z tyłu. Zaletami są brak tunelu środkowego oraz możliwość elektrycznego przesuwania konsoli środkowej do przodu lub do tyłu (za pomocą jednego przycisku). Niestety, jak na elektryka przystało, kufer jest mały. Bagażnik ma nieco ponad 400 l pojemności, co sprawia, że w dalszą podróż lepiej nie wybierać się rodziną większą niż trzyosobowa.

Nissan Ariya w wersji Engage kosztuje 194,9 tys. zł, a w wersji Advance 209,9 tys. Wersja Evolve to już wydatek co najmniej 229,9 tys. zł, a testowana Evolve+ – 284,9 tys. zł. Za najdroższą wersję Nismo o mocy 435 KM trzeba zaś zapłacić co najmniej 289,9 tys. zł. ©℗

SMARTFON REALME 14 PRO+

Oryginalne wzornictwo, niezły aparat fotograficzny, świetny wyświetlacz oraz certyfikat odporności na wodę IP68/69 – to największe zalety nowego średniaka chińskiej marki Realme, który w ubiegłym tygodniu miał swą premierę w Barcelonie.

Telefon jest smukły i elegancki. Ma też rewelacyjny 6,83-calowy wyświetlacz AMOLED o rozdzielczości 2800 x 1272 z maksymalnym odświeżaniem na poziomie 120 Hz. Design modelu realme 14 Pro+ w wariancie białoperłowym wyróżniają jednak dwa inne elementy. Po pierwsze, plecki smartfona są produkowane tak, aby wzór na nich nigdy się nie powtarzał. Dzięki temu można mieć wrażenie, że trzyma się w rękach coś wyjątkowego. Drugą innowacją jest zdolność do szybkiej zmiany koloru w wyniku gwałtownej zmiany temperatury. Testowany model dostępny jest też z wykończeniem z wegańskiej skóry przypominającej zamsz (on już koloru nie zmienia).

Testowany średniak wyróżnia się z tłumu również możliwościami aparatu fotograficznego. Aparat główny realme 14 Pro+ został uzbrojony w matrycę Sony IMX896 o rozmiarze 1/1.56". Ma 50 MP, przysłonę f/1.8 oraz optyczną stabilizację obrazu. Jakość zdjęć wykonywanych jest dobra (na pochwałę zasługuje zwłaszcza wysoka jakość fotografii zrobionych w nocy). Z tyłu znalazły się również świetny teleobiektyw oraz niezły obiektyw ultraszerokokątny (8MP). Ciekawym bajerem jest też potrójny flesz MagicGlow.

Fanów sportów wodnych ucieszy z kolei certyfikat odporności IP68/69, który pozwala nawet na robienie podwodnych zdjęć do głębokości 1,5 m (warto pamiętać, że bezpiecznie można to robić tylko w wodzie słodkiej). Przedni aparat umożliwia z kolei robienie całkiem niezłych selfie.

Sercem urządzenia jest procesor Qualcomm Snapdragon 7s Gen 3. Nie jest może mocarny, ale nie należy też do słabeuszy –zapewnia wydajność, która przeciętnemu Kowalskiemu spokojnie powinna wystarczyć. Na pochwałę zasługują też niezłe głośniczki stereo oraz bateria o pojemności 6000 mAh z ładowaniem 80 W SuperVOOC.

Wady? Pierwszy irytujący minus to mnóstwo niepotrzebnie preinstalowanych aplikacji. Po drugie, procesor nie daje zapasu mocy, co może rozczarować miłośników zaawansowanych gier. I po trzecie, wyświetlacze u konkurencji lepiej radzą sobie w ostrym słońcu.

Realme 14 Pro+ w wersji z 8 GB pamięci RAM i z 256 GB na dane kosztuje 2299 zł, a w wersji 12/512 GB 2499 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl bf66c86d78

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wielkie piece, fryszerki i hamernie

JACEK KOMUDA

Gdzie w dawnej Polsce wytapiano żelazo? Głównie na terenach w pobliżu Gór Świętokrzyskich, które dziś zwiemy Staropolskim Okręgiem Przemysłowym. W XVI w. jednak był tutaj dostatek surowców dla kuźników: rudy żelaza, drewna na węgiel drzewny i topników, przede wszystkim wapienia. Sieć rzek zapewniała napęd i transport. O pierwszeństwo miejsca, w którym powstał pierwszy w naszym kraju wielki piec hutniczy, rywalizują do dziś dwie miejscowości – Bobrza i Samsonów – będące historyczną kolebką naszego przemysłu metalurgicznego. Bobrza, położona na północny zachód od Kielc, która wzmiankowana jest już w 1390 r., zaczęła rozwijać się pod koniec XVI w., gdy przybyła tutaj włoska rodzina Cacciów. Otrzymali oni od króla Zygmunta III przywilej na wybudowanie wielkiego pieca, który ukończono w 1612 r. Do dziś historycy nie są zgodni, czy powstał on szybciej niż wielki piec w konkurencyjnym Samsonowie, który według jednych autorów działał już w 1598 r., zaprojektowany przez Hieronima Caccia, czy też wzniesiono go później. Fakt jednak, że kuźnice w obu wioskach w 1627 r. przeszły w ręce Jakuba Gianottiego, Bernarda Serwallego i Jana Gibboniego, który położył wielkie zasługi, stawiając w 1641 r. kolejny wielki piec w Samsonowie, a w Kostomłotach i Niewachlowie huty do wytopu ołowiu. Zbudował również kuźnicę w Ćmińsku i warsztaty produkujące rury koło Samsonowa. Za zasługi dla Rzeczypospolitej król Władysław IV mianował go wojewodą chęcińskim.

RYS. MART

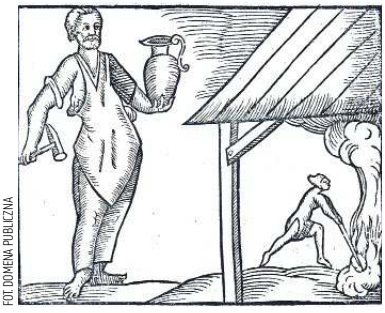

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Proces wytwarzania żelaza i stali w XVII w. był skomplikowany. Pozostały nam dzisiaj po nim tak tajemniczo brzmiące nazwy wsi i miasteczek jak Fryszerka czy Hamernia, a przede wszystkim liczne huty. Specyfika dawnego przemysłu metalurgicznego wymagała bowiem wielokrotnej obróbki materiału, więc obok huty wyrastały zwykle – jak całe rodziny – mniejsze miejscowości zajmujące się dalszym przetwarzaniem uzyskiwanego w niej surowca. Przede wszystkim we wspomnianej epoce ciągle wytapiano żelazo w dymarkach, jednak oczywiście znacznie udoskonalonych w porównaniu z czasami średniowiecza. Działo się tak, ponieważ żelazo z wielkiego pieca, który wymyślono pod koniec XIV w., było gorszej jakości i kruche. W celu jego poprawy budowano więc działające przy hutach dodatkowe zakłady przetwarzające surowiec. Przede wszystkim owe fryszerki – warsztaty z piecami często wykorzystujące dawne dymarki, nazywane tak od niemieckiego słowa: frischen (odświeżać). Uzyskane z wielkiego pieca bryły surowca wkładano szczypcami do rozgrzanego węglem drzewnym pieca fryszerskiego i ogrzewano. Wytapiało się z nich żelazo, które ściekało na dno, gdzie było przedmuchiwane. W ten sposób pozbywano się nadmiaru węgla i innych domieszek – np. krzemu lub siarki. Nie był to jednak koniec – uzyskane bryły surowca należało jeszcze przekuć, aby pozbawić je żużla. Robiono to tradycyjnie – kując wielokrotnie żelazo młotem. Dlatego wielki piec i fryszerki wymagały w owych czasach zbiorników wodnych, gdyż ich miechy i młoty napędzane były – jak ówczesne młyny – kołami wodnymi.

Z fryszerki żelazo trafiało do hamerni, czyli kuźnicy, gdzie przekuwano je, formując prawie gotowe wyroby, a także do zwykłych kuźni i warsztatów, skąd wychodziło jako okucia, broń, zawiasy, a przede wszystkim narzędzia do pracy. Tak specyficzny sposób obróbki sprawiał jednak, że warsztaty opłacało się budować wzdłuż biegu rzek. Huta nigdy nie obywała się bez fryszerek. Na przykład w XVIII w. w skład kompleksu w Samsonowie wchodziły wielki piec, trzy fryszerki, kilka kuźnic i dalsze – manufaktury broni, odlewnia dział i szlifiernia. Żelazo z huty trafiało także do licznych hamerni i kuźnic w okolicznych miejscowościach, dając zajęcie i zarobek rzeszom rzemieślników.

W XVIII w. na terenie obecnie określanym jako Staropolski Okręg Przemysłowy znajdowało się do 27 wielkich pieców, wytapiano tutaj większość żelaza wykorzystywanego w Koronie Polskiej, chociaż hutnictwo we wspomnianym stuleciu zaczęło podupadać. Odrodziło się za czasów Królestwa Kongresowego, wspierane przez Stanisława Staszica i Franciszka Druckiego-Lubeckiego, którzy zamierzali wybudować wzdłuż rzeki Kamiennej ogromne huty i zakłady. Inwestycje te jednak przerwał wybuch powstania listopadowego. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ryż po włosku

Skąd się wzięło zamiłowanie Włochów do ryżu i jak przygotować risotto, aby było aksamitnie kremowe? Ryż trafił do Europy w VII w. dzięki Arabom, a następnie dalej do Afryki, obu Ameryk i Australii. Jego znaczenie w świecie jest ogromne, gdyż jest to drugi, zaraz po pszenicy, produkt roślinny o tak szerokim zastosowaniu. Używa się go zresztą nie tylko w kuchni, lecz także w przemyśle kosmetycznym.

Włosi w okolicach Wenecji początkowo jedli ryż z grochem. Było to danie pożywne, wysokobiałkowe i niedrogie. Ale dostępność i bogactwo przypraw sprawiły, że Włosi udoskonalili je i podnieśli do rangi sztuki kulinarnej. To klasyczna potrawa włoska, w której wykorzystuje się specjalną odmianę ryżu arborio. Jego krótkie ziarna mają największą zdolność do wchłaniania płynów, dzięki temu risotto posiada kremową konsystencję. Danie przygotowuje się na bazie oliwy z oliwek, masła, kiedyś obowiązkowo szafranu, który nadaje potrawie piękny kolor. Masło i dobry wywar z kości sprawiają, że potrawa jest aksamitna i delikatna w smaku.

Rodzajów risotto jest wiele. Zacznijmy od najprostszej postaci, czyli risotto po mediolańsku – klasyczne risotto bez żadnych dodatków, jedynie z przyprawami i serem grana padano. Można jednak wzbogacić je innymi dodatkami – mięsem, owocami morza, warzywami i winem. Przepisów jest wiele. A sekret pysznego, kremowego risotto stanowią… cierpliwość i precyzja.

Ryż podlewamy odpowiednią ilością – co ważne – gorącego bulionu w odpowiednio długim czasie, tak aby ryż zdążył wchłonąć bulion przed dołożeniem kolejnej porcji płynu. Delikatnie mieszając, nadajemy mu kremowość i aksamitny wyraz. Risotto nie jest daniem ekspresowym – wymaga uwagi i trochę więcej czasu, ale wysiłek się opłaci, bo smak idealnie kremowego dania jest nieporównywalny z żadnym innym.

Kremowe risotto z kurczakiem i grzybami

• 200 g ryżu arborio • 700 ml bulionu warzywnego, drobiowego • 1 szklanka wina 200 ml • 1 pierś kurczaka pojedyncza • 1 duża cebula • 2 ząbki czosnku • 4 duże łyżki oliwy z oliwek • ¼ kostki masła • ½ opakowania sera grana padano startego na małych oczkach • sól, pieprz, odrobina szafranu, oregano, słodka papryka • dodatki: suszone grzyby, natka pietruszki

Grzyby namaczamy ok. godziny wcześniej. Na patelni rozgrzewamy masło i oliwę, cebulkę i czosnek drobno kroimy w kostkę, szklimy ją, przesuwamy na brzeg patelni. Dodajemy pokrojoną w kostkę pierś kurczaka z przyprawami. Podsmażamy ją z każdej strony. Dodajemy pokrojone grzyby, podsmażamy przez chwilę. Dodajemy suchy ryż i smażymy ok. 4 min. Po tym czasie dodajemy wino. Po chwili, kiedy odparuje, ustawiamy moc palnika na średni poziom, a nawet mały. Dodajemy po ½ szklanki bulionu i co jakiś czas delikatnie mieszamy, aż ryż wchłonie bulion. Całość procesu zajmie nam ok. 30–45 min. Na koniec dodajemy tarty parmezan, delikatnie mieszamy, a przed podaniem posypujemy natką. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Tam wolno wszystko

W roku bodajże 1990 pisałam tekst dla któregoś z nowo powstałych wtedy pism, które od dawna nie istnieje. Pisałam, posiłkując się depeszą agencyjną w języku francuskim.

W tekście pojawiło się słowo „rap", którego nie znałam. Zadzwoniłam do przyjaciółki, lektorki francuskiego w Instytucie Romanistyki. Ona też nie znała, ale poszła zapytać pracujących na Uniwersytecie Francuzów. Nikt nie znał.

Po południu wrócił ze szkoły nasz 13-letni wówczas syn. – Rap? To taka muzyka, której teraz się słucha. Amerykańska.

„Teraz" może wtedy było nie dla wszystkich i do dziś pozostało. Minęło 30 lat, nie słucham rapu, ale nie wątpię, że jest to obecnie najbardziej popularna muzyka młodszych ode mnie. Nie tylko muzyka – cała subkultura muzyczna i obyczajowa, o którą często się ocieram, pisząc teksty i obserwując zjawisko z daleka, jako coś, co mnie mało dotyczy.

Wpływ, jaki rap ma teraz na całą kulturę, można by porównać, stosując tzw. okno Overtona. Jest to – cytuję za Wikipedią – „idea opisująca, jak zmienić postrzeganie przez społeczeństwo kwestii, które są społecznie nieakceptowane". Otóż opisywane przez twórcę tej idei, Josepha Overtona, stopnie społecznej akceptacji to: „nie do pomyślenia", „radykalne", „akceptowalne", „rozsądne", „popularne", „wytyczne".

W prosty sposób ta sprawa da się zobrazować na przykładzie ewolucji stylów ubrania. To, co dawniej wydawało się nie do pomyślenia, nawet nie do przewidzenia, stało się możliwe. Użyję tutaj tylko casusu toalet, które noszą uczestnicy światowych imprez filmowych oglądanych przez cały świat.

Jeszcze jakieś 10 lat temu pojawiały się tam śmiałe kreacje, nikomu jednak nie przyszło do głowy przyjść nago. Ale stopniowo, pomalutku odchodzimy od tego purytańskiego, krępującego swobodę ekspresji zakazu.

Oto na jednej z imprez towarzyszących tegorocznym Oscarom Zoe Kravitz zjawiła się w czarnej sukni Saint Laurent, w której okrągła dziura została wycięta na samą pupę. Koleżanki pani Kravitz: Olivia Wilde (suknia Chloé) i Emily Ratajkowski przybyły w czarnych koronkowych i półprzezroczystych sukniach. „Pod spód więcej nic nie wdziewam, od razu się lepiej miewam" – jako rzecze Stanisław Wyspiański.

Parę kroków dalej poszła niejaka Bianca Censori, modelka. Na 67. ceremonii nagród Grammy wystąpiła w naked dress – przezroczystym, cielistym body. Czyli w zasadzie nago. Zdjęcia obiegły świat. Ale czy ktoś się jeszcze zdziwił? Pani Censori to żona rapera Kanye Westa, znanego z awantur, skandali, milionów i, zdaje się, także z muzyki. Rapu oczywiście. Tam wolno wszystko. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Samorząd wojuje z... państwem

Odwiedziłem kongres samorządowców w Mikołajkach. Spotkania ciekawe, choć trochę już nudnawo jest słuchać wciąż tych samych zaśpiewów. Wiadomo, dychotomia rząd – samorząd pogłębia się wraz z procesem plemienniania Polski i za każdym razem biadolenia kończą się na tym samym poziomie: samorząd wie dobrze, czego trzeba, ale centralny, a właściwie polityczny poziom wywala to wszystko do kosza. Tak jak z... przedsiębiorcami.

Ten strategiczny filar podatkodawców i pracobiorców jest traktowany przez państwo po macoszemu i uchodzi to politykom na sucho, a to dlatego, że przedsiębiorcy nie głosują wedle własnego interesu, tylko podług szwów plemiennych podziałów. A więc dla polityki nie liczą się jako grupa, o którą trzeba jakoś specjalnie zabiegać – wystarczy narracja wojny polsko-polskiej i środowisko jest „obsłużone".

Jeśli przedsiębiorcy są podstawą dobrostanu gospodarki, to samorząd jest głównym przejawem organizacji polskiej sfery publicznej. I też jest traktowany przez państwo po macoszemu. Sztuczka jest stara jak świat: daje mu się coraz więcej niewdzięcznych zadań i coraz mniej pieniędzy na ich realizację. I w przypadku przedsiębiorców, jeśli chodzi o ich drenaż podatkowy, i w przypadku niedoinwestowania samorządów co do zadań zleconych, państwo wsadza coraz głębiej swój nóż w to masło. I okazuje się, że wciąż jeszcze można. A więc władza próbuje. Każda. Wyborcy zaś w wyborach lokalnych, tak jak przedsiębiorcy, też najczęściej głosują nie wedle swoich interesów, tylko przekładają swe plemienne zapatrywania na lokalnych przedstawicieli. Prędzej wybiorą kogoś z ulubionego plemienia niż jakiegoś aktywnego lokalsa. I w ten sposób proces schodzenia w dół wojny polsko-polskiej, zaostrzony w ostatnich wyborach samorządowych, przyspiesza.

Za komuny, kiedy zboże stało na polu, to co się zbierało? Plenum KC. A teraz jak jest jakiś problem, to co się robi? Ustawę. Po rewelacjach z „Gazety Wyborczej", gdzie ujawniono, że nie mamy żadnej obrony cywilnej, co się zrobiło? Ustawę o takowej. I komu się ją dało do wykonania? Zgadliście – samorządom. Czy dano na to środki? Nie, bo nikt nawet nie wie jakie.

I znowu mamy powtórkę z coraz smutniejszej rozrywki. Zadania są, kasy nie ma – a w razie „W" kto będzie winien? Samorząd, bo państwo zrobiło swoje – ustawę. Tylko że teraz to już nie będą kolejne samorządowe deficyty w oświacie czy służbie zdrowia, tylko zagrożenie niewykonania podstawowego zadania państwa – zapewnienia bezpieczeństwa. Mijamy kolejną bramkę w PR-owskim slalomie, który zastępuje nam państwo. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Kolonizacja eteru

Wystarczy wybrać się samochodem za granicę, żeby doświadczyć, jak bardzo patologicznie funkcjonuje polski rynek radiowy. Jadąc na południe, przekraczając granicę czeską czy słowacką, potem austriacką, węgierską, dostrajając radio, napotykamy stacje grające lokalną muzykę. Szczególnie na Słowacji, na Węgrzech, a potem w Serbii, Chorwacji, Bułgarii, nie mówiąc już o Grecji. Dotyczy to nie tylko nadawców publicznych, lecz także komercyjnych. Oferta jest zróżnicowana. Wracając do Polski, w miażdżącej większości stacji radiowych przywita nas angielsko brzmiąca playlista. Wiem, że tradycyjne media są w odwrocie, ale akurat radio będzie jeszcze przez długie lata medium towarzyszącym ludziom w domu, pracy i w podróży.

Jak to się stało, że radiowy eter został u nas aż tak skolonizowany? To złożony proces, pewnie wart szczegółowego opisania. Polski rynek fonograficzny – tak jak telekomunikacja, wielkopowierzchniowy handel spożywczy i wiele innych branż – w znaczącym stopniu został przejęty przez zachodnie koncerny. Wielcy gracze byli w stanie zadbać (różnymi metodami), aby ich playlisty zdominowały ramówkę wiodących komercyjnych (i publicznych) stacji radiowych. Również rynek reklamy, z której żyją nadawcy, znalazł się w rękach dużych zagranicznych podmiotów. Jest jeszcze czynnik ludzki, czyli kolonizacja mentalna. Kultura masowa, tak jak inne dziedziny, podlegała modernizacji metodą kserokopiarki. Obowiązywał paradygmat „polskie znaczy kiepskie", a warunkiem nowoczesności będzie pilne kopiowanie Zachodu.

Gdy pojawił się wolny rynek, paradoksalnie nastąpił właśnie boom polskiej muzyki rozrywkowej, ale potem nastąpiło przejmowanie branży i z każdym rokiem było tylko gorzej. Owszem, pojawiali się nowi polscy wykonawcy i wielkie przeboje, ale większą część czasu antenowego wypełnia zachodnia playlista. Rodzima branża muzyczna, choć mamy zdolnych twórców, z wyjątkiem wielkich gwiazd przejętych przez majorsów ma we własnym kraju ograniczony dostęp do rynku radiowego. Tantiemy zaś płacone przez polskich nadawców lądują na kontach zagranicznych twórców i producentów. Gdy Radio Wnet zaczęło notować wzrost słuchalności, przejmując audytorium uciekające z Polskiego Radia, łudziłem się, że w niezależnej polskiej rozgłośni redakcja dostrzeże ten absurd – na antenie, gdzie tyle mówi się o interesie narodowym, o zagrożonych polskich branżach, niemal w ogóle nie ma polskiej muzyki. Wygląda na to, że twórcy dobrej informacji i publicystyki nie zdają sobie sprawy, jak bardzo ulegli kulturowej kolonizacji. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

ĆWIERKOT

Donkiszotki

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Mały, ale za to wredny, hałaśliwy, upierdliwy, skamlający jest piesek chihuahua, którego ludzie trzymają dla figielka, gdyż takie to nic nieznaczące, a jakże groźne. Kontraścik taki. Stop. Chciałem się teraz zwierzyć, że coś się z moją głową porobiło, bo jak tylko pokażą marszałka Szymona Hołownię, to mnie się zaraz zamiast ekscelencji marszałka ten ujadający maluch wizualizuje i ja wiem, skąd mi się to wzięło. Stop. Otóż tenże Hołownia chce być prezydentem Polski, mając poparcie 3 proc., a taki Sławomir Mentzen to ma ok. 15 proc. i może dlatego ten Hołownia tego Mentzena zaatakował, nazywając go m.in. pasożytem, co uważam, że nie jest eleganckie. Stop. W ramach retorsji Mentzen nazwał skamlającą chihuahuą Hołownię, co uważam, że jest dużo plastyczniejsze. Stop. I wtedy marszałek się pogniewał i powiedział, że poleci na skargę do pani, to znaczy przepraszam, przepraszam, znaczy się Komisji Etyki, co wydaje mi się mało normalne, skoro sam ma na sumieniu pasożyta. Stop. Ale w sumie co jest teraz normalne w naszej polityce? Stop. Gdyby ktoś z państwa wiedział, proszę na adres redakcji...

Jak wiadomo, diabeł boi się święconej wody, a Łącki alkomatu. Stop. Wystarczy Łąckiemu pokazać alkomat albo tylko wypowiedzieć zaklęcie „alkomat" i on zaraz znika. Stop. Łącki jest Arturem i mniej znanym posłem KO, ale na komisji regulaminowej, na której omawiana była sprawa Dariusza Mateckiego, zachowywał się nader brawurowo. Stop. Ktoś trzeźwy postanowił sprawdzić więc nietrzeźwość Łąckiego. Stop. Niestety, nieświadomi siły zaklęć posłowie wypowiedzieli wtedy słowo „alkomat" i Łącki zniknął. Stop. Trwa kupowanie dla niego zakąski.

Wiedzą państwo, czym się wiceministrowie zajmują? Nie wiedzą, to państwu napiszę. Stop. Jest taka wiceminister od nauki i szkolnictwa wyższego o nazwisku Karolina Zioło-Pużyk. Stop. Wsławiła się całkiem niedawno oracją, w której jawiła się jako osoba walcząca z Dniem Chłopaka z pełną determinacją i ideologicznym zaangażowaniem. Stop. Nie żartuję, tym się zajmowała, czemu dała wyraz odpowiednią mową utrwaloną i na jej nieszczęście opublikowaną. Stop. Dodam, że pani jest doktorem, ale nie, że kogoś leczy, tylko od nauk humanistycznych jest tym doktorem, studentów uczy, mój Boże, biedne te żaki, choć nie obszarpane. Stop. Kiedy się pani Zioło-Pużyk zorientowała, że stała się obiektem kpin oraz szyderstw, postanowiła publicznie przeprosić i obiecać, iż nie będzie już zwalczać Dnia Chłopaka, uff. Stop. Tym właśnie zajmują się w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Walczą nasze donkiszotki, a potem za walkę przepraszają, i tak ten czas od jednej pensji do drugiej mija... ©℗

SPODE ŁBA

Wzorem Mikronezji

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Niezwykłą stanowczością wykazał się obywatelski kandydat na prezydenta Polski, dr Karol Nawrocki. W rozmowie z Bogdanem Rymanowskim został on zapytany, czy Polska powinna zerwać stosunki dyplomatyczne z Rosją. „Tak […]. Jeśli pyta pan o moje stanowisko w tej kwestii, to utrzymywanie stosunków dyplomatycznych z państwem, które jest barbarzyńskie, nie jest dla Polski dobre" – odpowiedział dr Nawrocki.

Stany Zjednoczone Ameryki dokładają w ostatnich tygodniach wszelkich starań, by odbudować nadwątlone relacje dyplomatyczne z Rosją. Podjęły właśnie decyzję o normalizacji funkcjonowania placówek dyplomatycznych obu krajów. W tym samym czasie dr Karol Nawrocki dywaguje o kroku dalece bardziej drastycznym niż ograniczenie liczebności personelu dyplomatycznego, a nawet wycofanie ambasadorów. Na równie ostry gest nie zdecydował się, po rosyjskiej agresji na Ukrainę, żaden kraj Unii Europejskiej lub NATO. Uczyniła to tylko leżąca na Pacyfiku Mikronezja.

Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych wszelkie negocjacje z Rosją moglibyśmy prowadzić jedynie przez pośredników. Dobrze byłoby wiedzieć, które z zaprzyjaźnionych państw poprosi dr Nawrocki o takie usługi. Czy interesy naszego kraju w relacjach z Rosją miałyby reprezentować USA? A może o pośrednictwo poproszone zostaną Niemcy, Wielka Brytania lub Izrael? Tak czy inaczej, byłaby to dla nas sytuacja, w której zamiast zasiadać przy negocjacyjnym stole, na własne życzenie znaleźlibyśmy się na nim w roli dzielonej, przez obcych dyplomatów, potrawki.

Czy po zerwaniu stosunków z Rosją prezydent Nawrocki zamierzałby postąpić podobnie z innymi krajami, które uzna za barbarzyńskie? Kryterium „barbarzyńskości" nie jest zbyt precyzyjne, starożytni Grecy nazywali tak wszelkie nacje nieposługujące się ich językiem. Jeśli współczesnymi wyznacznikami barbarzyńskości są brak szacunku dla praw człowieka i łamanie prawa międzynarodowego, to należałoby też rozważyć zerwanie relacji dyplomatycznych z kilkudziesięcioma krajami, wśród których znalazłoby się niejedno mocarstwo regionalne. Czy nie byłoby to dla Polski cokolwiek ryzykowne?

Już następnego dnia dr Nawrocki sprecyzował, że w swoich rozważaniach odnosił się do sytuacji „w świecie idealnym". Prezydent, którego polityka dotyczyć będzie nie tylko otaczającego nas, śmiertelników, padołu łez, lecz także wyzwolonego z więzów materii „świata idealnego", może być dla współobywateli darem równie cennym, co kłopotliwym. ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pośmiertny triumf TW „Róży”

JOANNA SIEDLECKA

W warszawskim Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu, w siedzibie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, najpiękniejszy pokój z widokiem na plac Zamkowy to dawny gabinet prezesa Iwaszkiewicza, a później m.in. Jana Józefa Szczepańskiego, pierwszego prezesa SPP i kolejnych. Obok ich czarno-białych zdjęć na jednej ze ścian króluje wielki portret olejny zupełnie z innej bajki, który nie powinien się tu znaleźć – pretensjonalnej, wyfiokowanej damy w wydekoltowanej, balowej sukni, etoli ze srebrnych lisów, z upierścienioną dłonią. „To żona Iwaszkiewicza?” – pytają goście zwiedzający gabinet np. podczas Nocy Muzeów. To popularna pisarka, Krystyna Nepomucka (1920–2015), autorka ponad 30 romansideł, m.in. cyklu zapoczątkowanego powieścią „Małżeństwo niedoskonałe”, oraz współczesnych powieści brukowych, np. „Serafina i kochankowie” o kolekcjonerce partnerów, z całą gamą seksualnych perwersji od masochizmu do sadyzmu i nekrofilii. Ale przede wszystkim Nepomucka to były współpracownik bezpieki o pseudonimie Róża, wspomagająca ją w kontroli pisarzy.

Mimo to została ona nie tylko wyjątkowo wyeksponowana i uhonorowana, lecz także rozgrzeszona przez obecną prezes SPP, Annę Nasiłowską, która wybieliła jej życiorys, zrobiła jej lifting w czwartym, ostatnim numerze kwartalnika literackiego „Wyspa”, przedstawiając ją jako biedną ofiarę SB, dręczoną za odmowę udzielania informacji, a mimo to „papiery zostały, znalazła się na tzw. liście Wildsteina” – jak pisała. Nie było to jednak możliwe, gdy odmawiało się informacji i nie zostawało nic obciążającego. Według teczki Nepomuckiej w IPN, o czym pisałam już w mojej książce „Biografie odtajnione” (2015), ale – jak widać – takich książek się w SPP nie czyta, zwerbowano ją dobrowolnie w 1961 r., w czym przeszkodziło początkowo tragikomiczne zdarzenie – podczas rozmowy Nepomuckiej z oficerem SB w jej mieszkaniu wpadł niespodziewanie jej partner i sądząc, że to jego rywal, pobił go; oficer ratował się więc, dekonspirując i wyciągając służbową legitymację. Ponowiono współpracę dopiero w 1976 r., już bez przeszkód. Zgodziła się nie tylko jako lojalna obywatelka. „Od środowiska pisarskiego zaznałam tyle podłości, że nie mam skrupułów, aby o nim informować, i to bezinteresownie” – mówiła. Wynagradzano ją więc raz na kwartał upominkami w wysokości 500 zł – perfumami, koniakami. W obawie przed dekonspiracją informowała tylko ustnie, podczas spotkań z oficerem prowadzącym Marianem Kopytem, w swoim wozie podczas wyjazdów za miasto.

Pomagała mu „rozpoznawać” i sortować członków ZLP, posługując się leksykonem pisarskim Bartelskiego, wskazywała nazwiska pisarzy o pozytywnej i negatywnej postawie politycznej, informowała, kto jest alkoholikiem, kto homoseksualistą, kto i za co należy do najbardziej nielubianych. Jej informacje wywoływały często natychmiastowe reakcje SB, np. o Jerzym Ficowskim, który zaprosił do kawiarni ZLP ekipę austriackiej telewizji przeprowadzającej z nim wywiad, o dłuższym pobycie w Oborach Jarosława Marka Rymkiewicza z żoną, co zaowocowało tzw. tajną penetracją jego mieszkania. W Oborach, domu pracy twórczej, niemalże mieszkała, donosiła więc głównie o przebywających tam pisarzach związanych z opozycją – Jerzym Narbucie, Zbigniewie Herbercie, braciach Brandysach, Witoldzie Dąbrowskim, Jerzym Krzysztoniu, Sewerynie Pollaku, zwłaszcza o ich kontaktach z przyjeżdżającymi tam również członkami „Graczy”, czyli KOR: Halinie Mikołajskiej, Macieju Rayzacherze. Potwierdzała i pogłębiała donosy z Obór, uzyskiwane również od zatrudnionej tam TW „Lizy”. Podawała nazwiska pisarzy i aktorów biorących udział w Tygodniu Kultury Chrześcijańskiej. Podsuwała nazwiska wartych werbunku, np. jednej z pracownic ZLP. Informowała o przygotowaniach do zjazdów, wybranych delegatach, składach nowych zarządów itd. Pod koniec 1978 r., gdy jej kariera kwitła, a opozycja rosła w siłę, zrezygnowała ze współpracy i nigdy się do niej nie przyznała. ©℗

Wskazywała nazwiska pisarzy o pozytywnej i negatywnej postawie politycznej, informowała, kto jest alkoholikiem, kto homoseksualistą, kto i za co należy do najbardziej nielubianych. Jej informacje wywoływały często natychmiastowe reakcje SB

eprasa.pl bf66c86d78

RAPORT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Orędzie o stanie państwa – coroczne przemówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych wygłaszane na wspólnej sesji Kongresu. Pierwsze orędzie ma miejsce kilka tygodni po zaprzysiężeniu, więc nie zawiera raportu dokonań (bo tych jeszcze nie ma), lecz ogólny plan działań. Tym razem było inaczej – po 43 dniach urzędowania administracja Trumpa miała więcej dokonań niż inni w ciągu całej kadencji.

***

Sekretarz stanu Marco Rubio wydał dyrektywę blokującą wizy wjazdowe dla sportowców transwestytów. Sporty kobiece będą w USA chronione przed oszustami. Polska zawodniczka na igrzyskach w Los Angeles nie zostanie pobita pięściami przez faceta udającego kobietę, tak jak to miało miejsce w Paryżu. Z amerykańskiego wojska także usunięto przebierańców. Zarządzeniem prezydenta Stany Zjednoczone uznają wyłącznie płeć biologiczną, którą człowiek ma w chwili urodzenia. W czasach Bidena mężczyźni podający się za kobiety dostawali szlify generalskie. To powodowało upadek morale i braki kadrowe. Amerykańskie wojsko jest ochotnicze – normalni ludzie nie chcieli się zgłaszać do służby w sytuacji, gdy ich dowódcą miał być facet przebrany w damski mundur. Po zwycięstwie Trumpa i wprowadzeniu w USA „Doktryny zdrowego rozsądku" amerykańska młodzież znów garnie się do wojska. W styczniu liczba zgłoszeń do służby była najwyższa od 15 lat.

***

Na mocy dekretu prezydenckiego język angielski stał się językiem urzędowym. W USA wszystkie dokumenty państwowe napisano po angielsku, ale dotychczas nie było jasnego zapisu o języku urzędowym. W 2000 r. prezydent Clinton zobowiązał agencje federalne, by zapewniały tłumaczy każdemu, kto nie zna angielskiego. To się teraz skończy – mieszkasz w Ameryce, masz umieć mówić po amerykańsku. W Polsce denerwujący jest język ukraiński, który wyskakuje jako opcja w różnych miejscach. W prywatnym banku mnie to nie obchodzi, ale urzędy powinny stosować zasadę „tu się mówi po polsku".

***

W ostatni piątek lutego wszyscy urzędnicy w USA dostali oficjalny e-mail z Departamentu do spraw Efektywności (DOGE) z zapytaniem, co w ramach swojej pracy załatwili w minionym tygodniu. Odpowiedź miała być krótka – zawarta w kilku punktach. Brak odpowiedzi oznaczał rezygnację z pracy. Produktywny pracownik odpowie na taki e-mail w minutę: w tym tygodniu zrobiłem to, to i tamto. Natomiast lenie i nieroby, które siedzą w urzędach, podniosły krzyk, że to skandal, takie bezczelne odpytywanie i sprawdzanie, kto pracuje, a kto nie i czy jego stanowisko jest w ogóle potrzebne.

W Polsce jest podobnie – masa niepotrzebnych urzędasów, którzy sami nie wiedzą, co robią, kilku naraz robi to, co mógłby robić jeden, pracują wolno, nic nie załatwiają, odsyłają petenta od jednego okienka do drugiego. W odpowiedzi na oburzenie amerykańskich urzędników, że muszą w kilku punktach opisać, co produktywnego zrobili przez tydzień, zwyczajni Amerykanie zamieszczają w sieci własne listy:

Drodzy urzędnicy, macie kłopot z odpisaniem na ten e-mail od DOGE? A to takie proste: Ja w zeszłym tygodniu przepracowałem 63 godziny, przejechałem cysterną 2600 mil, dostarczyłem 130 000 galonów paliwa. Podpisano: Jake Logan, amerykański kierowca ciężarówki.

***

Od początku kadencji Trumpa zwolniono już ponad 100 tys. niepotrzebnych biurokratów, zlikwidowano całe niepotrzebne nikomu agencje rządowe, zajmujące się niczym, oraz zatrzymano wylewanie amerykańskich pieniędzy na cele, które nie mają nic wspólnego z interesem Amerykanów.

Jednym z efektów ubocznych wynikających z rozesłania tego jednego e-maila było wykrycie ogromnej liczby „martwych dusz" – istnieje adres z końcówką .gov, istnieje stanowisko i związana z nim pensja oraz zakres obowiązków, ale nie istnieje osoba, więc nikt tych obowiązków nie wykonuje. Mimo to ktoś stale pobiera pensję. „Martwa dusza" to albo urzędnik już nieżyjący, albo całkiem fikcyjny. Wykryto i zatrzymano nielegalny wyciek pieniędzy na ogromną skalę.

Następny skandal: tuż przed zakończeniem kadencji Bidena demokraci przelali na konta prywatnych banków 20 mld dol. Z funduszy miały korzystać pozarządowe organizacje klimatyczne, do których – na czas rządów Trumpa – ewakuowali się skorumpowani urzędnicy. Pieniądze odnaleziono i będą zwrócone.

***

Podobnie jest w Polsce – bezkarna machina urzędnicza, posady do śmierci, zero odpowiedzialności za błędy, zero rozliczeń finansowych przed narodem. Czy w Polsce ktoś sprawdza księgi rachunkowe rządu, Urzędu Skarbowego, Wojska, ZUS? Czy ktoś kontroluje przychody i rozchody w Najwyższej Izbie Kontroli?

Może tak, ale ja o tym nie słyszałem.

W USA właśnie odbywa się kontrola we wszystkich urzędach od góry do dołu. Gdy pracownicy DOGE weszli do amerykańskiego Urzędu Skarbowego celem dokonania kontroli skarbowej w skarbówce, Biuro Przepustek zgłupiało:

– Panowie są kontrolerami skarbowymi, ale nie mają naszych przepustek?

– Jesteśmy kontrolerami skarbowymi z zewnątrz.

– Nie ma czegoś takiego.

– Już jest.

A kiedy DOGE skontrolował amerykański ZUS, okazało się, że emerytury wypłacane są milionom osób w wieku grubo powyżej 100 lat oraz powyżej 200 lat, a nawet jednej osobie w wieku 360 lat.

***

Od tego trzeba by zacząć w Polsce – od rozwalenia systemu urzędniczego, bo to on jest narzędziem zniewolenia. Politycy mogą tylko trochę, urzędnicy mogą wszystko. Dlatego wyborcza wymiana świń przy korycie nic nie zmienia – trzeba rozwalić koryto. W ciemno można zwolnić połowę urzędników w kraju i nic się nie zawali. Przeciwnie – ta druga połowa zacznie pracować lepiej, bo nie będą sobie przeszkadzać i zaczną się bać o posady.

Rodaku, gdy wchodzisz do dowolnego urzędu w Polsce, to połowy urzędników albo dzisiaj nie ma, albo są, ale połowa z nich nic nie robi, prawda? ©℗

eprasa.pl bf66c86d78

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

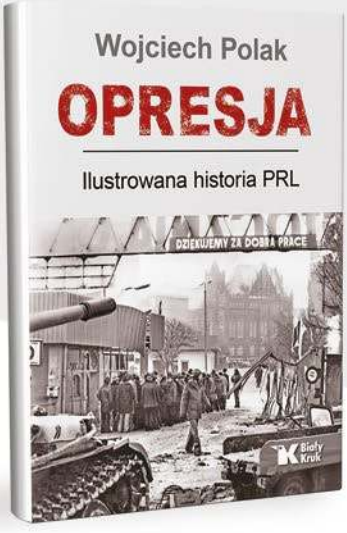

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

WOJCIECH POLAK: „OPRESJA. ILUSTROWANA HISTORIA PRL"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1482~~ ZŁ

494,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 988ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bf66c86d78

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Niezależny bank centralny

To polski złoty
– własna waluta
i stabilna gospodarka

To wolność,
jaką daje gotówka
– byś płacił, jak chcesz

To rosnące rezerwy złota
– dla bezpieczeństwa
naszych dzieci

nbp.pl

**Dzięki konstytucyjnej gwarancji niezależności
Narodowy Bank Polski wzmacnia Twoje bezpieczeństwo finansowe.**

eprasa.pl bf66c86d78